

Sheridon Smythe

Rubinowa walentynka

Dedykuję tę książkę wszystkim szczęśliwcom, którzy poznali miłość w całej wspaniałości. Należę do grona tych nielicznych.

Deshy i Davisowi, największym, najjaśniejszym gwiazdom w mojej galaktyce. Kocham Was.

Dziękuję wszystkim Czytelnikom. Mam nadzieję, że trafi Was strzała Kupidyna!

Sherrie Eddington

Chciałabym zadedykować tę książkę mojemu własnemu bohaterowi. Razem dojrzewaliśmy. Nieraz ratowałeś mi życie. Wiele mnie nauczyłeś. Zawsze mnie wspierałeś i wierzyłeś we mnie. Dziękuję Ci bardzo, Matthew Ryanie Smith, mój pierworodny. Obyśmy pokonali wszelkie przeciwności losu i pozostali wiecznie młodzi. Ta książka jest dla Ciebie.

A także dla mojego natchnienia, partnerki w pracy twórczej i przyjaciółki od dwudziestu pięciu lat, Sherrie Eddington. Udało się nam!

Donna Smith

OD AUTOREK

Do mieszkańców Worcester w stanie Massachusetts

Niniejsza powieść jest fikcją literacką, lecz Esther Howland żyła naprawdę i rzeczywiście założyła pracownię walentynek w Worcester w stanie Massachusetts. Była wzorem dla wszystkich kobiet w tamtych trudnych czasach. Skorzystałyśmy z licencji poetyckiej, tworząc portret tej wspaniałej osoby. Przepraszamy za wszelkie błędy, które niechcący popełniłyśmy, opisując kobietę sukcesu i jej karierę.

PROLOG

Rosalyn postawiła pękatą walizkę przy drzwiach i podeszła do łóżka, żeby dokończyć upychanie drugiej. Starannie unikała wzroku nadąsanej przyjaciółki. Na próżno. Nie dało się zignorować Alice Carter.

- Nie rozumiem, dlaczego nie możesz z nami zostać. Czy nie bawiłyśmy się świetnie przez ostatnie dwa tygodnie? - Dostrzegłszy minę starszej dziewczynki, Alice oblała się rumieńcem. - Tak, wiem. To straszne, że twoi rodzice umarli, ale mama i tata mówią, że byliby szczęśliwi, gdybyś zamieszkała z nami. Ja też.

Rosalyn zmarszczyła brwi i wróciła do pakowania. Powiedziała sobie w duchu, że Alice jest od niej dwa lata młodsza i dużo mniej dojrzała. Ona sama czuła się tak, jakby miała sto lat, a nie dwaście. Wydorosłała w przyspieszonym tempie, gdy przed dwoma tygodniami epidemia zdziesiątkowała okolicę, zabierając również jej rodziców.

- Pani Garret straciła męża i teraz mieszka sama - cierpliwie powtórzyła po raz kolejny. - Była naj-

lepszą przyjaciółką mojej mamy, przecież wiesz.

- Ale nie twoją. A jeśli ta Callie Garret jest czarownicą?

- Alice!

- Może zamknie cię w brudnej piwnicy i będzie karmiła spleśniałym chlebem. - Dziewczynka z powagą pokiwała głową. - Albo zmusi cię, żebyś harowała całymi dniami, i będzie chłostać batem. Sama mówiłaś, że nie znasz jej dobrze.

Rosalyn powstrzymała się od śmiechu, żeby nie zachęcić Alice do dalszej paplaniny.

- Nie zawsze jeździłam do niej razem z mamą, ale wiem, że jest dobra i miła. Gdy ją odwiedzałyśmy, częstowała mnie ciastkami. Kupowała mi prezenty na urodziny. Poza tym nie ma piwnicy.

- Ja też kupuję ci prezenty na urodziny - przypomniała Alice, podskakując na łożku. Omal nie strąciła pracowicie poskładanej bielizny. - Albo robię jakąś niespodziankę przy pomocy mamy. Nie lubisz moich rodziców?

Rosalyn przerwała pakowanie i położyła ręce na biodrach. Z surową miną spojrzała na piegowatego rudzielca.

- Oczywiście, że lubię! Gdyby nie oni, nie wiem, co bym zrobiła, kiedy mama i tata... umarli.

Dostrzegła łzy w oczach Alice i poczuła, że jej własne też wilgotnieją. Miała ochotę rozbeczeć się jak zagubiona owieczka. Nie sądziła, że jeszcze jest zdolna do płaczu.

Obeszła łóżko i usiadła obok przyjaciółki. Otoczyła ramieniem jej chude plecy.

- Alice, będę za tobą tęsknić, ale przecież nie jadę na koniec świata, tylko przenoszę się do miasta. Nic strasznego.

Nie to co śmierć, pomyślała.

- Aż pięć mil! Rodzice nie puszcza mnie samej, a jeżdżą do miasta tylko raz na miesiąc. - Alice otarła policzki i wzięła głęboki oddech. - Myślisz, że pani Garret pozwoli ci odwiedzić nas latem?

Rosalyn przełknęła ślinę i skinęła głową. Stała jej w pamięci dzień, kiedy się poznały. Miała wtedy osiem lat. Właśnie niedawno przeprowadziła się z rodzicami z Williamsport w Pensylwanii. Przed nową szkołą otoczyły ją zaciekawione dzieci w najróżniejszym wieku. Czuła się onieśmielona i przerażona, ale w pewnym momencie podbiegła do niej drobna dziewczynka o rudych włosach, wzięła za rękę i zaprowadziła do swojej ławki.

Alice.

Rosalyn zamrugała i przygryzła wargę.

- Pani Garret jest samotna. Potrzebuje mnie.

- Ja też cię potrzebuję. Nie mam braci ani sióstr - wyszeptała dziesięciolatka żalnym głosem.

- Masz tatę i mamę, a pani Garret nie ma nikogo.

- A jeśli nigdy więcej cię nie zobaczę? Z kim będę się bawić? Kto mnie obroni przed grubą Zeldą? A co z Bobbym Yandellem? On mnie ciągnie za warkocze!

- Na zawsze zostanę twoją najlepszą przyjaciółką, ale poznasz inne. - Już pora, żeby Alice sama o siebie zadbała. - I nie zapominaj, że kiedy przyjedziesz z rodzicami do miasta, za każdym razem spędzimy ze sobą całe popołudnie.

- I czasami noc? - spytała dziewczynka z nadzieją.

- Tak. Pani Garret kocha dzieci.

- Więc dlaczego nie ma swoich?

Rosalyn wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Zdaje się, że ma pasierba, ale nigdy go nie widziałam.

- Co to jest pasierb?

- Nie jestem pewna. Słyszałam, jak mama kiedyś tak powiedziała.

Alice przekrzywiła głowę i zamyśliła się. Rzęsy miała mokre i ciemne od łez.

- Dlaczego on z nią nie mieszka?

- Tego też nie wiem.

- Może pani Garret go zabiła. Posiekała na małe kawałeczki...

- Alice! - Tym razem Rosalyn nie wytrzymała. Uśmiechnęła się szeroko, pokazując szczerbę w zębach. - Jesteś okropna, po prostu okropna!

- Wiem. - Raptem Alice spochmurniała. - Rosy, co ja zrobię, kiedy wyjedziesz?

- Lepiej pomyśl o tym, co będziemy robić, kiedy mnie odwiedzisz. Czas szybko zleci. Zobacysz.

- Najlepsze przyjaciółki? - szepnęła Alice.

- Na zawsze.

1

1875

Rosalyn Sue Mitchell zrecznie torowała sobie drogę przez tłum kłębiący się na dworcu. W oczach miała determinację. Za wszelką cenę musiała zdążyć na pociąg.

W ręce ścisnęła kartkę walentynkową, którą powierzyła jej panna Balderdash. Uśmiechnęła się odruchowo do zapłakanego dziecka, uczeplonego matczynej spódnicy.

Przed dwoma miesiącami dostała prestiżową posadę doręczycielki w Nowoangielskiej Pracowni Walentynek w Worcester. Jej praca polegała na dostarczaniu okolicznościowych upominków, a ostatnio, w miarę jak zbliżał się czternasty lutego, głównie oświadczyn. Adresaci przyjmowali je albo odrzucali, zwracając kartkę przez pannę Mitchell. Zleceń szybko przybywało, choć do dnia świętego Walentego zostały jeszcze trzy tygodnie. Pracodawczyni obiecała, że w najgorętszy dzień w roku przydzieli jej kogoś do pomocy. Uprzedziła również Rosalyn,

że nieraz będzie musiała pocieszać złamane serca.

Dzisiejsze zadanie miało szczególny charakter. Panna Balderdash oczekiwała natychmiastowej deklaracji od pana Boyda Lettermana, który wybierał się w tygodniową podróż służbową do Chicago. Wyrzuciła z siebie bez tchu, że ani chwili dłużej nie znieśie niepewności.

Rosalyn dała jej słowo, że nie odejdzie od pociągu, póki nie uzyska odpowiedzi. Gdyby ktokolwiek się dowiedział, że to panna Balderdash występuje z propozycją małżeństwa, wybuchłby skandal.

Nikt się nie dowie, pomyślała dziewczyna, w każdym razie na pewno nie ode mnie. Proszę o zachowanie tajemnicy panna Balderdash poparła złotą dziesięciodolarówką.

Pociąg wydał ostrzegawczy gwizd. Rosalyn przyspieszyła kroku, ale uważała, żeby nie pokazać spod spódnicy kostek. Ach, te ograniczenia narzucane kobietom przez społeczeństwo! Z ciężkim westchnieniem weszła na peron i ruszyła wzdłuż pociągu, zaglądając w okna. Szukała mężczyzny, który odpowiadałby opisowi. W myślach powtórzyła cechy, które wymieniła panna Balderdash: dystyngowany wygląd, przystojny, jasne wąsy i włosy, niebieskie oczy, mocna szczęka, zniewalający uśmiech...

Rosalyn dostrzegła blond włosy. Znalazła swojego mężczyznę... to znaczy mężczyznę panny Balderdash. Zdusiła śmiech. Zaślepiona miłością kobieta nie wspomniała ani słowem o niskim wzro-

ście, wydatnym brzuchu, haczykowatym nosie i blisko osadzonych oczach. Dla niej ukochany niewątpliwie był atrakcyjny.

- Pan Letterman?

Dziewczyna stanęła na palcach na listwie biegnącej wzdłuż wagonu i podciągnęła się do okna. Otworzyła je i z uśmiechem wsadziła głowę do przedziału. Mężczyzna osłupiał na jej widok.

- Słucham?

- Pan Letterman, prawda?

Rosalyn wstrzymała oddech. Do odjazdu pociągu zostało jakieś pół minuty. Jeśli to pomyłka, traciła cenny czas.

- Tak. Czym... mogę służyć?

Dziewczyna zachichotała w duchu.

- Mam przesyłkę od Ilene Balderdash.

Twarz mężczyzny od razu złagodniała, a w oczach pojawił się marzycielski wyraz. Rosalyn omal nie krzyknęła z radości. Wręczyła mężczyźnie walentynkę. Obserwowała go uważnie, kiedy czytał. Doskonale znała treść kartki, bo sama ją napisała. „Patrzę w Twoje oczy i widzę w nich odbicie własnych uczuć. Kocham Cię i wiem, że Ty też mnie kochasz. Po co żyć osobno? Jesteśmy sobie przeznaczeni. Nim wyjedziesz i zostawisz mnie na całą wieczność, powiedz, czy po powrocie mnie poślubisz?”

- To bardzo niezwykła sytuacja - wyjąkał mężczyzna.

Był czerwony jak burak, ale z czułością wodził

pulchnymi palcami po wypukłym wzorku, który przedstawiał dwie całujące się papużki.

- Nie wiem...

Głośno syknęła para. Rozbrzmiał drugi gwizdek. Pociąg szarpnął. Rosalyn przywarła do okna. Musi dotrzymać obietnicy. Nie odejdzie z kwitkiem.

- Panie Letterman, mogę coś zasugerować? - Kiedy mężczyzna z wahaniem skinął głową, ściszyła głos do szeptu. - Niech pan ożeni się z tą kobietą. Ona szaleje z miłości do pana. Oświadczając się, zaryzykowała reputację.

- Ale...

Na litość boską, pomyślała Rosalyn z irytacją. Pociąg zaraz ruszy. Kierując się intuicją, spróbowała po raz ostatni.

- Czy jadł pan kiedyś jej ciasteczka imbirowe? - Przewróciła oczami w ekstazie. - Poczęstowała mnie, kiedy... - Co? Pustka w głowie. - Kiedy czekałam, aż skończy pisać walentynkę. Były pyszne...

- Sama napisała kartkę?

Drobne kłamstewko nie zaszkodzi.

- Tak. W tym czasie ja delektowałam się pieczoną wołowiną z sosem i najdelikatniejszym chlebem, jaki w życiu jadłam...

- Dobrze, dobrze! Ożenię się z nią.

Gdy pan Letterman wreszcie wydusił z siebie te słowa, na jego twarzy odmalowała się ulga, co utwierdziło Rosalyn w podejrzeniach, że po prostu jest nieśmiały.

- Eee. Proszę pani?

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, gotowa ofiarować mu gwiazdkę z nieba.

-Tak?

- Czy pani wie, że pociąg jedzie?

Zaskoczona Rosalyn spojrzała w dół. Peron przesunął się pod nią z coraz większą szybkością.

- O rany! - wyszeptała.

Christian Garret wysiadł z ciepłego przedziału prosto w styczniowy chłód. Schował ręce w kieszenie wełnianego płaszcza koloru burgunda i omiótł wzrokiem zatłoczony dworzec.

Ludzie witali bliskich, którzy właśnie przybyli do Worcester. Inni szykowali się do odjazdu. Z budynku stacji dobiegał płacz dzieci, budząc bolesne wspomnienia. Mężczyzna natychmiast je odpędził.

Przyjechał tutaj, żeby pogrzebać owe wspomnienia na zawsze i odebrać spadek po ojcu. Pieniądze nie mogły wymazać przeszłości, ale Christian wolał je od miłości i kłamstw, które nieuchronnie sprowadzały cierpienie.

Idąc przez peron, rzucił garść drobnych gromadce wychudzonych chłopców. Mali oberwańcy mogli napełnić brzuchy tylko dzięki łaskawości zamężnych. Tak samo było w Nowym Jorku. Christian zawsze okazywał hojność. Żałował, że nie może zrobić więcej. Wiedział, że jeden człowiek nie rozwiąże problemu biedy na całym świecie.

- Wezwij dorożkę i zapakuj mój bagaż - zwrócił się do najmniejszego chłopca, co najwyżej ośmioletniego. - I kup mi miejscową gazetę. Do-
staniesz więcej.

Rzykował, że nigdy już nie zobaczy urwisów, ale tym się nie przejmował.

- Tak, proszę pana.

- Natychmiast, proszę pana.

Chłopcy zniknęli równie szybko, jak się pojawili. Christian zaczął obserwować ludzi, którzy wsiadali do pociągu, ponagleni przez ostatni gwizdek.

W pewnym momencie dostrzegł kątem oka różową plamę. Przyjrzał się uważniej i rozdziawił usta, gdy zobaczył kobietę w aksamitnym płaszczu, uwieszoną okna wagonu.

Czyżby wzrok go mamił?

Garret zamrugał z niedowierzaniem i omal się nie roześmiał. Tak, to była kobieta. Głowę trzymała w środku, w przedziale. Osobliwe zachowanie. Damy nie czepiają się pociągów, przynajmniej w Nowym Jorku. Może w niedużych miasteczkach reguły przyzwoitości są mniej surowe.

Raptem nieznajoma wsadziła rękę przez okno. Nachyliła się, odsłaniając szczupłe kostki. Widok sprawił Christianowi dużą przyjemność.

Co w niego wstąpiło, do licha! W życiu miał okazję podziwiać wiele damskich kostek. W dodatku ta kobieta prawdopodobnie była stara lub brzydka jak noc... albo jedno i drugie.

Zawstydzony własną reakcją, już miał się odwrócić, gdy nagle pociąg ruszył. Garret zamarł przerażony. Kobieta nadal wisiła u okna zamiast zeskoczyć na peron.

Bez zastanowienia puścił się biegiem. Pociąg nabierał szybkości. Christian przyspieszył kroku. Tuż za peronem wyrastała masywna wieża ciśnień, przeszkoda nie do ominięcia. Mężczyzna zaklął pod nosem. Jeśli głupie babsko zaraz nie skoczy, zginie na miejscu.

Ledwo to pomyślał, nieznajoma puściła się okna i wpadła mu prosto w ramiona. Oboje runęli jak dłudzy. Gramoląc się z ziemi, Christian przypadkiem dotknął jędrnej piersi kobiety.

Chwycił nieznajomą za ramię i pomógł jej wstać.

- Na litość boską, oszalała pani?! - krzyknął.

Kobieta tymczasem odzyskała równowagę, wyszarpnęła mu się i zaczęła spokojnie poprawiać płaszcz. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że otarła się o śmierć. Christian zacisnął szczęki. Miał ochotę nią potrząsnąć, żeby sobie uświadomiła, jakiego napędziła mu strachu. Nie mógł pojąć, dlaczego w ogóle chciał ją ratować. Nie zwykł troszczyć się o innych, zwłaszcza o obce stuknięte osoby.

- Zwariowała pani? - powtórzył trochę łagodniejszym tonem, gdy stwierdził, że kobieta jest młoda.

Uznał, że wstydzi się popatrzeć mu w twarz. Wkrótce przekonał się, że to nieprawda.

Dziewczyna uniosła głowę i rzuciła mu spojrze-

nie, które wyraźnie mówiło, że to on jest niespełna rozumu.

- Nie zwariowałam, proszę pana. Dokładnie wiedziałam, co robię.

Garret osłupiał, bardziej zaskoczony niedorzecznym oświadczeniem niż widokiem anielskiej twarzy. Tak przynajmniej próbował sobie wmówić, lekceważąc przyspieszone bicie serca.

Nieznajoma była piękna. Miała słodkie, pełne usta, rozkoszne rumieńce na kremowobiałych policzkach, ciemne brwi w kształcie łuków, wyraziste oczy i czarne, gęste włosy. Christian musiał oderwać od niej wzrok, żeby zaczerpnąć oddechu. Szybko jednak się opanował i zapytał:

- W takim razie proszę mi powiedzieć, jak zamierzała pani uniknąć spotkania z tamtą wieżą.

Dziewczyna podążyła spojrzeniem za jego ręką i zmarszczyła brwi. Ciemnobrązowe oczy rozszerzyły się gwałtownie, na twarzy odmalowało zakłopotanie. Pełne usta rozchyliły się, język zwilżył dolną wargę.

Christian nie przypuszczał, że niewinny odruch może być tak prowokujący.

- Och, nie zauważyłam jej.

Kobieta uśmiechnęła się łobuzersko. Christianowi raptem zaschło w gardle. Odchrząknął, zadając sobie w duchu pytanie, gdzie podział się cały jego gniew.

- Mogła pani zostać poważnie ranna.

- Ale nic mi się nie stało. Dzięki panu. Przepra-

szam, że na pana warknęłam, ale miałam bardzo męczący dzień. Nie wiedziałam, że moja praca będzie wymagała biegania za pociągami.

Garret zauważył w pewnym momencie, że słucha brzmienia jej głosu, a nie słów.

- Musiałam uzyskać zdecydowaną odpowiedź - mówiła dalej.

- Odpowiedź?

- Tak.

Christian dostrzegł małą szparkę między zębami dziewczyny. Zaskoczony stwierdził, że podoba mu się ta drobna skaza. Łagodziła doskonałość rysów i pasowała do szelmowskiego błysku w oczach.

- Powiedział „tak”.

- „Powiedział tak” - powtórzył Christian jak papuga. Nie mógł się skupić. - A na co właściwie się zgodził?

- Na propozycję małżeństwa!

- Rozumiem.

Oczywiście nic nie rozumiał, ale odpowiedź zdecydowanie nie przypadła mu do gustu. Prawdę mówiąc, poczuł się mocno rozczarowany. Śmieszne. Przecież nie znał tej kobiety. Dlaczego miałoby go obchodzić, że się zaręczyła? I że to ona się oświadczyła? Wprawdzie takie postępowanie było niezgodne z konwenansami, ale ściganie pociągów również nie należało do przyjętych zachowań.

Uświadomił sobie nagle, że właśnie dlatego niezajoma go zaintrygowała.

- Jeszcze raz panu dziękuję. Miłego dnia.

Nim Garret pozbierał myśli, dziewczyna w różowym płaszczu ruszyła szybkim krokiem przez opustoszały dworzec.

Czekając na dorożkę, zdążył przekonać samego siebie, że miał szczęście. Jeszcze chwila, a wymknęłoby mu się, że chętnie przesunąłby językiem po uroczej szparce między zębami dziewczyny. Korciło go również, żeby sprawdzić, co kryje się pod płaszczem albo jaka jest w dotyku jej skóra.

Była damą czy nie? Ubierała się i mówiła jak dama, ale zachowywała się całkiem inaczej niż dystyngowane kobiety, które wcześniej spotykał. Christian potrząsnął głową, odpędzając obraz nieznanajomej. Mało prawdopodobne, żeby jeszcze kiedyś ją zobaczył. I dobrze. Podejrzewał, że miłość jako uczucie jest wytworem wyobraźni, a samo słowo łagodniejszym określeniem żądzy.

Poza tym, czyż nie poinformowała go, że jest zaręczona?

Rosalyn rozejrzała się po przestronnym pomieszczeniu. Na długich stołach i licznych półkach leżały skrawki materiałów, kolorowy papier, świecidełka, klej, szpilki, satyna, koronki i wiele innych rzeczy potrzebnych do wyrobu ozdób. Trudno jej było uwierzyć, że pracownia walentynek powstała przed trzydziestu laty w jednym pokoju prywatnego domu. Z czasem Esther Howland

przeniosła ją do eleganckiej siedziby w centrum miasta i zatrudniła najzdolniejsze mieszkanki Worcester. Płaciła dobrze, a sam zakład słynął z tego, że jest bardzo miłym miejscem pracy.

Zatrudniona w nim od ośmiu tygodni Rosalyn zgadzała się z tą opinią.

Najstarsze pracownice poinformowały ją, że wszystko zaczęło się w roku 1848, kiedy świeżo upieczona absolwentka Holyoke doszła do wniosku, że potrafi robić walentynki dorównujące albo przewyższające jakością importowane, które jej ojciec sprzedawał w swoim sklepie papierniczym. Dowiodła tego, mając z początku do dyspozycji jedynie kolorowe obrazki i elegancką papeterię.

Cała rodzina była zaskoczona, kiedy brat Esther zabrał ze sobą kilkanaście walentynek do Bostonu i Nowego Jorku... i wrócił z zamówieniami o wartości kilku tysięcy dolarów.

W ten sposób interes ruszył z miejsca i od tamtego czasu nieustannie się rozwijał. Najpierw fabryczka zajmowała jeden pokój, niebawem całe piętro domu rodziców Esther, a w roku 1870 panna Howland oficjalnie dokonała otwarcia Nowoangielskiej Pracowni Walentynek przy Main Street. Projektowała i wykonywała nie tylko kartki walentynkowe, ale również koszyki, ozdobne koperty i kartki na wszelkie okazje, zapewniając sobie obroty przez cały rok.

Rosalyn lubiła słuchać o historii fabryki. Podo-

bało jej się, że Esther Howland, dzielna kobieta i najlepsza szefowa na świecie, sama zapracowała na swój sukces. Przy okazji dziewczyna poznała kilka legend związanych z obchodami dnia świętego Walentego. Jedną usłyszała od panny Howland w dniu, kiedy zgłosiła się do pracy.

Panna Howland powiedziała jej, że w czwartym wieku naszej ery kapłan o imieniu Walenty sprzeciwił się okrutnemu rzymskiemu prawu zakazującemu zawierania związków małżeńskich. Władca o kamiennym sercu, który wydał taki dekret, uważał, że żonaci mężczyźni będą woleli zostawać w domu, zamiast wyruszać na wojny, a potrzebował wielu żołnierzy.

Święty kapłan w sekrecie udzielił ślubu wielu parom, nim został uwięziony i skazany na śmierć. Imiona poślubionych zabrał ze sobą do grobu. Na cześć patrona zakochanych ustanowiono dzień świętego Walentego.

Rosalyn uśmiechnęła się do siebie. Tak, tę legendę lubiła najbardziej. Doszła do wniosku, że i ona ma dużo wspólnego z rzymskim kapłanem: tak jak on dochowywała tajemnic w imię miłości. Ostatni sekret również zatrzyma dla siebie, pomyślała, czując w kieszeni spódnicy ciężar dziesięciodolarówki. Nie udało się jej przekonać nerwowej panny Balderdash, że zapłata nie jest konieczna.

Całym sercem zgadzała się z nią, że kobieta ma prawo ponaglić niezdecydowanego mężczyznę.

Jej zdaniem pan Letterman bez wątpienia należał do tej kategorii.

Dzięki Bogu, że zdążyła przed odjazdem pociągu. Zmarszczyła czoło na wspomnienie własnej nieostrożności. Gdyby pracodawczyni dowiedziała się o jej wyczynie, byłaby bardzo niezadowolona. Przystojny wybawca zapewne uznał ją za straszną głuptaskę. Rosalyn przerwała pracę. Przed oczami stanął jej nieznajomy z dworca: lśniące czarne włosy, męskie rysy, imponująca sylwetka. Zamożny człowiek, sądząc po drogim burgundowym płaszczu. I zapewne światowy.

Z miłych rozmyślań wyrwała ją Wynette Gibson.

- Rosalyn, nie jesteś choć trochę ciekawa Christiana Garreta? Tak lubiłaś Callie Garret, a on jest jej synem...

- Pasierbem. - Dziewczyna wbiła szpilkę w papier, kończąc wzór w kształcie serca. Wzmianka o Christianie popsuła jej humor. - Nie mam najmniejszej ochoty go poznać. Pan Garret zupełnie mnie nie interesuje. Jego też nie obchodziło zdrowie Callie.

Natychmiast pożałowała uszczypliwej uwagi. Na myśl o Christianie Garrecie krew zaczęła pulsować jej w skroniach.

Szczęk nożyczek dobiegający z lewej strony raptem ucichł. Maggie Cain skończyła wycinać serce z różowego papieru. Rosalyn podała kartkę z wykonanym wzorem sąsiadce z prawej, Hillary Westscott, i zmęczona oparła łokcie o stół. Z przy-

musem uśmiechnęła się do pulchnej matrony, która siedziała naprzeciwko niej.

- Przepraszam, że na ciebie warknęłam, Wynette. Callie nie żyje od dwóch miesięcy, ale nadal mi jej brakuje. Pan Garret nie przyjechał na pogrzeb ani nie odpowiedział na moje listy, tak jak przez ostatni rok nie odpisywał na listy Callie. Nie jestem ciekawa człowieka niewychowanego i do tego bez serca.

Wynette machnęła ręką i sięgnęła do małego koszyczka z papierowymi różami. Posmarowała kartkę klejem i zgrabnie umieściła kwiatek we właściwym miejscu.

- Nie myśl o tym, Rosalyn. Wszystkie wiemy, co ostatnio przeżyłaś. Najpierw umarła pani Garret, a potem ten nieustępliwy adwokat wyrzucił cię z domu. Całe szczęście, że panna Howland miała akurat wolny pokój do wynajęcia, bo inaczej byłabyś w kłopotcie. W dodatku Alice Carter mieszka obok ciebie. To dopiero zbieg okoliczności! Podobno znacie się od wieków. - Po krótkiej pauzie Wynette spytała ostrożnie: - Brałaś pod uwagę możliwość, że pan Garret nie dostał twoich listów?

- Dostał - odparła Rosalyn sucho. - Adwokat nie miał trudności z poinformowaniem go o spadku, a pan Garret nie zwlekał z poleceniem, żeby mnie wyrzucić na ulicę.

Kobieta pokiwała głową ze współczuciem, ale na jej twarzy malowało się powątpiewanie.

- A jeśli pan Garret wcale nie wydał takiego po-

lecenia? Jeśli nie wie o śmierci mat... macochy? Adwokat mógł działać zgodnie z instrukcjami pozostawionymi przez męża Callie.

- Możliwe. Henry Garret umarł, nim zamieszkałam u Callie, i nic o mnie nie wiedział.

Zerknęła na sąsiadkę z lewej. Maggie podsunęła jej kolejne papierowe serce, które właśnie skończyła wycinać, i uśmiechnęła się życzliwie.

- Rozumiem, co czujesz, Rosalyn. Callie była dla ciebie kimś wyjątkowym. Przyjęła cię do siebie, kiedy twoi rodzice umarli, i kochała jak córkę, której nigdy nie miała. Odpłaciłaś jej, kiedy umierała. Opiekowałaś się nią do śmierci. Dzięki Bogu, że znała Esther, bo nie wiadomo, gdzie teraz byś się podziewała.

Hillary pociągnęła Rosalyn za rękaw.

- A co by było, gdybyś została w domu i przyjechałby pan Garret? Musiałabyś spakować się w pośpiechu i wyprowadzić natychmiast.

Rosalyn powstrzymała się od uwagi, że nie minął tydzień od śmierci Callie, gdy zjawił się adwokat, energiczny człowieczek o nazwisku Kellum Toombs. Kazał jej się spakować i od razu wynieść. Dał jej dokładnie trzy godziny. Rosalyn wzięła ze sobą parę walentynek, żeby pokazać je Esther Howland i błagać o pracę. Wiedziała, że nigdy nie zapomni serdecznego powitania, szczerego zainteresowania jej talentem ani wielkiego smutku z powodu śmierci bliskiej im obu kobiety.

Esther i Callie były wielkimi przyjaciółkami. Poznały się w szkole w Holyoke. Kilka miesięcy przed uzyskaniem dyplomu Callie spotkała Henry'ego Garreta. Wdowiec zdobył jej serce w ciągu kilku zaledwie tygodni. Po ukończeniu szkoły Esther poszła do renomowanego college'u, a Callie wyszła za mąż. Nadal się przyjaźniły, ale rzadko widywały, zajęte swoimi sprawami. W roku 1850 Esther rozpoczęła zyskowną i przyjemną produkcję walentynek.

Rosalyn stłumiła głębokie westchnienie. Tęskniła za Callie, za jej towarzystwem i opowiadanymi przez nią uroczymi historyjkami. Była zadowolona, że nowa praca wypełnia jej czas. W poprzednim miesiącu dostarczyła zakochanym ponad dwadzieścia kartek walentynkowych, upominków i koszyków. Tygodnie przed dniem świętego Walentego były najpracowitsze w roku.

W miarę jak zbliżał się czternasty lutego, dziewczęta, które chciały dodatkowo zarobić, przyjmowały specjalne zlecenia również w soboty. Rosalyn potrzebowała pieniędzy, więc zawsze zgłaszała się na ochotnika.

Lubiła grać rolę Kupidyna, ale jeśli będzie znowu musiała iść na jakiś ślub...

- Rosalyn! Hej, Rosalyn!

Dziewczyna zakryła twarz rękami. Alice Carter. Aż za dobrze wiedziała, jaką wieść przynosi młoda sprzedawczyni. Choć uważała Alice za najlepszą przyjaciółkę, ostatnio na jej widok zaczęła odczu-

wać lęk. Zerknęła między palcami i serce jej zamarło na widok ozdobnej koperty, którą wymachiwała energiczna osiemnastolatka, idąc przez pracownię. Jęknęła głośno.

- Ślub numer cztery, Kupidyń! - oznajmiła dziewczyna ze śmiechem. - A czego się spodziewałaś? Byłoby nieuprzejme z twojej strony, gdybyś nie poszła na ślub dwóch papużek, które połączyły się dzięki tobie, przecież wiesz.

Rosalyn powoli opuściła ręce i spiorunowała wzrokiem rozradowaną przyjaciółkę. Alice zanurzyła palec w pojemniku z klejem, który stał obok Wynette. Następnie, trzymając dłoń w górze, podszła do ściany i przykleiła na niej zaproszenie obok trzech wcześniejszych.

- Co założysz tym razem, Rosy?

- Nie idę.

Wynette zdusiła chichot.

- Musisz iść. Nie możesz wzgardzić zaproszeniem. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodała: - Panna Howland na pewno sobie zażyczy, żebyś poszła. To korzystne dla firmy.

Hillary nachyliła się z figlarnym uśmiechem i poklepała koleżankę po ramieniu.

- No, Rosy. Nie miałaś jeszcze na sobie mojej niedzielnej sukni. Mogłybyśmy zwęzić ją tu i tam...

- Nie idę. - Rosalyn uderzyła ręką w stół. - Nie znam tych ludzi!

Nie mogła pojąć, dlaczego wszyscy ją zaprasza-

ją. Owszem, dostarczała walentynki oraz piękne i drogie koszyki starannie udekorowane satyną, papierowymi różami i jedwabnymi wstążkami, ale przecież nie aranżowała małżeństw! I jeszcze ten głupi przydomek!

- Kupidynie, Kupidynie, pogódź się z losem - drażniła ją Alice.

- Nic z tego - oświadczyła Rosalyn, tym razem z mniejszym przekonaniem. - W zeszłym tygodniu założyłam jedyny wyjściowy strój Maggie, a tydzień wcześniej pożyczyłam suknię od panny Howland. Nie chcę prosić o następną, więc sprawa jest przesądzona.

- Moja matka świetnie sobie radzi z igłą - powiedziała Hillary. - Kiedy ten ślub, Alice?

- W środę o czwartej. W kościele West England.

- Kim jest szczęśliwa para? Domyślasz się, Rosalyn?

Dziewczyna w skupieniu zmarszczyła brwi. Kto? Może Angel Vanderbuilt, która zemdląła, gdy dostała walentynkę od syna bankiera, Todda Butlera. Rosalyn uśmiechnęła się na to wspomnienie. Albo... Abigail Swertz i George Perry? Abigail napomknęła, że nie będzie czekać do dnia świętego Walentego, żeby przyjąć oświadczyny. Hmm. Rosalyn podejrzewała, że ci dwoje spotykają się dość często bez zgody rodziców, więc... Wzruszyła ramionami.

- Nie. Nie wiem.

- Abigail Swertz i George Jakiśtam - oznajmiła Alice.

Rosalyn westchnęła. Czuła jednocześnie ulgę i irytację. Może powinna pójść na ślub, by upewnić się, że zakochanym nic nie przeszkodzi w zawarciu małżeństwa.

Wynette dostrzegła wyraz rezygnacji na twarzy dziewczyny. Klasnęła w dłonie i posłała jej promienny uśmiech.

- Uczeszę cię!

A niech to, pomyślała Rosalyn. Dobrze przynajmniej, że praca u panny Howland jest ciekawa i dobrze płatna. Ożywiła się na tę myśl. Z jej obliczeń wynikało, że do wiosny zaoszczędzi dość pieniędzy na opłatę czesnego za pierwszy semestr college'u.

Po studiach przestanie odgrywać rolę Kupidy na. Zacznie uczyć dzieci i tłumaczyć im, dlaczego edukacja jest ważna. Pewnego dnia spotka właściwego mężczyznę, ale do tego czasu będzie panią swojego losu.

Wyłączyła się z rozmowy i pochyliła nad papierowym sercem. Myślami wróciła do Garreta. Ciekawe, czy pasierb z szacunkiem potraktuje spuściźną po Callie, czy też bezdusznie odda wszystko na aukcję? Miała nadzieję, że Christian zatrzyma sobie na pamiątkę coś, co będzie mu przypominało o kobiecie, o której najwyraźniej zapomniał.

2

- Musi gdzieś tu być - mruknął Christian do siebie.

Kopnął pudło na kapelusze, ukląkł i zjrzał pod łóżko. Nic. Przeszukał ostatni pokój w domu i znalazł tylko kolorowe błyskotki, skrawki jedwabiu i bibułkę na dębowym sekretarzyku pod oknem. Szwalnia, pomyślał, zerkając na wiklinowy koszyk, udekorowany koralikami i różnobarwnymi wstążkami.

Ani śladu biżuterii.

Idąc do wyjścia, dostrzegł świstek papieru leżący na brzegu biurka. Wziął go do ręki i przeczytał: „Bądź naprawdę moja. Moje serce...”

Kobiece pismo urywało się nagle.

- Cholerne walentynki - burknął mężczyzna.

Wyszedł z pokoju i ruszył na dół po schodach. Z wieszaka stojącego przy drzwiach zdjął kapelusz. Adwokat na pewno coś wiedział o rubinach. Rzecz takiej wartości nie mogła rozpuścić się w powietrzu, a Christian nie wierzył, żeby Callie pozbyła się klejnotów. Dostała je w prezencie od Henry'ego Garreta, a o ile znał charakter swojej macochy, prędzej sprzedałaby duszę niż naszyjnik. Sentymentalna stara baba.

Musi znaleźć te przeklęte kamienie.

Wyszedł na jasny blask zimowego słońca i zamknął za sobą drzwi skromnego piętrowego domu, w którym wyrodny ojciec i jego druga żona cieszyli się małżeńskim szczęściem. Stał na stopniach i powiódł wzrokiem po okolicy. Gdy podjechała dorożka, rzucił woźnicy adres prawnika.

A jeśli Kellum Toombs nie miał rubinów? Gdzie mogły się podziać? Nie wyglądało na to, żeby do domu ktoś się włamał, a Toombs nie wspominał o żadnym sejfie.

Poirytowany Christian wyrzął przez okno powozu. Nie, Worcester w stanie Massachusetts nie było Nowym Jorkiem, ale najwyraźniej kwitło. On sam przekonał się, że kluczem do zdobycia szacunku są pieniądze.

Uderzył rękawiczkami po udzie i ściągnął brwi, przypominając sobie miejsca, w których szukał zguby. Nie doszedł do żadnych wniosków. Dorożka zatrzymała się w połowie ruchliwej Main Street. Christian wysiadł i rzucił monetę w wyciągniętą dłoń woźnicy.

W budynku było zimno. Christian, przyzwyczajony do nowojorskiej pogody, nie rozpiął ciepłego płaszcza. Stał w progu biura i przyjrzał się Kellumowi Toombsowi. Mężczyzna wyglądał na zdeenerwowanego. Może odczuwał wyrzuty sumienia.

Na widok gościa zerwał się na równe nogi, oczy mu się rozszerzyły.

Coraz bardziej podejrzliwy Christian opadł na krzesło stojące przy biurku i utkwiał spojrzenie w twarzy prawnika.

Małpie rysy mężczyzny wykrzywił grymas niepokoju. Adwokat usiadł i zaczął grzebać w papierach, unikając przenikliwego wzroku Garreta.

- Chyba zapomniał pan powiedzieć o pewnym drobiazgu - zaczął Christian.

Skrzyżował nogi i położył rękawiczki na kolanach, przez cały czas uważnie przyglądając się Toombsowi.

Mężczyzna popatrzył na niego szczerze zaskoczony.

- Jakim drobiazgu? Jestem pewny, że nie pominąłem żadnej rzeczy wymienionej w testamencie.

Wstał, zdjął z półki teczkę i położył ją na biurku. Gdy nachylił się nad dokumentami, okulary zjechały mu na czubek nosa. Zamiast je poprawić, Toombs opuścił głowę jeszcze niżej.

Christian obserwował go z ironicznym uśmiechem. Nie podobał mu się ten człowiek, ale, po prawdzie, lista osób, które mógł nazwać przyjaciółmi, była bardzo krótka.

Po chwili adwokat energicznie potrząsnął głową i przytrzymał palcem zsuwające się okulary.

- Tak, jestem pewny. Pamiętam, że wymieniłem wszystkie przedmioty, o których mowa w dokumencie.

Christian odczekał chwilę i powiedział cicho:

- Nie znalazłem naszyjnika. Rubinowego naszyjnika wartego małą fortunę, a znajdującego się kiedyś w posiadaniu Callie Garret.

Oczywiście nigdy do niej nie należał.

- Niestety, nic nie wiem o żadnej biżuterii. - Zmieszany Toombs przypominał nastroszoną sowę. - Pani Garret nigdy o niej nie mówiła, bo z pewnością bym pamiętał.

- Mój ojciec dał jej naszyjnik wkrótce po ślubie. Widziałem go u niej podczas ostatniej wizyty. - Christian patrzył twardo na prawnika. - Moja macocha miała do niego sentyment, więc jeśli nie pochowano jej w naszyjniku, co byłoby niedorzeczne...

- Jak pan wie, sam dopilnowałem pogrzebu, więc jestem pewny, że nie pochowano jej w rubinowym naszyjniku.

Christian zamilkł. Pan Toombs odstawił akta na miejsce i zwrócił się do klienta:

- W domu pani Garret mieszkała młoda dziewczyna, ktoś w rodzaju damy do towarzystwa.

- Skąd pan wie?

Christian wyprostował się czujnie, słysząc ton niechęci w głosie adwokata.

- Pani Garret przyszła do mnie kilka lat temu. Chciała zmienić ostatnią wolę męża, żeby zadbać o przyszłość młodej podopiecznej. - Pan Toombs wzruszył ramionami. - Nie mogłem nic zrobić. Henry zostawił rozporządzenie, że po śmierci jego żony wszystko ma otrzymać pan.

Właśnie czegoś takiego szukał Christian, brakującego elementu układanki. Wstał i zaczął spacerować po małym biurze.

- Dlaczego od razu pan mi o niej nie powiedział? Toombs rozprostował plecy.

- Sam się jej pozbyłem, więc uznałem, że nie ma potrzeby o niej wspominać.

- Niech mi pan opowie o tej dziewczynie - zażądał Garret.

- Niech pomyślę. Pani Garret wyjaśniła mi podczas tamtej wizyty, że od dłuższego czasu mieszka z nią sierota. Niestety, nie znam jej imienia ani nazwiska.

- Wie pan, dokąd poszła?

- Nie widziałem powodu, żeby pytać. To nie moje zmartwienie.

Christian zmarszczył brwi. Jego zdaniem Kellum Toombs nie byłby zdolny przepłoszyć nawet myszy.

- Wyrzucił pan dziewczynę na ulicę? Proszę powiedzieć, że pan tego nie zrobił.

- Zrobiłem.

Widać pan Toombs posiadał ukrytą siłę. Christian spojrzał na małego człowieka innym wzrokiem. Skoro mylił się w jednej sprawie, mógł mylić się w innej. Może adwokat próbował go zwieść. Ale to mu się nie uda!

- Dziwne, że nic pan nie pamięta, panie Toombs. Z pewnością Callie opowiadała panu o wychowawcy. Kim byli jej rodzice, skąd pochodziła?

Prawnik potrząsnął głową.

- Nie, nieboszczka pani Garret nie wymieniła jej nazwiska, ale zapewniam pana, że dziewczyna nie jest wytworem mojej wyobraźni. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby kobieta tak szybko się pakowała.

Christian wrócił na swoje miejsce, pan Toombs też usiadł.

- Widział pan, jak się pakowała?

Na zapadnięte policzki mężczyzny wypełzło rumieniec.

- Słucham?

- Widział pan, co chowała do walizek?

Usta Garreta wykrzywił ironiczny grymas. Najwyraźniej pan Toombs nie znał się na kobietach.

- Oczywiście, że nie widziałem!

Ostatnie słowa wypowiedział piskliwym głosem. Wziął głęboki oddech, a Christian zakaszłał, żeby ukryć śmiech.

- Zauważyłem jednak, że wyniosła z domu dość dziwne rzeczy.

Garret pochylił się do przodu.

- Proszę mówić.

- Kiedy wróciłem, żeby zamknąć dom i odebrać zapasowy klucz, młoda dama przyciskała do piersi... plik kartek walentynkowych.

Pan Toombs zaczął porządkować papiery na biurku. Christian omal nie zagwizdał ze zdumienia.

- Powiedział pan „kartki walentynkowe”?

- Tak.

- Co, do diabła, walentynki mają wspólnego ze skarbem rodzinnym wartym tysiące dolarów?

Nie udało mu się zapanować nad irytacją. Prawnik najpierw obudził w nim nadzieję, a potem rozwiął ją kilkoma słowami!

- Mogą mieć dużo wspólnego, jeśli pan uważa, że to dziewczyna wzięła naszyjnik.

Toombs zawiesił głos, a Christiana naszła ochota, żeby zdzielić go w nos.

- Widzi pan, panie Garret, Worcester ma swoją własną pracownię walentynek.

Adwokat igrał ze śmiercią albo rzeczywiście miał coś do powiedzenia.

- Pracownię walentynek? - rzucił Christian przez zęby.

Toombs z dumną miną skinął głową.

- Tak. Esther Howland ma zakład, w którym zatrudnia liczny personel. Dobrze się jej wiedzie. Jest bardzo bogata. Widzi pan, założyła wytwórnię w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym roku...

- Niech pan sobie daruje lekcję historii, Toombs, i przejdzie do rzeczy.

Garret wstał z krzesła i spiorunował prawnika wzrokiem. Jeszcze chwila, a udusi tego denerwującego człowieka. W tym momencie zrozumiał, o czym mówi adwokat. Jednocześnie przypomniał sobie nie dokończony liścik, który znalazł na se-

kreтарыku. Pojął również, skąd w domu Callie wzięły się bibułki, jedwabie, kolorowy papier.

- Całkiem możliwe, że ta młoda panienka...

- Pracuje w wytwórni walentynek - dokończył Christian i założył rękawiczki. - Poda mi pan adres zakładu?

- Oczywiście. - Ponaglony marsową miną klienta, Toombs szybko przejrzał notatnik i zapisał nazwę ulicy na świstku papieru. - Proszę, ale wątpię, czy w sobotę zastanie ją pan w pracy.

- Zobaczymy.

Christian wsadził kapelusz na głowę i wymaszerował z biura.

Rosalyn owinęła dwie walentynki w delikatną bibułkę i przewiązała je satynowymi wstążkami. Wsunęła do kieszeni płaszcza kartkę z adresami, założyła kapelusz i rękawiczki.

- Wychodzę, dziewczyny. Jeśli panna Howland zapyta, gdzie jestem, powiedzcie jej, że niebawem wrócę. Mam do pokonania tylko kilka przecznic.

- Dlaczego nie weźmiesz dorożki? - podsunęła Wynette. - Strasznie dzisiaj zimno. Zapytaj Jamy'ego. Od rana trzy razy dorzucał do pieca.

Uśmiechnęła się, kiedy chudy czternastolatek poczerwieniał na twarzy. Był bardzo nieśmiały. Panna Howland zatrudniła chłopca do palenia w piecach. Kobiety przekomarzały się z nim bezlitośnie, ale jednocześnie mu matkowały.

- Zimno, ale świeci słońce. Zresztą jestem ciepło ubrana.

Esther Howland trochę ostatnio przytyła w tali, dzięki czemu Rosalyn zyskała porządny płaszcz. Poza tym, idąc pieszo, mogła zaoszczędzić kilka pensów.

- Uważaj na siebie, kochanie, i pamiętaj o manierach.

Dziewczyna skwitowała śmiechem macierzyńską uwagę Wynette. Już pierwszego dnia odkryła, że cierpliwość, miły uśmiech i hart ducha są niezbędne w nowej pracy. Nie zawsze miło ją witano i doceniano rolę Kupidyna.

Rosalyn wzięła pakunki i ruszyła przez sklep znajdujący się od frontu budynku. Można tu było znaleźć wszystko, od rzeczy drogich i wymyślnych po proste i tanie: kartki okolicznościowe, koszyki z upominkami, ramki, papeterię. Klienci mogli wybierać do woli.

Oczywiście sklep stanowił tylko niewielką część firmy. W zakładzie pracowało dwadzieścia pięć kobiet, wykonując zamówienia, które napływały z całego kraju.

Słyszac dzwoneczki nad drzwiami, Rosalyn usunęła się z drogi. Do środka wszedł wysoki mężczyzna. Zdjął kapelusz, obrzucił wzrokiem kolorowy towar i uśmiechnął się do dziewczyny.

Rosalyn od razu go poznała. Jak mogłaby zapomnieć tę twarz, te czarne włosy!

- Spotkaliśmy się na dworcu - rzuciła bez zastanowienia.

Oblała się rumieńcem i zerknęła za siebie. Na szczęście w sklepie nie było nikogo, Alice widocznie poszła na popołudniową herbatę. Mogła jednak wrócić lada moment. Gdyby przyłapała ją na rozmowie z nieznanym, później używałyby sobie na Rosalyn bez litości. Ona natomiast nie potrafiłaby wyjaśnić, czemu znalazła się na dworcu, nie zdradzając sekretu!

- Skąd... skąd pan wiedział, gdzie mnie znaleźć?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Szerokimi ramionami, w których kobieta czułaby się bezpieczna. Dobry Boże, co jej chodzi po głowie? To zupełnie obcy człowiek. Prawda, że przystojny, o brązowych oczach skrywających tajemnicę, ale nie zna go przecież. Skarciła się za zbyt śmiałe myśli.

- Szedłem za panią.

Wcale nie wyglądał na zmieszanego, bez pośpiechu zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

Rosalyn zaczęła szybciej oddychać. Przycisnęła palkunki do piersi, jakby chciała się zasłonić. Jeszcze żaden mężczyzna nie patrzył na nią tak... intensywnie.

- Śledził mnie pan? - Głos miała piskliwy, serce waliło jej jak młot. - Dlaczego?

Była zaniepokojona i poruszona jednocześnie. Znanych mężczyzn mogła policzyć na palcach jednej ręki. Opiekowała się Callie i niewiele czasu zostawało jej na życie towarzyskie.

Pytanie chyba rozbawiło nieznanego, uznała Rosalyn, dostrzegłszy błysk w jego oczach. Gdy się uśmiechnął, pozazdrościła mu idealnie równych, białych zębów. Żadnej szparki, której musiałby się wstydzić tak jak ona.

- Wygląda pani na zaskoczoną - stwierdził.

W tym momencie dziewczyna przypomniała sobie o walentynkach. Rozluźniła uścisk. Może ich nie zniszczyła.

- Bo jestem. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś pana spotkam...

- Więc myślała pani o mnie?

Rosalyn przełknęła ślinę i nerwowo przesunęła językiem po wyschniętych wargach. Rumieniec rozlał się po całej jej twarzy.

- Nawet pana nie znam...

Przystojny nieznanomy uklonił się.

- Nazywam się Chris... Brown.

Dziewczyna zauważyła wahanie. Czyżby mężczyzna wstydził się pospolitego nazwiska? Niepotrzebnie, bo w nim samym nie było nic tuzinkowego. Ośmielona wyciągnęła rękę.

- Jestem Rosalyn Mitchell. Pracuję w tej firmie.

Pan Brown ujął podaną dłoń, nachylił się i złożył na niej pocałunek.

- Mają szczęście, że panią zatrudniają.

Po plecach Rosalyn przebiegł dreszcz. Zaraz jednak surowo upomniała się w duchu, że nie jest naiwną młodą dziewczyną, tylko dorosłą dwu-

dziesięcioletnią kobietą. Światowcy zwykle prawią komplementy damom.

- To ja mam szczęście, że tutaj pracuję - odparła z nutą rezerwy w głosie. - Moja pracodawczyni z pewnością zastanawia się czasem, czy nie popełniła błędu.

- Nie sądzę.

- Ależ tak. Już pan zapomniał... - Miała ochotę kopnąć się w kostkę, ale ciągnęła dalej pospiesznie, żeby uprzedzić komentarz: - Mogę panu w czymś pomóc, panie Brown?

- Może zacznie pani mówić mi Chris?

- Ledwo się znamy...

- Przeciwnie. Uważam, że znamy się bardzo dobrze.

Rosalyn zaschło w gardle. Oczywiście robił aluzję do wspólnego upadku na peronie. A może chodziło mu o sposób, w jaki czepiała się okna, nie zważając na to, co widać spod płaszcza? Zagryzła wargę, gdy przypomniała sobie chłodny podmuch powietrza na nogach. Ciekawe, co tak naprawdę zobaczył pan Brown.

- Żałuję, że był pan świadkiem mojego... niestosownego zachowania.

Tak, takie określenie usłyszałyby od Wynette, Alice lub Hillary. Aż skuliła się w sobie na myśl, że panna Howland nigdy nie dopuściłaby do podobnej sytuacji. Esther była damą. Z drugiej strony, siebie również Rosalyn uważała za damę.

Teraz musi skłonić pana Browna, żeby zapomniał o porannym incydencie, i pozbyć się go, nim wróci Alice.

- Jest pan niemiły.

Dostrzegłszy uśmiech w oczach mężczyzny, poczuła, że narasta w niej gniew. Ruszyła do drzwi.

- Proszę mi wybaczyć, ale mam coś do zrobienia. Wkrótce przyjdzie Alice. Zajmie się panem...

Chris położył jej dłoń na ramieniu.

- Przepraszam,

Rosalyn drgnęła, zaskoczona, że przez kilka warstw ubrań czuje ciepło męskiej ręki. Odwróciła się gwałtownie. Miała nadzieję, że jej zachowanie wygląda na naturalne. Co by było, gdyby pan Brown, znał jej myśli?

Z niechęcią spojrzała w płonące oczy.

- Nie powinienem był wprawiać pani w zakłopotanie - powiedział mężczyzna łagodnie.

Rosalyn nie należała do osób ukrywających własne emocje.

- Dlaczego właściwie pan tutaj przyszedł? Sądził pan, że moje dzisiejsze zachowanie to... zaproszenie?

Teraz on z kolei zdumiał się jej śmiałością. Jego nozdrza rozszerzyły się na chwilę, ale poza tym wyraz twarzy pozostał irytująco niewzruszony.

- Jestem w Worcester pierwszy raz, więc postanowiłem zwiedzić miasto.

- I trafił pan tutaj przypadkiem? - O dziwo, po-

czuła rozczarowanie. Więc nie szedł za nią. - Dlaczego pan skłamał?

Chris uniósł brew.

- Kto powiedział, że skłamałem? Czy oba powody nie mogą być prawdziwe?

Rosalyn dostrzegła ponad ramieniem Chrisa Browna, że właśnie nadchodzi Alice.

- Może w takim razie pójdzie pan ze mną? - zaproponowała pospiesznie. - Muszę dostarczyć dwie przesyłki. Porozmawiamy po drodze. Przy okazji zobaczy pan miasto.

Panna Howland nie pochwaliłaby takiej śmiałości, ale Rosalyn musiała szybko działać. Nie chciała zawieść zaufania Ilene Balderdash. Nim mężczyzna zdążył rozważyć propozycję, otworzyła drzwi, wzięła go pod ramię i wyciągnęła na chłodne powietrze. Pod jej dotykiem twarde mięśnie Chrisa Browna napięły się. Rosalyn natychmiast cofnęła rękę.

Przez chwilę stali przed sklepem, obserwując przechodniów. W soboty na Main Street zawsze panował duży ruch. Mieszkańcy okolicznych farm przybywali na cotygodniowe zakupy, studenci odpoczywali przed kolejnym męczącym tygodniem w Holyoke.

Farmerzy mieszały się z przedsiębiorcami w trzyczęściowych garniturach, bogate damy spacerowały z parasolkami dla ochrony przed zimowym słońcem, wiejskie kobiety, ubrane w płaszcze z samodziątu, miały na głowach kapelusze. Różnorod-

ność ludzkich typów była jedną z rzeczy, które Rosalyn najbardziej lubiła w Worcester.

- Ruchliwe miasto - stwierdził mężczyzna.

- Tak. Skąd pan pochodzi?

Od chwili, gdy usłyszała pierwsze słowa z ust pana Browna, próbowała rozgryźć jego akcent.

- Z Nowego Jorku. - Mężczyzna wziął ją za łokcie. - W którą stronę idziemy?

Rosalyn wskazała kierunek. Przez moment zastanawiała się, czy postępuje rozsądnie, ale zaraz uznała, że przecież otaczają ich ludzie. Mogła czuć się bezpieczna nawet w towarzystwie obcego mężczyzny.

- Pierwszy adres to Clark Street, trzy przecznice stąd.

- Co pani dostarcza?

Dziewczyna musiała solidnie wyciągać nogi, żeby nadążyć za długimi krokami towarzysza.

- Walentynki.

- Powinienem się domyślić - stwierdził mężczyzna, posyłając jej uśmiech.

Rosalyn potknęła się. Brown zręcznie uchronił ją przed upadkiem, nie zmieniając wyrazu twarzy. Dziewczyna zmarszczyła brwi. Lepiej żeby nie uśmiechał się do niej, ten przystojny diabeł!

- Robimy również inne rzeczy, nie tylko walentynki.

- Jakie?

Rosalyn zerknęła na jego profil, ale nie potrafiła wywnioskować z miny, czy mężczyzna nie robi

sobie z niej żartów. Nie dostrzegła również uśmiechu. Chwała Bogu.

- Koszyki, papeterię, kartki urodzinowe, wszystko, co mogą własnoręcznie wykonać utalentowane kobiety. Firma przez okrągły rok wypełnia zamówienia sklepów z całego kraju. W Worcester również nie narzekamy na brak zleceń. Nudzę pana?

- Ależ skąd.

Obok nich przeszły dwie młode kobiety. Chichocząc, zmierzyły mężczyznę wzrokiem. Jeszcze długo się oglądały. Rosalyn mocniej zacisnęła dłoń na ramieniu Chrisa Browna. Idiotyczny odruch! Pan Brown nie jest przecież jej narzeczonym. Ledwo go zna. Powinna o tym pamiętać.

Gdy dotarli do skrzyżowania, mężczyzna zwolnił kroku, żeby Rosalyn mogła ominąć błoto. Zachowywał się jak dżentelmen, to ją nieco uspokoiło. Zza rogu wypadł zimny wiatr, wciskając się pod poły płaszcza. Dziewczyna zadrżała.

- W Nowym Jorku jest zimno?

- Bardzo.

Gdy milczenie się przedłużyło, Rosalyn zaczęła się zastanawiać, dlaczego pan Brown zgodził się jej towarzyszyć. Raptem uświadomiła sobie, że to ona bezceremonialnie wyciągnęła go ze sklepu. Cóż, pomyślała rozżłoszczona, wcale nie musiał iść. Teraz też mógł w każdej chwili pójść w swoją stronę. Właściwie powinna mu powiedzieć, że nie wypada jej spacerować z obcym mężczyzną.

- Długo pani pracuje w firmie?

Ach, więc przypomniał sobie o jej obecności! Rosalyn stwierdziła z zaskoczeniem, że odeszła ją złość.

- Dostatecznie długo, by wiedzieć, że nie chcę dużego wesela.

Brown zatrzymał się jak wryty. Dziewczyna roześmiała się na widok jego zdziwionej miny.

- Chodzi o to, że czasami pośredniczę w oświadczeniach, a potem szczęśliwa para nalega, żebym przyszła na ślub. Mam dość tych uroczystości.

Mężczyzna ściągnął brwi. Wyglądał na urażonego. Rosalyn speszyła się i cofnęła o krok. Co takiego powiedziała, u licha?

- Więc dzisiaj rano nikomu pani się nie oświadczyła?

- Oświadczyłam - wykrztusiła i zasznurowała usta.

Nie mogła zdradzić nic więcej, choć po wyrazie twarzy pana Browna poznała, że chętnie wyciągnąłby z niej całą prawdę. Cóż, wcale nie musi z nim rozmawiać.

- Jest pani zaręczona?

- Nie.

- Nic nie rozumiem.

Rzeczywiście był zdeorientowany i troszkę zły. Ponieważ sądził, że jest zaręczona? Omal nie uśmiechnęła się na tę niedorzeczną myśl, ale gdy jeszcze raz spojrzała na Chrisa Browna, doszła do wniosku, że się pomyliła.

- Nie jestem zaręczona, ale oświadczyłam się

dziś rano pewnemu mężczyźnie. Tylko tyle mogę powiedzieć, więc reszty musi pan sam się domyślić.

Ruszyła przed siebie. Zaraz jednak usłyszała za sobą kroki, a chwilę później mężczyzna złapał ją za ramię i szarpnięciem odwrócił do siebie. Rosalyn omal nie upuściła pakunków. Spiorunowała go wzrokiem i postukała się palcem po czole.

- Panie Brown, obawiam się, że potrzebuje pan pomocy lekarza.

Mężczyzna zignorował tę diagnozę.

- Oświadczyła się pani w czyimś imieniu?

- Właśnie - szepnęła. - Ale obiecałam dochować tajemnicy, więc proszę mi przyrzec, że pan też nikomu nie powie.

Na ustach Chrisa pojawił się szeroki, zniewalający uśmiech. Rosalyn cofnęła się przezornie. Ależ ten mężczyzna potrafił się uśmiechać!

- Więc nie jest pani zaręczona.

- Nie.

Poufałym gestem, jakby znali się od dawna, Chris wsunął sobie jej dłoń pod ramię. Skręcili z Main Street w boczną uliczkę. Minęli miejski park, dumę Worcester, i wyszli na Clark Street. Po obu stronach ciągnęły się okazałe domy z wypielęgowanymi trawnikami, teraz poszarzałymi od mroźnego oddechu zimy. Nagie drzewa były starsze od najstarszych mieszkańców miasta.

Rosalyn zastanawiała się, czy rzeczywiście dostrzegła ulgę w piwnych oczach, gdy przyznała, że

nie ma narzeczonego. Doszła jednak do wniosku, że jej się zdawało. Pan Brown nie znał nikogo w Worcester i zapewne czuł się samotny.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie - przypomniał.

- Na jakie pytanie?

Naprawdę nie pamiętała. Wszystko przez ten uśmiech.

- Jak długo pracuje pani w firmie?

- Ach, o to chodzi. Ostatnim razem, kiedy odpowiedziałam na pańskie pytanie, niemal wpadł pan we wściekłość. Obawiam się, że...

Rosalyn nie zdążyła nawet mrugnąć okiem, gdy *znalazła się w ramionach* Chrisa.

- Zniszczy pan walentynki - zwróciła mu uwagę, siląc się na spokój.

- Proszę mi odpowiedzieć.

- A jeśli nie odpowiem?

Dziewczyna była zaskoczona własną odwagą i jednocześnie zawstydzona, że czuje się dobrze w tej sytuacji. Prawdziwa dama nie pozwala na takie poufałości, zwłaszcza w miejscu publicznym. Poza tym nie powinna zapominać, że ma do czynienia z nieznajomym.

Gwałtownie zaczerpnęła oddechu, gdy mężczyzna przyciągnął ją do siebie. Zapach wełny i zimy skojarzył się Rosalyn z ciepłym kominkiem i futrzanymi pantoflami.

- Wtedy panią pocałuję.

3

Pocałuje? Nie, nie mogła na to pozwolić.

- Ja...

Za długo się wahała. Brown musnął wargami jej usta. Rosalyn cofnęła się gwałtownie... ale dopiero kiedy poczuła, że język mężczyzny napotkał szczelinę między zębami.

- Proszę tego nie robić - wyszeptała.

- Czego? Mam pani nie całować?

Przyciskał ją do siebie, jakby się bał, że mu ucieknie.

-Tak!

Rosalyn oblała się rumieńcem i rozejrzała płochliwie. Próbowwała się odsunąć, ale Chris trzymał ją mocno.

- Nikt cię nie całował?

Rosalyn nagle zapragnęła, żeby ziemia rozstała się pod nią.

- Niech pan nie będzie śmieszny. - Głos miała piskliwy i urażony. - Oczywiście, że mnie całowano. Mam dwadzieścia lat!

- Więc dlaczego jest pani zła?

Był szczerze zaskoczony.

Dziewczyna uwolniła się zdecydowanym ruchem. Nie mogła myśleć, kiedy Chris tulił ją do siebie. Do licha, nie mogła myśleć również wtedy, gdy na nią patrzył. Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Mężczyzna dogonił ją w dwóch krokach.

- Nie gniewam się, że mnie pan pocałował. - Nie patrzyła na niego. Była zła na siebie za chwilę słabości. - Jeśli to dla pana takie ważne, pracuję od dwóch miesięcy.

- Mieszka pani z rodzicami?

Rosalyn zmarszczyła brwi, słysząc napięcie w jego głosie. Wyczuła coś więcej niż zdawkowe zainteresowanie, ale nie widziała powodu, żeby zbyć pytanie milczeniem.

- Nie. Mieszkam u mojej pracodawczyni, panny Howland. Wynajmuje mi pokój.

- Jest pani sierotą?

Dziewczyna stłumiła westchnienie i wyjęła z kieszeni kartkę z adresem. Rozejrzała się i ruszyła dalej.

- Tak. A pan jest śledczym? Mieszka pan z rodzicami? Jak pan zarabia na życie w chwilach wolnych od nękania dam osobistymi pytaniami?

Mężczyzna uniósł brew, a na jego ustach zatańczył uśmiech. Rosalyn na wszelki wypadek odwróciła wzrok. Jeszcze nie ochłonęła po pocałunku.

Poczuła ulgę na widok dwupiętrowego wiktorjańskiego domu z gankiem podpartym kolumnami i kolistym podjazdem. Gdy szła wąską alejką

ku frontowym drzwiom, poły jej płaszcz ocierały się o żywopłot. Brown podążał za nią. Była ciekawa, czy zamierza wejść razem z nią do domu. Stwierdziła, że ta myśl jej się podoba.

Drzwi otworzyła młoda kobieta z uprzejmym uśmiechem na twarzy. Na szarej sukni miała biały fartuch, jakby właśnie wyszła z kuchni. Lekki zapach cynamonu sprawił, że do ust Rosalyn napłynęła ślina. Całkiem zapomniała o obiedzie.

- W czym mogę pomóc?

Gospodyni spojrzała najpierw na nią, a potem przeniosła wzrok na mężczyznę.

Rosalyn zadrżały usta, gdy dostrzegła reakcję kobiety. Tak, Chris był bardzo przystojny. W tym kłopot. Dlaczego jej nie odstępował, jakby bawiło go towarzystwo dziewczyny z małego miasteczka? Co interesującego w niej znajdował?

Drzwi otworzyły się szerzej.

- W czym mogę pomóc? - Tym razem w głosie gospodyni zabrzmiało zniecierpliwienie.

Rosalyn otrząsnęła się z marzeń na jawie.

- Mam specjalną walentynkę dla Tabithy Gates. Młoda kobieta od razu się rozpromieniła.

- To ja!

Rosalyn wręczyła jej pakunek i obserwowała, jak panna Gates rozwiązuje czerwoną wstążkę. Tę chwilę lubiła najbardziej. Mina Tabithy świadczyła, że tym razem nie będzie niespodzianek.

Kobieta obejrzała kartkę ze wszystkich stron,

otworzyła ją i przeczytała. Przymknęła oczy w ekstazie i przycisnęła walentynkę do piersi. Rosalyn już nieraz widywała podobny wyraz twarzy. Czasami nawet go zazdrościła.

Nagle panna Gates otworzyła oczy. Zerknęła na mężczyznę i nachyliła się do Rosalyn.

- Ile kosztuje taka walentynka? - zapytała szeptem.

- Siedem dolarów.

- Siedem dolarów! Och, tyle pieniędzy! I to dla mnie.

Rosalyn doskonale wiedziała, co zaraz nastąpi. Tabitha objęła ją i uściskała mocno.

- Jak mogę pani podziękować?

Dziewczyna westchnęła w duchu. Dlaczego wszyscy z uporem przypisują jej całą zasługę? Ona tylko dostarcza walentynki.

- Ja jedynie wykonuję swoją pracę, panno Gates. Ale jeśli naprawdę chce pani coś dla mnie zrobić...

- Wszystko! Proszę tylko powiedzieć!

W oczach Tabithy pojawiły się łzy radości. Rosalyn stwierdziła, że kobieta jest całkiem ładna. Wzięła głęboki oddech.

- Proszę nie zapraszać mnie na ślub.

Chris Brown zamaskował uśmiech rękawiczką. Na twarzy panny Gates odbiło się zaskoczenie.

- Cóż, jeśli właśnie tego pani chce... Uprzedzam jednak, że Frank będzie nalegał.

- Proszę.

Rosalyn miała wielką ochotę szturchnąć Chrisa

łokciem. To nie on musiał pożyczać suknie od koleżanek z pracy. Skrzywiła usta, zawstydzona własnymi myślami.

Pożegnali uszczęśliwioną kobietę i ruszyli pod następny adres.

- Zawsze pytają o cenę? - zainteresował się raptem pan Brown.

Dziewczyna roześmiała się na wspomnienie własnego osłupienia, gdy po raz pierwszy była świadkiem reakcji obdarowanych.

- Tak. Zwykle to jest pierwsze pytanie.

- A jak brzmi drugie?

- Czy mężczyzna sam wybrał walentynkę - pospieszyła Rosalyn z odpowiedzią, dobrze pamiętając, co zrobił Chris, gdy niedawno zbyt długo się wahała.

- Panna Gates zapomniała je zadać?

Rosalyn skinęła głową i zerknęła na kartkę z adresem. Gdy wsuwała świstek z powrotem do kieszeni, Chris Brown ujął ją za rękę. Przystanęli oboje. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, dziewczynie zapało dech w piersiach. Przez rękawiczkę poczuła żar dłoni mężczyzny. To niemożliwe, pomyślała. Nie znała tego człowieka, choć serce mówiło co innego.

Patrząc mu w oczy, czekała, aż pierwszy się odezwie. Co za dzień! Pomyślała, że nigdy więcej nie zobaczy Chrisa, i zapragnęła przedłużyć tę chwilę. Mniejsza o przyzwoitość. Callie wierzyła, że prawdziwa miłość zdarza się tylko raz, więc nie wolno przegapić momentu, w którym nadchodzi.

Rosalyn nie była pewna, czy rzeczywiście znalazła miłość, ale wiedziała, że dzieje się coś ważnego.

- Ktoś musiał bardzo panią kochać. Widać to w pani oczach.

- Tak. Moi rodzice. I najlepsza przyjaciółka mojej matki. Wzięła mnie do siebie po ich śmierci.

Mężczyzna niemal do bólu ścisnął jej rękę.

- Panna Howland, o której pani wspomniała?

Głęboki, uwodzicielski głos przejmował dreszczem, zachęcał do zwierzeń. Tym razem Rosalyn się nie wahała.

- Nie. To była Callie Garret. Zmarła dwa miesiące temu.

Nagle do oczu dziewczyny napłynęły łzy. Mężczyzna przytulił ją z wyrazem współczucia na twarzy. Rosalyn nie zdawała sobie sprawy, że do tej pory dusiła w sobie żal. Teraz dała mu upust. Kiedy patrzyła na umierającą Callie, nie było ramienia, na którym mogłaby się wypłakać.

Zwłaszcza takiego.

Christian złożył wilgotną chusteczkę i schował ją do kieszeni płaszcza. Zamyślonym wzrokiem odprowadził Rosalyn spieszącą z ostatnim zleceniem.

Gdy wreszcie otarła łzy, wymówił się od dalszego spaceru, ale najpierw przekonał ją, żeby zjadła z nim kolację. Zdobycie jej zaufania okazało się nie takie łatwe, jak z początku sądził, ale i tak był z siebie zadowolony.

- Nie powinnam się tak denerwować kolacją z panem Brownem - mruknęła Rosalyn pod nosem.

Odrzuciła trzy stroje, nim zdecydowała się na spódnicę w gołębiem kolorze i różową bluzkę. Przeglądając skromną garderobę, doszła do wniosku, że powzięła dobrą decyzję.

Alice siedziała na łóżku i obserwowała ją z błyskiem ciekawości w oczach. Rosalyn po raz pierwszy żałowała, że przyjaciółka mieszka w sąsiednim pokoju. Ta dziewczyna nie potrafiłaby zachować sekretu, nawet gdyby od tego zależało jej życie.

Przez ostatnie pół godziny Rosalyn zbywała pytania o wysokiego nieznajomego. Okazało się, że Alice jednak zauważyła ich razem.

- Najbardziej podoba mi się niebieska satyna.

Ale ty oczywiście wiesz, co on woli - rzuciła dziewczyna chytrze.

Rosalyn odwróciła się od lustra i zaśmiała, mimo wszystko rozbawiona jej uporem.

- Alice Carter, powinnaś się wstydzić! Nie znam tego dżentelmena. Wiem tylko, jak się nazywa i że jest z Nowego Jorku.

Przyjaciółka klasnęła w dłonie.

- Nowy Jork!

Do licha! Po co w ogóle to powiedziała!

- Tak, z Nowego Jorku. To wszystko, co wiem.

- Mówiłaś, że znasz jego nazwisko.

- Oczywiście, że tak. Przecież nie poszłabym na kolację z kimś zupełnie obcym, nie sądzisz?

- Ja bym poszła.

Rosalyn pominęła milczeniem te śmiałe słowa. Wygładziła bluzkę, zastanawiając się, czy rzeczywiście nie powinna założyć sukni z niebieskiej satyny. Pan Brown zaprosił ją do Eleganty, wytworniejszej niż Casterillo, do której czasami chodziła z panną Howland w sobotnie wieczory.

Zebrała włosy w luźny węzeł na czubku głowy, zostawiając loczki na skroniach. Poprawiła spraną, ale całkiem przyzwoitą wełnianą spódnicę i uznała, że jest gotowa.

W żołądku czuła ściskanie. To tylko kolacja z miłym dżentelmenem, skarciła się w duchu. Wolałaby nie doznać miłosnego zawodu, ale jeśli ktośkolwiek mógłby złamać jej serce, byłby to Chris

Brown o płomiennych oczach i zuchwałym uśmiechu. Cóż, musi zachować czujność.

- Nie powiesz mi, jak się nazywa? Czy to wielka tajemnica?

Rosalyn westchnęła.

- Jeśli ci powiem...

- Przysięgam na grób matki!

- Alice! Nie powinnaś składać takich przysięg. To żadna tajemnica, ale nie chciałam, by wszyscy myśleli... że pan Brown jest moim narzeczonym. Po prostu, pierwszy raz przyjechał do Worcester i nikogo tu nie zna, więc dotrzymuję mu towarzystwa.

- Pan Brown...

Rosalyn uniosła rękę ostrzegawczym gestem.

- Chris Brown. Nie waż się wymienić jego nazwiska w pracy. Wiesz, jakie są dziewczyny. Jeśli coś zwęszą, wydadzą mnie za mąż, nim tydzień dobiegnie końca.

Dla większości kobiet głównym celem w życiu było poślubienie odpowiedniego mężczyzny. Rosalyn chciała najpierw pójść na studia. Nie zamierzała powtórzyć błędu Callie, która wprawdzie kochała męża, ale zawsze żałowała, że nie skończyła szkoły. Mężczyźni na ogół nie lubili, żeby ich żony uczyły się i pracowały, nawet jeśli nie Zabraniali im tego wprost.

Och, cóż to za myśli? Dopiero co poznała pana Browna, a już planuje, jak uprzejmie odrzucić jego oświadczenia! Niedorzeczne rozważania prze-rwał głos Alice.

- Właściwie jesteś już starą panną.

Rosalyn gwałtownie wciągnęła powietrze. Nie wiedziała, czy się roześmiać czy oburzyć. Zrobiła jedno i drugie.

- Jestem tylko dwa lata starsza od ciebie, Alice.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami. Nagle opuścił ją dobry humor.

- Właśnie. Ja też wkrótce będę starą panną. Kiedy panna Howland przyjmowała mnie do pracy, na pewno nie spodziewała się, że zostanę u niej na zawsze.

Rosalyn powstrzymała uśmiech i złagodniała, widząc ponurą minę Alice. Biedna dziewczyna przed rokiem straciła rodziców w katastrofie parowca i dopiero niedawno zaczęła na nowo się śmiać. Ruda i piegowata, nie była klasyczną piękną, ale miała łobuzerski urok. Sama Rosalyn też nie uważała się za ładną.

- Oczywiście, że kiedyś wyjdiesz za mąż. Kto mówi, że trzeba to zrobić przed dwudziestką? Dlaczego nie możemy nacieszyć się życiem, nim zaczniemy spełniać życzenia męża i wychowywać dzieci? -Rosalyn usiadła na łóżku i otoczyła ramieniem plecy przyjaciółki. - Myślałaś o tym, że by pójść na studia?

Alice wzruszyła ramionami.

- Po co? Mogę pracować w sklepie tak długo, jak zechcę. Panna Howland jest bardzo ze mnie zadowolona.

- A zastanawiałaś się, co zrobisz, jeśli panna Howland postanowi sprzedać firmę albo przejść na emeryturę?

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy z przerażenia.

- Chyba nie sądzisz...

- Nie powiedziałam, że tak zrobi. Radzę tylko, żebyś pomyślała o przyszłości. Na pewno wyjdiesz za mąż i nie będziesz musiała martwić się o takie rzeczy...

- Ale jeśli nie...

- Właśnie. Nie przypuszczam jednak, żebyś miała kłopoty ze znalezieniem męża. Uważam, że jesteś bardzo ładna.

- Naprawdę?

- Tak.

Alice rozchmurzyła się.

- Jakiego koloru ma oczy?

- Brązowe - odparła Rosalyn bez zastanowienia.

Słyszając wybuch śmiechu, jęknęła i chciała dać Alice klapsa. Przyjaciółka uchyliła się, chichocząc.

- Wiedziałaś, że mnie oszukujesz, wiedziałaś! Czy Chris Brown wie, że będzie jadł kolację ze słynnym Kupidynem z Worcester?

- Nie. I mam nadzieję, że nigdy nie dowie się o tym głupim przydomku. Kupidyn, też coś.

Siliła się na surowy ton, ale wargi jej drżały. Trudno było zachować powagę w obecności Alice.

- Przyjdzie po ciebie?

- Nie. - Rosalyn zaśmiała się na widok rozcza-

rowanej miny przyjaciółki. - Powiedziałam mu, że mieszkam z gromadą wścibskich dam. Zgodził się spotkać ze mną w restauracji.

- Nie!

- Tak. A teraz zmykaj, bo przez ciebie się spóźnię.

- Przeze mnie? - oburzyła się Alice. - Kiedy przyszłam, siedziałś na łożku i śniłś na jawie o Chrystie Brownie!

Rosalyn spiorunowała ją wzrokiem.

- Nieprawda.

Pozwoliła sobie na to niewinne kłamstewko, żeby zachować godność.

Do restauracji wpadł chłodny podmuch. Goście spojrzeli ku drzwiom. Zwłaszcza mężczyźni nie od razu odwrócili wzrok.

Christian rozumiał ich doskonale. Dziewczyna wręcz emanowała radością życia. Obserwował, jak zręcznie wymija elegancko nakryte stoliki. Wyobraził ją sobie w kosztownym futrze. Byłaby uderzająco piękna z nieskazitelnie białą cerą, ciemnymi włosami i oczami.

Do diabła, już teraz robiła piorunujące wrażenie.

Wstał, gdy do niego podeszła. Dostrzegł, że jest zdenerwowana.

- Dobry wieczór, panno Mitchell.

Ukłonił się szarmancko i ucałował jej dłoń.

- Dobry wieczór, panie Brown.

- Chris.

Zawahała się przez moment, w jej oczach ujrział podniecenie, strach, wątpliwości, nadzieję.

- Mów mi Rosalyn, proszę.

Garret uśmiechnął się z lekka.

- Już myślałem, że nigdy tego nie zaproponujesz.

Dziewczyna oblała się rumieńcem.

- Poznaliśmy się dopiero dzisiaj rano. - Na jej pełnych wargach igrał uśmiech.

- Wciąż mi to przypominasz.

Rosalyn zdjęła rękawiczki, położyła je na stoliku i zaczęła rozpinać płaszcz. Podała go chłopcu z obsługi. Christian obserwował ją, przeświadczony, że jego ciekawość jest zdrowa i naturalna. Uważał, że każda kobieta ma swoją cenę.

Boże, co za figura. Powoli przesunął wzrokiem po wydatnych piersiach, wąskiej talii i krągłych biodrach. Domyślał się, że nogi ukryte pod ciężką spódnicą są długie i smukłe. Pamiętał kształtne kostki, które rano miał okazję dostrzec.

Panna Mitchell była skończoną pięknnością i do tego miała charakter. Brak tłumy wielbicieli zdumiewał Christiana i budził podejrzenia, że coś jest nie w porządku z mężczyznami z Worcester.

Ciemnobrązowe oczy rozszerzyły się nagle. Dziewczyna dostrzegła jego taksujący wzrok. Więc nie jest całkiem nieświadoma męskiego pożądania, pomyślał Garret z rozczarowaniem i jednocześnie z pewną ulgą. I dobrze, bo w momencie gdy zdjęła płaszcz, wiedział, że musi ją zdobyć bez

względu na to, czy okaże się złodziejka, czy nie.

Kogo oszukiwał? Równie mocno pragnął tej kobiety rano na dworcu i później w parku, gdy ją całował. Teraz przysiągł sobie, że Rosalyn Mitchell wkrótce pozna go lepiej.

Przez długą chwilę patrzył w jej nieufne oczy, a potem uśmiechnął się, żeby rozładować napięcie. Podsunął dziewczynie krzesło i niby przypadkiem musnął palcami jej kark. Zadrżała.

Gdy siadał naprzeciwko niej, ich kolana się zetknęły. Rosalyn szybko przesunęła nogi w lewo. Garret zaśmiał się w duchu. Specjalnie wybrał mały stolik.

- Byłaś już tutaj? - zapytał lekkim tonem i wziął do ręki szklankę z wodą.

Pora uśpić jej czujność, potem zrobi następny ruch i wycofa się. Tę taktykę z powodzeniem stosował wobec kobiet niedoświadczonych w sztuce miłości czy też raczej pożądania.

Dziewczyna odchrząknęła. Jej oczy zachowały czujny wyraz. Najwyraźniej nie wiedziała, jak ocenić jego zachowanie.

- Nie. Panna Howland woli proste jedzenie, więc zwykle chodzimy do Casterillo.

Sięgnęła po wodę. Christian śledził jej ruchy, podziwiając długie, smukłe palce i dobrze utrzymane paznokcie.

Gdy zobaczył, że Rosalyn pilnie studiuje menu, unikając jego wzroku, z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

- Mam za ciebie wybrać?

Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Zaskoczyła go. Wyglądało na to, że powzięła jakieś postanowienie.

- Wolę sama zamówić. Słyszałam, że kotlety cięjące są tu doskonałe.

Twarz Christiana przybrała wyraz uprzejmego zainteresowania.

- Napijesz się wina?

- Nie piję alkoholu - odparła Rosalyn bez wahania. - Woda wystarczy.

Patrząc na jej wargi dotykające brzegu szklanki, przypomniał sobie ich słodycz i miękkość. Mógłby je całować godzinami. Pomyślał z satysfakcją, że w tej grze czeka go więcej przyjemności, niż się spodziewał.

Wkrótce zjawił się kelner. Jednym spojrzeniem otaksował drogi garnitur Christiana, satynową kamizelkę i batystową koszulę. Zapewne już liczył w myślach napiwek. Garret zamówił kotlety i butelkę wina. Nie tracił nadziei, że uda mu się namówić Rosalyn na jeden kieliszek. Dawno temu odkrył, że nawet po niewielkiej ilości alkoholu kobiety pozbywają się zahamowań.

- Na długo przyjechał pan... przyjechałeś do Worcester, Chris?

- Nie jestem pewien - odparł Christian z rezerwą. To on wolał zadawać pytania. - Sprawy mogą zająć mi parę tygodni albo nawet miesięcy.

Z każdą chwilą upewniał się, że Rosalyn Mitchell ma coś więcej niż tylko ładną twarz i ponętną figurę. Brał pod uwagę zmianę planów.

- Zatrzymałeś się w hotelu Bolten?

- Eee... tak.

Christian uznał, że czas przejąć inicjatywę i skierować rozmowę na inne tory. Nie był przygotowany na zwierzenia.

- Powiedz mi, jak trafiłaś do panny Howland?

Dobrze. Kobiety lubią opowiadać o sobie.

- Potrzebowałam pracy. Jesteś żonaty?

Garret omal się nie zakrztusił. Oczy zaszczyły mu łzami. Przełknął wodę i powoli wytarł usta serwetką.

- Nie. Ciekawskie z ciebie stworzenie.

- Uważam, że i tak za długo zwlekałam z tym pytaniem. Jużjemy razem kolację.

- Ale nie kochamy się - odpowiedział cicho.

Rosalyn gwałtownie wciągnęła powietrze i rozejrzała się spłoszona. Kiedy wróciła do niego spojrzeniem, na policzkach miała żywe rumieńce. Christian zasłonił ręką usta, maskując uśmiech. Zrobił skruszoną minę.

- Nie mów więcej takich rzeczy, proszę - szepnęła dziewczyna. - Chyba że chcesz zniszczyć moją reputację.

- Przepraszam.

W tym momencie kelner przyniósł wino, z gorliwości omal nie potykając się o własne nogi. Garret milczał, póki męczyczna nie odszedł.

- Rzeczywiście to nie jest miejsce na poufałości
- przyznał i zanim Rosalyn zdążyła zwrócić mu uwagę, że nie ma takiego miejsca, ciągnął dalej: -
Opowiedz mi o wytwórni walentynek. Mówiłaś, zdaje się, że pracujesz tam od dwóch miesięcy?

Rosalyn opuściła wzrok. Christian poczuł głęboką satysfakcję. Domyślił się, że dziewczyna wspomina pocałunek.

- Tak - wykrztusiła.

Po chwili uniosła podbródek i z wyrazem determinacji na twarzy spojrzała mu prosto w oczy. Nie zdawała sobie sprawy, że nieskutecznie ukrywa onieśmienie.

- Kiedy Callie umarła, nie miałam dokąd pójść, więc zgłosiłam się do pracy u panny Howland. Była taka wspaniałomyślna, że wynajęła mi pokój.

- Istotnie to wspaniałomyślne z jej strony.

- Jest znana z tego, że pomaga kobietom.

Christian uśmiechnął się. Panna Mitchell, choć złodziejka, jest naprawdę sympatyczna. Niedbale uniósł kieliszek od ust i spróbował wytrawnego burgunda, obserwując ją spod powiek.

- Ta Callie...

- Garret.

Mężczyzna oblizał wargi, a Rosalyn szybko odwróciła wzrok.

- Czy pani Garret uwzględniła cię w testamencie?

- Nic nie mogła zrobić - odparła dziewczyna z niechęcią. W ciemnych oczach zapłonął gniew.

- Wszystko dostał pasierb, który nie poświęcił jej ani chwili.

- Znasz tego człowieka?

Rosalyn zacisnęła palce na szklance. Mężczyzna czekał w napięciu, kiedy naczynie pęknie.

- Nigdy go nie spotkałam, ale wiem, że jest zimnym draniem bez serca. Callie pisała listy, zapraszała go do siebie, żeby mogli się pojednać, wyjaśnić nieporozumienia.

- Mów dalej - mruknął Garret, coraz bardziej zainteresowany.

Dziewczyna wzięła jego ciekawość za dobrą monetę.

- Christian nienawidził Callie, bo wyszła za jego ojca. Uważam, że zachowywał się dziecinne. Ostatecznie był dorosłym mężczyzną. Wdowcy też mają prawo do szczęścia, nie sądzisz? Chyba nie oczekiwał, że ojciec będzie do końca życia opłakiwał jego matkę.

Nie dostrzegła zaskoczenia Christiana. Nerwowo splatała warkoczyki z frędzli obrusa.

- Nie wiem - rzekł Garret, siląc się na spokój, choć najchętniej wykrzyczałby niemiłą prawdę.

- Może miał powody, żeby czuć to, co czuł.

Rosalyn prychnęła i zmiażdżyła go wzrokiem.

- Callie opowiedziała mi wszystko. Christian Garret nie miał powodu czuć się rozgoryczony. Najgorsze, że nie odpowiadał na jej listy, kiedy... leżała umierająca. Nigdy mu tego nie wybaczę.

4

Christian wolno odstawił kieliszek. Dopiero po dłuższej chwili był w stanie wydobyć z siebie głos.

- Może nie wiedział, że ona umiera - powiedział cicho.

Rosałyn gwałtownie uniosła głowę.

- Wiedział. Tydzień po jej śmierci kazał adwokatowi wyrzucić mnie na ulicę.

Mówiła z wielkim przekonaniem.

Christian ze zdziwieniem stwierdził, że słowa Rosałyn wzbudziły w nim lekkie poczucie winy. Szybko je w sobie stłumił. Nachylił się i ujął dłoń dziewczyny. Zaskoczona próbowała uwolnić rękę, ale trzymał mocno.

Wreszcie przestała się szarpać i spojrzała na niego z mieszaniną lęku i oczekiwania.

- Lepiej zmieńmy temat - zaproponował. - Po co się denerwować? Masz kogoś bliskiego sercu?

Naprawdę jej pożądał, więc nie musiał udawać zainteresowania.

- Ja... nie. Nie mam nikogo.

Christian przysunął się bliżej. Rosałyn nawet nie drgnęła. Kciukiem wyczuł pulsującą żyłę na

nadgarstku i zaczął drażnić to miejsce lekkimi muśnięciami.

- Więc mam cię całą dla siebie - szepnął. - Bardzo dobrze, bo nie lubię się dzielić i wolałbym nie być zmuszonym do walki na pięści.

- Biłbyś się o mnie? - spytała dziewczyna, nie odrywając wzroku od jego oczu.

- Tak. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, Rosalyn.

Dziewczyna przełknęła ślinę. Christian uciszył głos sumienia i czekał na reakcję. Nie wątpił, że panna Mitchell czymś go zaskoczy. Stwierdził, że z niecierpliwością czeka na ten moment.

- A ja kogoś takiego jak ty - wykrztusiła w końcu. - Prawdę mówiąc, mam zamiar wyjść w tej chwili, zanim...

- Zanim co? Boisz się być wobec siebie szczerą?

- Nie chcę się angażować.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- Na wiosnę idę do college'u. Zostanę nauczycielką - oznajmiła Rosalyn jednym tchem.

Oczy dziewczyny błyszczały podnieceniem, które nie miało nic wspólnego z jego osobą. Garrett zdziwił się, czując lekkie napięcie jej dłoni. Zupełnie jakby spodziewała się krytyki. Postanowił zaufać instynktowi.

- Uważam, że to świetny pomysł. Podziwiam pracujące kobiety.

- Naprawdę?

Ton jej głosu wyraźnie świadczył, że nie oczekiwała aprobaty dla swoich planów.

- Oczywiście. Czy inteligentny mężczyzna może być innego zdania? - Posłał jej czarujący uśmiech i spytał od niechcienia: - Przypuszczam, że panna Howland dobrze płaci?

Rosalyn dostała kolorów. Ośmielona jego reakcją i podekscytowana, nie wyczuła osobistego charakteru pytania, na co właśnie liczył Christian.

- O, płaci bardzo dobrze, a klienci czasami dają hojne napiwki. Poza tym mam ukryty skarb - wyznała w zaufaniu. - W razie potrzeby skorzystam z niego.

- Spadek po rodzicach?

Garret wstrzymał oddech, modląc się w duchu, żeby akurat w tym momencie nie przyniesiono im jedzenia. Lada chwila dziewczyna mogła uznać, że jest zbyt wścibski.

Rosalyn tak mocno potrząsnęła głową, że zatańczyły jej loczki na skroniach.

- Nie. Chris?

-Tak?

- Sprawiasz mi ból - powiedziała łagodnie i zabrała rękę.

- Zamówione dania, proszę państwa.

Christian zmełł w ustach przekleństwo i spiorunował kelnera wzrokiem, aż biedak cofnął się o krok.

Sposobność umknęła.

Dwie godziny później Rosalyn przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków, odprowadzając Chrisa wzrokiem. Oparła się o drzwi i wzięła głęboki oddech. Na dworze było zimno, a w niej płonął ogień!

Co za mężczyzna! Niesamowicie podniecający. Boże, w co ja się pakuję? Skandal, wstyd, złamane serce? Wszystko naraz? Weszła do domu. Z ulgą stwierdziła, że w holu jest pusto, i popędziła na górę.

- Proszę, niech Alice już śpi - szepnęła z łomoczącym sercem.

Wśliznęła się cicho do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Nie zdejmując płaszcza, poszła do łazienki i spryskała twarz zimną wodą. Dotknęła gorących piersi.

Nie powinna pozwolić, żeby całował ją w taki sposób. Powinna dać mu jasno do zrozumienia, że takie zachowanie jest niestosowne. Powinna oznajmić, że więcej nie może z nim się widywać.

Boże, w obecności Chrisa Browna stawała się bardzo nieprzyzwoitą dziewczyną! Co by pomyślała o niej panna Howland? Wyrzuciłaby ją z domu i pewnie zwolniła z pracy. Czy pocałunek jest wart takiego ryzyka? Zwykły pocałunek... Nie, wcale nie zwykły.

Rosalyn zdjęła płaszcz i rzuciła go na krzesło. Policzki nadal jej płonęły, a serce nie zamierzało się uspokoić. Czego oczekiwał od niej Chris Brown? Chciał ją jedynie uwieść?

Skąd kobieta może wiedzieć takie rzeczy?

Nie miała kogo zapytać. Alice była za młoda, a Callie odeszła na zawsze. Ona wiedziałyby, co doradzić. Kazałyby jej przestać spotykać się z panem Brownem.

Rosalyn nie spodobała się ta myśl, choć wiedziała, że naj rozsądniej byłoby wyrzucić Chrisa z serca, zapomnieć o jego istnieniu.

Dobry Boże, a gdyby nie znajdowali się w publicznym miejscu? Zadrżała na myśl, jak daleko mogli się posunąć. Miała dość odwagi, by przyznać, że straciła głowę.

Zdejmując spódnicę, nagle zamarła w pół ruchu. Oczy rozszerzyły się jej z przerażenia.

Ile już kobiet straciło głowę w objęciach Chrisa Browna?

Ze złością cisnęła spódnicę w drugi kąt pokoju. Oddychała szybko. O, nie, ona nie trafi na tę listę. Będzie zachowywać się przyzwoicie, choćby miała umrzeć, nigdy więcej nie zobaczy Chrisa.

Nagle do oczu napłynęły jej łzy wstydu i żalu. Rzuciła się na łóżko.

Wstydziła się, że zakazane przyjemności odebrały jej rozsądek.

Żałowała jednak nie tego, co zrobiła, lecz tego, co musiała zrobić.

- Niech to piorun trzaśnie! - warknął Christian, opadając na krzesło za biurkiem.

Przewiodł wzrokiem po bibliotece. Najwyraźniej jego macocha uwielbiała książki. Były ich tu setki.

Zrzucił wszystkie z półek w poszukiwaniu sekretnego schowka i w końcu musiał uznać, że Callie Garret nie miała sejfów. Przerzucił wszystkie książki znajdujące się w domu, zajrzał w każdy kąt.

Ani śladu biżuterii. Trzy dni zmarnowane.

Zabębnił palcami po biurku i wypowiedział na głos wniosek, przed którym zbyt długo się bronił:

- Naszyjnik ukradła Rosalyn Mitchell.

Mężczyzna spojrzął na bałagan, jakiego narobił, i jęknął. Teraz będzie musiał wynająć sprzątaczkę. Nie był jeszcze gotowy wyznać Rosalyn, kim jest naprawdę. Zawsze wchodził do tego domu tylnymi drzwiami. Za każdym razem pilnował się, żeby nie zapalać światła.

Gdyby panna Mitchell przypadkiem zjawiała się w okolicy, uznałaby, że w domu nie ma nikogo.

Z drugiej strony, pewnie nie zawracała sobie ślicznej główki przyjazdem pasierba Callie Garret, którego uważała za skończonego łajdaka. Ha! Zemdlałaby, gdyby usłyszała prawdziwą historię.

Mężczyzna zamknął oczy i wrócił myślami do ich ostatniego spotkania. Boże, ależ ona była gorąca i chętna. Pragnął kochać się z nią w ciepłym, miękkim łóżku, przy blasku świec, w pachnącej pościeli. Dlaczego? Dlaczego zaspokojenie żądz w stosownej oprawie wydawało mu się tak ważne?

Potrząsnął głową. Nie umiał odpowiedzieć na własne pytanie. Rosalyn Mitchell po prostu... wydobyla z niego cechy, których istnienia nawet nie po-

dejrzewał. O, tak, doskonale potrafił odgrywać rolę dżentelmena, ale w duchu gardził takimi bzdurami.

Rosalyn jest tylko kobietą, w dodatku złodziejką. Lepiej, żeby o tym pamiętał, bo inaczej wyjdzie na głupca.

Christian Garret nie był naiwniakiem.

- To jest... auuu... ostatni... auuu... ślub! - Rosalyn trzymała się poręczy łóżka, a koleżanka sznurowała jej gorset. - Musisz tak ścisnąć, Hillary?

W odpowiedzi kobieta mocniej ściągnęła tasiemki.

- Jaki sens nosić luźny gorset?

- A ja pytam, po co w ogóle nosić to okropieństwo? - wysapała Rosalyn.

Gdy wreszcie stanęła prosto, poczuła, że nigdy nie zdoła wziąć głębokiego oddechu. Nie zdążyła się poskarżyć, bo Wynette narzuciła na nią warstwy kremowej satyny.

- Nie pójdę na następny ślub! - oświadczyła Rosalyn, wciskając się w suknię.

- Gadasz jak papuga, Rosy - stwierdziła Hillary. - Nie ruszaj się. Muszę zapiąć ci guziki.

Wynette obeszała ją, tu i ówdzie poprawiając strój.

- Matka Hillary rzeczywiście świetnie sobie radzi z igłą. Przyniesiesz chlubę pannie Howland.

Rosalyn łypnęła podejrzliwie na koleżankę. Dobrze wiedziała, po co ta wspomina o pracodawczyni.

- Panna Howland wcale nie oczekuje, że przyjmę wszystkie zaproszenia, Wynette, i dobrze o tym

wiesz. - Podeszła do lustra. - Poza tym uważam, że chodzenie na takie uroczystości bez towarzystwa jest niestosowne.

Chris Brown byłby świetną asystą, ale nie miała od niego wiadomości od sobotniego wieczoru. Wyglądało na to, że nie będzie musiała użyć całej siły woli, by oprzeć się jego urokowi.

Oczywiście niepokoiła ją jego nieobecność, ale wciąż sobie powtarzała, że tak jest lepiej. Przecież chodzi o jej reputację, którą Chris Brown może łatwo narazić na szwank.

Rosalyn zmarszczyła brwi, patrząc na swoje odbicie. Może jest za wysoka, za gruba. Może wszystko przez ten uśmiech ze szparą. Może...

Och, do licha! Próbowała westchnąć, ale nie udało się jej zaczerpnąć dość powietrza.

Z wymuszonym uśmiechem odwróciła się do trzech kobiet stłoczonych w jej pokoju. Zatrzymała wzrok na dziwnie milczącej Alice. Podejrzała, że przyjaciółka stara się nie otwierać ust, żeby nie wygadać się o panu Brownie.

Dobra dziewczyna.

- I co? Ujdzie?

Przez głowę przemknęła jej myśl, czy spodoba się Chrisowi. Na wspomnienie jego płonących oczu oblała się warem. Miała nadzieję, że koleżanki wezmą jej rumieńce za objaw podniecenia.

Gdy napotkała błyszczący wzrok Alice, zrozumiała, że co najmniej jedna osoba domyśla się prawdy.

Zachwycone kobiety klasnęły w dłonie, jakby własnoręcznie ulepiły Rosalyn z kawałka gliny.

- Wyglądasz elegancko!

- Zachwycająco!

- Pięknie!

Rosalyn uśmiechnęła się szeroko. Postanowiła zapomnieć o Chrisie Brownie i cieszyć się chwilą. Jaki miała wybór? Okazała się maskotką firmy, chodzącą reklamą. Wiedziała, że panna Howland jest z niej zadowolona.

- Nie powinnyście wracać do pracy? Godzina przerwy już minęła.

Odpowiedziały jej piski przerażenia. Pokój opustoszał błyskawicznie, ale Rosalyn zdażyła chwycić za łokieć wychodzącą Alice.

- Nie uważasz, że jestem za gruba? - spytała niepewnie.

Przyjaciółka rzuciła zdziwione spojrzenie na szczupłą talię, podkreśloną przez lśniąca satynę. Na jej wargach pojawił się półuśmiech.

- Ależ skąd. Dlaczego pytasz?

Rosalyn nie raczyła odpowiedzieć.

- Za wysoka?

Alice znowu potrząsnęła głową.

- Dlaczego...

- A co z przerwą między zębami? Czy wygląda odrażająco?

Dziewczyna roześmiała się, ale gdy dostrzegła minę przyjaciółki, natychmiast spoważniała.

- Nie zjawił się od tamtego czasu, prawda?

- Kto...

- Stąd te wszystkie pytania, tak? - Uprzedziła protesty, klepiąc Rosalyn po ramieniu. - Nie martw się. Jesteś piękna, a twój pan Brown wróci.

- Nie chcę...

- Może wyjechał z miasta w pilnej sprawie albo coś innego mu wypadło.

Rosalyn żałowała, że nie może odetchnąć głęboko. Musiałaby nabrać dużo powietrza w płuca, żeby przerwać Alice.

- Nie obchodzi mnie, czy go znowu zobaczę. Już postanowiłam, że nie będę z nim się spotykać.

Rudowłosa dziewczyna przekrzywiła głowę. W jej oczach pojawił się złośliwy błysk.

- Więc po co były te pytania?

- Po prostu chciałam wiedzieć, to wszystko. Przecież reprezentuję firmę.

-Aha.

W tym momencie w drzwiach stanęła panna Howland, kładąc kres rozmowie. Alice po raz ostatni poklepała przyjaciółkę po ramieniu i wybiegła z pokoju. Rosalyn uśmiechnęła się do pracodawczyni. Wszak to nie z winy panny Howland ludzie uparli się zapraszać Kupidyna na śluby, a Chris Brown uznał ją za zbyt grubą, zbyt wysoką i zbyt groteskową z powodu tej głupiej, szpecącej przerwy między zębami.

Esther podeszła i ujęła jej dłonie.

- Wyglądasz pięknie, Rosalyn. Dziewczyny świetnie się spisały. Suknia jest śliczna.

- Pożyczyłam ją od Hillary.

- W takim razie muszę przydzielić ci fundusz reprezentacyjny. Ostatecznie jesteś wizytówką firmy.

- Nie trzeba - zaprotestowała Rosalyn, choć w duchu uważała, że to świetny pomysł. - Nie zamierzam więcej chodzić na żadne śluby...

- Ależ musisz, kochanie! - Przez twarz panny Howland przemknął cień. - Nie możesz odmawiać parom, które między innymi dzięki tobie są razem. Nie darmo nazywają cię Kupidynem, przecież wiesz.

Rosalyn niestety wiedziała.

- Zaraz wydam szwaczkom odpowiednie polecenia. - Esther ściągnęła brwi z wyrazem zastanowienia. - Czerwona. Może jeszcze ciemnoróżowa i biała. Kolory walentynkowe. Wprawdzie ludzie będą się krzywić, że niezamężna kobieta chodzi w czerwieni, ale nie wyglądasz mi na osobę, która by się przejmowała takimi rzeczami. Ten kolor doskonale będzie pasował do twoich ciemnych włosów i oczu. Jak wyglądasz w różowym, już wiemy.

Rosalyn osłupiała. Pracodawczyni zachęca ją do lekceważenia konwenansów? Nie znała jej takiej! Z drugiej strony, w młodości Esther sama pojechała do Nowego Jorku. Oczywiście wzięto ją na języki, ale niezależna dziewczyna nic sobie nie robiła z kąśliwych uwag.

Wynette i Hillary usłyszały tę historię od kobie-

ty, która pracowała u panny Howland na początku jej kariery. Patrząc teraz na dystyngowaną, elegancką damę, Rosalyn nie mogła uwierzyć, że ktokolwiek śmiał powiedzieć złe słowo albo krytykować jej styl życia. Esther Howland była teraz jedną z najbardziej szanowanych obywaterek Worcester.

- Przyniosłam ci coś do sukni.

Rosalyn zamruwała z niedowierzaniem na widok pięknego naszyjnika z pereł.

- To dla mnie? O, nie! Mogłabym zgubić...

Panna Howland potrząsnęła głową.

- Nie zgubisz. Widzisz! - Wskazała na zapięcie.

- Jest specjalnie zrobione i bardzo mocne. Chcę, żebyś wyglądała jak najlepiej.

Rosalyn nie wiedziała, co powiedzieć. Gdyby nadal się opierała, mogłaby urazić pannę Howland. Odwróciła się posłusznie. Kiedy poczuła chłodny ciężar na szyi, spojrzała w lustro.

- Prześliczne. Są.. bardzo cenne? - zapytała z wahaniem.

Kobieta uśmiechnęła się beztrósco.

- Tak. — Gestem ręki uprzedziła protesty Rosalyn. - Przywiózł je na „Mayflower”* mój prapradziadek John Howland. Dał je mojej praprababce, kiedy się pobierali.

* „Mayflower” - żaglowiec handlowy, którym w 1620 r. dotarło z Anglii do północno - wschodnich brzegów późniejszych Stanów Zjednoczonych 102 tzw. pielgrzymów, którzy zapoczątkowali osadnictwo angielskie w Ameryce Północnej.

- Och. - Dziewczyna przełknęła ślinę. - Panno Howland, jestem bardzo wdzięczna, ale...

- Nie, moja droga. Nie odmawiaj. Chcę, żebyś je założyła. Ufam ci całkowicie. Przyjaciółka Callie Garret jest moją przyjaciółką.

Esther ruszyła do drzwi. W progu obejrzała się z uśmiechem.

- Resztę popołudnia spędzę z ojcem. Potem muszę wyjść na wieczorny pociąg i odebrać transport papieru. Perły możesz zwrócić jutro.

Rosalyn przez chwilę stała bez ruchu. Kusiło ją, żeby zdjąć naszyjnik i schować w bezpiecznym miejscu. Nie zobaczy panny Howland do końca dnia, więc poczciwa kobieta nie dowie się o niczym. Do licha! „Mayflower”!

Założyła rękawiczki, wzięła torebkę z sekretarzyka i zeszła na dół. Z wieszaka zdjęła duży czarny szal i zarzuciła go na ramiona. Na dworze było zimno, ale uznała, że różowy płaszcz nie będzie pasował do strojnej sukni.

Gdy otworzyła drzwi, stanęła twarzą w twarz z obcym mężczyzną. Przed oczami zatańczyły jej ciemne plamy. Wolno wciągnęła powietrze do płuc. Już nigdy nie pozwoli Hillary sznurować gorsetu, przysięgła sobie w duchu.

- Szukam panny Howland.

Nieznajomy wyglądał na równie zdenerwowanego jak ona. Rosalyn zerknęła na zegar wiszący w holu i ściągnęła brwi. Miała dokładnie dwadzie-

ścia minut na dotarcie do kościoła. Poza tym wiedziała, że pracodawczyni jest teraz zajęta.

- Panna Howland w tej chwili nie przyjmuje wizyt. W czym mogę pomóc?

Mężczyzna obracał kapelusz w rękach. Twarz czerwona od zimna jeszcze bardziej mu poczerwieniała. Rosalyn wyczuła, że przybysz jest czymś mocno poruszony.

- Ja, no wie pani... to znaczy...

- Może pan wejdzie? Porozmawiamy w cieple.

Przez uchylone drzwi wpadł do środka chłodny podmuch. W tym momencie Rosalyn zauważyła czekającą dorożkę i do głowy przyszedł jej pewien pomysł.

- Dziękuję, ale nie chcę pani zatrzymywać. Zdaje się, że pani wychodzi.

- Tak. - Dostrzegłszy wyraz zakłopotania na twarzy mężczyzny, Rosalyn dodała pospiesznie: - Ale mam jeszcze chwilę. Czy to pański pojazd?

-Tak.

- Więc zawrzyjmy umowę.

- Umowę?

Rosalyn uśmiechnęła się na widok zaniepokojonej miny gościa.

- Pomogę panu, jeśli podwiezie mnie pan do kościoła West England.

Mężczyzna zgodził się z wyraźną ulgą, ale dalej miętosił kapelusz.

- Mam kłopot, panno...?

- Rosalyn Mitchell. Pracuję u panny Howland. Roznoszę walentynki.

- Mark Newman. To pani jest Kupidynem, prawda?

Dziewczyna skinęła głową zrezygnowana.

- Tak mnie ludzie nazywają. W czym mogę pomóc?

Newman zaczął chodzić po saloniku.

- Ona ma na imię Tammy. Widzi pani, jest drugi mężczyzna, profesor college'u...

Rosalyn spojrzała znacząco na zegar.

- Panie Newman...

- Przepraszam.

Mark zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Rosalyn żałowała, że nie może zrobić tego samego.

- Tammy chce go poślubić. Muszę ją nakłonić do zmiany tego postanowienia! Pragnę, żeby za mnie wyszła.

Na widok łez w jego oczach Rosalyn od razu zmiękło serce.

- Pojedziemy do sklepu i wybierzemy najlepszą walentynkę, jaką ma do zaoferowania panna Howland. Napiszę panu piękne oświadczyzny. Po ślubie dostarczę kartkę i zaczekam na odpowiedź.

Mark chwycił jej dłoń i obsypał pocałunkami. Rosalyn przezornie ją cofnęła, nim oślinił całą rękawiczkę.

- Jak się pani odwdzięczę?

Znowu!

- Nie zapraszając mnie na ślub - powiedziała z uśmiechem.

Pan Newman wytrzeszczył oczy.

- Nie zapraszając... Aaa, rozumiem. Wybiera się pani na jeden z tych ślubów, mam rację?

Rosalyn skinęła głową.

- W takim razie obiecuję, że nie zaproszę pani na nasz. Nie mogę jednak wypowiadać się w imieniu Tammy.

- Chodźmy.

Rosalyn chwyciła mężczyznę za ramię i zaciągnęła do drzwi, nim dokończył zdanie.

- Do pracowni walentynek na Main, a potem do kościoła West England na Elizabeth Avenue - krzyknęła do woźnicy.

5

Christian uderzył pięścią w drzwi powozu.

- Kto to jest, do diabła?

Zmrużył oczy, obserwując Rosalyn, która wsiadała do powozu w towarzystwie młodego mężczyzny. Woźnica nachylił się do okna.

- Słucham, panie Brown?

- Nic, nic. Mówiłem do siebie. Jedź za tamtą drożką. Trzymaj się z daleka, żeby nas nie zauważyli.

- Tak, proszę pana.

Co ona zamierza? Kim jest ten człowiek? Zapewniała go, że nie ma żadnych adoratorów. Czyżby była nie tylko złodziejką, ale również kłamczucha? Po prawdzie niedługo zabawili w domu, ciekawe jednak, co działo się w ciągu tych paru minut.

Dość tego! Lecz chociaż wmawiał sobie, że panna Mitchell nic go nie obchodzi, wciąż nasuwały mu się nowe pytania. Dlaczego jest taka wystrojona? Na kolację z nim ubrała się zwyczajnie. Środek dnia, a ona wygląda, jakby szła na bal!

W dodatku z innym mężczyzną. I to po upojnym wieczorze, podczas którego sprawiała wrażenie, że jest bezradna wobec jego uroku. Zacisnął pięści. O, tak, topniała przy nim, jakby nie miała siły mu się oprzeć, jakby była niewinną dziewczyną zaślepioną przez pierwszą namiętność.

A jeśli... A jeśli Rosalyn wie, kim on jest, i tylko robi z niego głupca? Chyba po raz pierwszy w życiu poczuł się zakłopotany. I pomyśleć, że zameldował się w hotelu Bolton pod nazwiskiem Chris Brown na wypadek, gdyby go szukała!

Możliwe, że w tej chwili śmieje się z niego.

Powóz nagle się zatrzymał. Gdy w oknie pojawiła się siwa głowa woźnicy, Christian warknął:

- Co się dzieje?
- Pani i ten gość weszli do sklepu z kartkami.
- Do pracowni walentynek?

- Tak. Nigdy tam nie byłem. Moja żona nie pochwała rozrzutności.

- Zaczekaj, aż wyjdą, i jedź za nimi.

Na zachętę rzucił dorożkarzowi kolejną monetę. Po bardzo długich dziesięciu minutach powóz ruszył. Christian westchnął i odchylił się na oparcie siedzenia. Szybko się uwinęli. Ciekawe, dokąd teraz jadą? Dzisiaj Rosalyn nie dostarcza walentynek. Nie w takim stroju.

Wkrótce dorożka zatrzymała się i woźnica zeskoczył na ziemię.

- Kobieta tutaj wysiadła, panie Brown. Facet pojechał dalej.

Garret stłumił przekleństwo.

- „Tutaj” to znaczy gdzie?

- Kościół West England. Wygląda na to, że będzie ślub. Zeszło się dużo ludzi.

Ślub! Christian poczuł się jak głupiec.

- Zaczekamy.

- Jest zimno jak...

- Masz. Może to cię rozgrzeje. - Garret wyłowił z kieszeni następną monetę i wręczył ją woźnicy.

- Stań tak, żebym widział wejście do kościoła.

Woźnica zacisnął zsiniałe usta, nasunął czapkę na czoło i wsiadł na kozioł.

Christian nie zauważył dotkliwego chłodu. Rozgrzewał go gniew. Był zły przede wszystkim na samego siebie, że pozwolił, by kobieta zawróciła mu w głowie. Przez następne pół godziny ob-

myślał sposoby wyrównania rachunków, głównie przyjemne dla niego. Rosalyn Mitchell pożałuje, że postanowiła zrobić z niego głupca. Gdy jednak stanęła w drzwiach kościoła, w jednej chwili zapomniał o planach zemsty.

Usiadł prosto i z zapartym tchem obserwował, jak schodzi po stopniach. Zatrzymała się przy krawężniku. Nie widziała go, choć powóz stał dokładnie naprzeciwko niej. Spojrzała w górę i w dół ulicy, jakby kogoś wypatrywała. Policzki miała zaróżowione. Pod szalem wyraźnie rysowały się piersi.

Garret przełknął ślinę; nagle zaschło mu w gardle. Aż go korciło, żeby objąć smukłą talię dziewczyny i przyciągnąć do siebie. Otworzył drzwi i wysiadł.

W tym momencie Rosalyn go zobaczyła. Jej oczy zrobiły się okrągłe, najpierw z radości, potem najwyraźniej ze strachu. Dziwne! Przecież nie miała powodu, żeby się go bać. Chyba że jego podejrzenia są słuszne i panna Mitchell rzeczywiście prowadzi jakąś grę. W takim wypadku jej obawy byłyby uzasadnione.

Kazał woźnicy czekać i przeciął ulicę. Rosalyn nie ruszyła się z miejsca, choć wyczuł, że chętnie by uciekła.

- Witam, panie Brown - rzuciła chłodno.

Christian uśmiechnął się, ale jego serce zmieniło się w lód. Tak, ta kobieta wyraźnie czegoś się boi.

- „Panie Brown”? Czy to znaczy, że mam zwracać się do ciebie „panno Mitchell”?

Dziewczyna przekrzywiła głowę i utkwiła w nim spokojne brązowe oczy.

- Tak będzie najlepiej.

- Może omówimy tę kwestię w powozie? Chyba że pani na kogoś czeka?

Wstrzymał oddech. Rosalyn spojrzała w dół ulicy, a potem przeniosła wzrok na dorożkę.

- Skąd pan wiedział, że tutaj będę?

Christian zaczął myśleć gorączkowo.

- Panna Howland mi powiedziała.

Liczył na to, że drobne kłamstwo się nie wyda.

- Aha. - Zawahała się. - Jeśli jest pan pewien, że nie sprawię kłopotu.. Muszę dostarczyć pilną przesyłkę.

Nie miała zbytniej ochoty wsiąść z nim do powozu, ale Christian zdecydowanym gestem wziął ją za łokieć i przeszedł na drugą stronę ulicy. Wiedział, że wcześniej czy później dowie się, czemu Rosalyn traktuje go tak oficjalnie. Jeszcze niedawno lubiła jego towarzystwo.

W powozie rozłożył koc i otulił kolana dziewczyny. Nadal wyglądała na skrępowaną, ale uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Na widok rozkosznej szparki między zębami krew zaczęła żywiej krążyć w żyłach Christiana.

- Więc to był jeden z tych ślubów, o których mówiła pani z taką niechęcią?

Dorożka ruszyła z szarpnięciem. Rosalyn odsunęła się pospiesznie, przytrzymując ręką szal. Dobrze, pomyślał Christian. Chciał wytrącić ją z rów-

nowagi. W razie potrzeby nawet przestraszyć.

- Tak. Abigail Swertz i George Perry. Powie-
dzielili, że pierwszemu dziecku dadzą moje imię.

- Miejmy nadzieję, że to będzie dziewczynka.

Rosalyn zaśmiała się trochę nerwowo.

- Tak, miejmy nadzieję.

Zapadła cisza. Christian przesunął wzrok z czuj-
nych oczu i zaróżowionych policzków na piersi.
Żałował, że przesłania je szal. Chętnie napatrzył-
by się do woli.

- Jest pani zimno?

- Nie... tak.

Skąd to zdenerwowanie? Garret zmarszczył
brwi. Położył ramię na oparciu siedzenia, zajrzał
w spłoszone, ciemne oczy i szepnął ochryple:

- Tęskniłem za tobą.

Rosalyn oblizwała wargi i odsunęła się od niego.

- Ja... Gdzie się podziewałeś?

Christian zaśmiał się, widząc jej skonsternowa-
ną minę.

- A co, tęskniłaś za mną?

Niby przypadkiem przycisnął udo do jej nogi.
Jeszcze parę cali i nie będzie miała dokąd uciec.
Siedziała prawie przy drzwiach. Wyjął jej z ręki
szal i powoli go rozchylił. Musnął opuszkami pal-
ców podbródek, szyję, dekolt. Natrafił na coś
chłodnego i twardego. Spojrzał w dół.

- Panna Howland mi je pożyczyła.

Naprawdę? Christian dotknął pereł, mrużąc oczy

w skupieniu. Wyglądały na prawdziwe... i cenne. Chyba nie przehandlowała rubinowego naszyjnika?

- Pożyczać pracownicy taką drogą rzecz? - rzucił szorstko.

Rosalyn delikatnie wyjęła mu perły z ręki.

- Panna Howland mówi, że przypłynęły na „Mayflower”. Uparła się, żebym założyła je na ślub, chociaż nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby zginęły.

Christian przyciągnął Rosalyn do siebie i zamknął jej usta długim pocałunkiem.

Nie pozwoli, by żądza przeszkodziła mu w tym, co najważniejsze. Gdy zobaczył perłowy naszyjnik na szyi Rosalyn, powziął decyzję. Ten plan mógł się powieść, więc nieważne, że nie miał do niego serca.

Nie zamierzał kierować się sercem. Nigdy.

Rosalyn tylko czekała, żeby wysiąść z powozu. Nie wiedziała, co jest bardziej niebezpieczne: błyszczące oczy Chrisa czy zbyt ciasny gorset.

- Dziękuję za podwiezienie. Stąd wezmę dorożkę.

- Nie spiesz mi się. Zawiozę cię, dokąd tylko zechcesz.

Głęboki, lekko zachrypnięty głos całkiem pozbawił ją tchu.

- Nie mogę...

Mężczyzna położył palec na jej ustach, uciszając protest. Gdy zaczął przesuwac opuszkami po dolnej wardze, Rosalyn zamknęła oczy. Siłą woli powstrzymywała się przed oblizaniem ust.

Udało się jej... Prawie.

- Zaczekam tu na ciebie.

Dziewczyna poczuła gorącą dłoń na kolanie. Otworzyła oczy i zobaczyła zniewalający uśmiech. Wstrzymała oddech, ale Chris jedynie ściągnął jej koc z nóg i nachylił się, żeby otworzyć drzwi.

Wypuściła powietrze z płuc - niewiele go było - i prawie wyskoczyła z dorożki. O niebiosy, co się z nią dzieje? Ruszyła szybko przed siebie, modląc się, żeby nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa.

Gdy weszła do sklepu, ruda sprzedawczyni prze-rwała odkurzanie i zmierzyła ją badawczym wzrokiem. Rosalyn oparła się o ścianę i zamknęła oczy.

- Rosy, co się stało? Dobrze się czujesz?

Alice podbiegła do niej zaniepokojona.

- Zaraz dojdę do siebie - wysapała Rosalyn. - Gorset...

- Hillary za mocno go zasznurowała, tak? Ale ty wcale nie jesteś blada, tylko czerwona jak piwonია! Na pewno wszystko w porządku?

Rosalyn zdusiła histeryczny śmiech, otworzyła oczy i spojrzała na zatroskaną twarz przyjaciółki.

- Tak. Już ci mówiłam. Zaraz dojdę do siebie, tylko złapię oddech. Czy koszyk pana Newmana jest już gotowy?

- Tak. Zrobiłam wszystko, co mi kazałaś. Jak ślub?

- Ładny.

Gdy dziewczyna poszła po koszyk, Rosalyn od-sunęła się od ściany. Tak, już zdecydowanie lepiej.

Wystarczyło oddalić się od Chrisa Browna. Żeby tylko Alice nie wyjrzała przez okno.

- Może każę Jamy'emu wezwać powóz? Nie będziesz szła pieszo w taką pogodę. Lada moment zaczniesz padać śnieg.

- Nie. Ja... dorożka już na mnie czeka.

- To dobrze. Wiem, jak lubisz oszczędzać. Martwiłam się, że będziesz chodzić po zimnie.

- Masz adres? - spytała Rosalyn.

- Tak. - Alice wcisnęła jej do ręki kartkę. - Nie mogę uwierzyć, że zapłacił dziesięć dolarów. To więcej niż zarabiam przez miesiąc!

- Cóż, potrzebna była odrobina perswazji.

Biedny pan Newman nawet nie mrugnął, kiedy usłyszał cenę. Rosalyn ruszyła do drzwi... I Chrisa Browna.

Nagle zwolniła kroku. Od jutra przestanie z nim się widywać. Jest zbyt natarczywy, a ona za słaba, żeby mu się oprzeć. Nic dziwnego, że ludzie kręcili nosami, kiedy panna Howland pojechała sama do Nowego Jorku. Jeśli to miasto było pełne takich mężczyzn jak Chris Brown... Rosalyn zadrżała.

Dzięki Bogu, że ona mieszka w starym, dobrym Worcester! Jeśli będzie miała szczęście, Chris wróci do Nowego Jorku, zanim uda mu się ją uwieść. Gdy zobaczyła go wysiadającego z dorożki przed kościołem, miała nadzieję, że oprze się jego urokowi.

Ha!

Jedno spojrzenie, jedno dotknięcie i była na jego

rozkazy. Co za brak charakteru! Właśnie. Próbowala i przegrała. Jakie wytłumaczenie teraz mu podać? „Chris, nie możemy się spotykać. Widzisz, boję się, że nie odmówię, o cokolwiek mnie poprosisz”.

Zirytowana własną słabością gwałtownie otworzyła drzwi sklepu i pomaszerowała do dorożki. Chris wysiadł i podał jej rękę. Rosalyn przezornie postawiła między nimi koszyk. Nie spojrzała na swojego towarzysza. Czuła tylko, że obserwuje ją z nieskrywany rozbawieniem.

Ta świadomość umocniła ją w postanowieniu i dodała sił. Przed ostatecznym rozstaniem zdobydzie się na odrobinę przyzwoitości.

- Adres?

Rosalyn podała Chrisowi zmięty świstek papieru i odwróciła głowę do okna. Mężczyzna wydał dyspozycje woźnicy i zamknął drzwi. Powóz ruszył z szarpnięciem. Dziewczyna sztywno złożyła ręce na kolanach.

Gdy już niemal się uspokoiła, mężczyzna położył ramię na oparciu siedzenia, wsunął dłoń w jej włosy, musnął palcami kark. Nie traci czasu, pomyślała Rosalyn z drżeniem. Postanowiła jednak nie rozśmieszać go prośbą, żeby zabrał rękę.

Oczywiście był to jedyny powód przyzwolenia na poufałości.

- O, nie! Co ja powiem panu Newmanowi? - jęknęła Rosalyn.

Christiana zaskoczył widok łez w dużych brązowych oczach. Przecież nawet nie znała tych ludzi! Dziewczyna wróciła do powozu z koszykiem, bliska płaczu. Usta jej drżały jak u zrozpaczonego dziecka.

- Co się stało?

Rosalyn starała się odzyskać panowanie nad sobą. O dziwo, Christianowi zrobiło się jej żal.

- Ta... wstrętna kobieta oddała walentynkę, oto co się stało!

Dziewczyna otarła łzę z policzka. Christian podał jej chusteczkę.

- Nie płacz. Przecież to nie twoja wina.

Rosalyn spojrzała na niego mokrymi oczami.

- Właśnie, że tak. To ja przekonałam pana Newmana, żeby kupił koszyk. Myślałam, że gdy panna... Wyniosła zobaczy upominek, wybierze Marka zamiast profesora. Widzisz więc, że to moja wina.

Christian potrząsnął głową oszołomiony. Uznał jednak, że lepiej nie zadawać w tej chwili żadnych pytań.

- Bzdura. Skąd miałaś wiedzieć, że nie spodoba się jej koszyk?

- Ależ spodobał się!

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- W takim razie dlaczego go zwróciła?

Rosalyn żałośnie pociągnęła nosem. Widok jej zapłakanej twarzy wzbudził w Christianie opiekuńcze uczucia, o które się nie podejrzewał. Miał ochotę złożyć wizytę pannie Wyniosłej i srogo ją

ukarać za sprawienie przykrości Rosalyn. Do licha, biedna dziewczyna tylko próbowała połączyć dwie kochające się osoby!

- Oświadczyła, że mężczyzna na tyle głupi, by wydawać dziesięć dolarów na koszyk, nie nadaje się na jej męża!

- Dlaczego nie powiedziałaś jej, że się pomyliłaś? Że koszyk nie kosztował dziesięć dolarów, tylko dużo mniej?

Rosalyn zeszywniała i wytrzeszczyła oczy.

- Pytasz, dlaczego nie skłamałam?

Nie wiadomo dlaczego Christian nagle zapragnął cofnąć swoje słowa. Może chodziło o jej spojrzenie. Zupełnie jakby wyłudził ostatnie pieniądze od starej wdowy. W ślad za tą myślą przyszła następna.

Garret wyjął portfel z kieszeni płaszcza, odliczył pięć dolarów i wcisnął je Rosalyn do ręki. Gdy popatrzyła na niego zaskoczona, nie zdołała powstrzymać się od uśmiechu.

- Zanieś je panu Newmanowi i powiedz mu... powiedz, co chcesz, byle wzięł pieniądze.

- Ale...

- Ja porozmawiam z panną Wyniosłą.

-Ty?

Rozczulony Christian ucałował ją mocno.

- Tak. Pan Newman zapłacił nie dziesięć dolarów za ten przeklęty koszyk, tylko pięć.

- Naprawdę?

- Jeśli oddasz panu Newmanowi pięć dolarów, będzie to znaczyło, że zapłacił mniej niż dziesięć - wyjaśniał cierpliwie.

- Och, więc będę musiała kłamać.

- Bardzo dobrze.

- Sprytne.

Uśmiech Rosalyn był niczym tęcza po wyjątkowo gwałtownej burzy. Christian z trudem ode-
rwał wzrok od jej ust. Wsiadł z dorożki.

- Zaczekaj - rzucił przez ramię.

Jak, u licha, wpakował się w tę sytuację? Nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że będzie grał rolę swatki. Przecież nie wierzył w miłość...

Określenie „wyniosła” doskonale pasowało do kobiety, która otworzyła drzwi na jego niecierpliwe pukanie. Zachowywała się jak władczyni, a jej blond włosy wyglądały na srebrne w szarym zimowym świetle. Christian ukrył ironiczny uśmiech i przywołał cały swój czar.

- Panna...?

Do licha, zapomniał nazwiska, które podała mu Rosalyn. Bardzo go korciło, żeby powiedzieć „Wyniosła”, ale ugryzł się w język.

- Jeśli szuka pan Tamery Brandewine, to znalazł ją pan.

Jeszcze wyżej zadarła mały, ostry nosek, a Garret zrozumiał, że zadanie nie będzie takie łatwe, jak z początku sądził. W myślach porównał tę królową lodu z ciepłą i uroczą panną Mitchell. Do-

szedł do wniosku, że wyświadczyłby przysługę panu Newmanowi, wracając do powozu.

Ale Rosalyn czekała na niego pełna nadziei... Ze łzami w oczach.

Wziął dłoń Tamery i podniósł ją do ust. Jednocześnie obserwował reakcję kobiety. Tak... chyba dostrzegł nieznaczne falowanie płaskich piersi. Triumfalną minę zamaskował czarującym uśmiechem i przeszedł do rzeczy.

- Obawiam się, że zaszło duże nieporozumienie.

Specjalnie podkreślił nowojorski akcent, żeby wyrzucić odpowiednie wrażenie na pannie Brandewine. Osiągnął zamierzony cel, oczy kobiety rozszerzyły się lekko.

- Niedawno kupiłem koszyk w tutejszej pracowni walentynek, ale sprzedawczynie pomyliła się i wysłała go pod niewłaściwym adresem.

- Tak? - Panna Brandewine uniosła cienką brew aż pod nietwarzową grzywkę. - Więc koszyk przyniesiony przez dostarczycielkę nie jest tym, który kupił mi Mark?

- Właśnie! W sklepie jest teraz największy ruch, stąd pomyłka. Przykro mi, ale chciałbym dostać z powrotem ten koszyk, ponieważ zrobiono go na specjalne zamówienie. Sprzedawczynie zapewniła mnie, że wkrótce otrzyma pani swój.

Tamera zmarszczyła czoło.

- Ale... dlaczego pan... Chyba firma powinna zająć się naprawieniem błędu.

Christian westchnął w duchu. Bystra kobieta. Wzruszył ramionami.

- Sam zaproponowałem, że odbiorę koszyk. - Uśmiechnął się bezradnie. - Moja narzeczona jest trochę na mnie zła z powodu długiej nieobecności...

- Rozumiem. - Panna Brandewine spiorunowała go wzrokiem, jakby to ona była zaniedbywaną narzeczoną. - Cóż, spóźnił się pan. Już zwróciłam koszyk. Nie rozumiem, jak można zapłacić dziesięć dolarów za tak niepraktyczną rzecz.

- Nie liczy się cena, tylko zamiar.

Skąd wzięły mu się te słowa? Przecież nie wierzył w podobne bzdury. Na tym świecie liczą się tylko pieniądze.

- Będzie pan musiał jeszcze raz pojechać do sklepu. Do widzenia.

Omam nie przytrzasnęła mu nosa drzwiami. Chyba rzeczywiście powinien porozmawiać z panem Newmanem o niefortunnym wyborze. Biedakowi przydałoby się parę dobrych rad.

- I co? - spytała niecierpliwie Rosalyn, gdy tylko wszedł do dorożki. - Przyjmie jego oświadczenia? Och, pospiesz się, Chris!

Garret spokojnie dał woźnicy polecenie i usadowił się wygodnie.

- Zażyczyła sobie innego koszyka.

- Innego koszyka?

- Tak, tańszego. Dużo tańszego, jak się domyślałam. Może chciałyby tylko kartkę.

Albo torbę cytryn. Dobry Boże, pan Newman musi być niespełna rozumu, skoro chce żenić się z taką jędzą!

- Pan Newman na mnie czeka. Obiecałam, że wrócę z odpowiedzią panny Brandewine.

- Zajmę się nim.

I otworzę mu oczy na parę rzeczy, dodał w myślach.

- Jesteś bardzo miły - powiedziała Rosalyn zachrypniętym głosem.

Nachyliła się i cmoknęła go w policzek. Garret szybko odwrócił głowę do okna, żeby ukryć wzruszenie. Nie powinien zapominać, że to złodziejka.

Ale jaka urocza złodziejka! Może weźmie Rosalyn ze sobą do Nowego Jorku i blisko swojej fabryki tekstyliów wynajmie ładny apartament, żeby móc ją odwiedzać, gdy przyjdzie mu ochota.

Patrzył na duże płatki śniegu i słuchał turkotu kół. Czy w Nowym Jorku nie ma college'ow?

6

Godzinę później Rosalyn weszła do sklepu, zaróżowiona od zimna. Za ladą stała Alice, ale po mężczyznach nie było śladu.

- Gdzie Chris... pan Brown i pan Newman?

Strząsnęła śnieg z włosów, zdjęła mokry szal z ramion i powiesiła go na krześle przy niewielkim piecyku.

- Oprowadziłam ich po pracowni, a ponieważ dziewczyny rozeszły się do domów, postanowili zostać i pogawędzić. Tam jest dużo ciepłej.

Rosalyn ściągnęła rękawiczki i ogrzała dłonie w ciepłe bijącym od piecyka. Z obojętną miną zerknęła na przyjaciółkę.

- Czy panowie są zdenerwowani?

- Nie. - Alice roześmiała się. - Niedawno słyszałam, jak twój pan Brown ostrzegął pana Newmana przed niebezpieczeństwami, jakie niesie ze sobą małżeństwo.

Rosalyn też wybuchnęła śmiechem.

- Nie! Biedny pan Newman. Mam nadzieję, że nie zaczął się wahać. Tyle trudu sobie zadałam, żeby połączyć tych dwoje.

- Myślałam, że kobieta przyjęła oświadczenia?

- Tak. I mądrze zrobiła. Pan Newman to dobra partia.

Alice uśmiechnęła się szelmowsko.

- Więc zgadzasz się ze swoim panem Brownem?

Rosalyn przybrała surową minę.

- To nie jest mój pan Brown, Alice. A jeśli chodzi o Tamerę Brandewine...

- Jest uroczą kobietą - dokończył za nią głęboki głos.

Do sklepu wszedł Chris z panem Newmanem.

- Powiedziała „tak”?

Dziewczyna odwróciła się do pieca, żeby ukryć rumieniec. Zwykle nie oceniała ludzi za ich plecami, a teraz przyłapano ją na czymś takim!

- Właśnie zaczęłam mówić, że jest miła i że przyjęła oświadczenia pana Newmana.

Odchrząknęła, napotkawszy rozbawiony wzrok Chrisa. Ciekawe, czy słyszał, jak Alice nazwała go „jej” panem Brownem.

Mark Newman chwycił Rosalyn za rękę i potrząsnął energicznie.

- Dziękuję, dziękuję bardzo, panno Mitchell. Uczyniła mnie pani najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

- Nie, panie Newman, to panna Wy... Brandewine uczyniła pana najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Zauważyła, że Chris patrzy na nią ze śmiechem w oczach. Spiorunowała go wzrokiem.

- Panie Brown, mogę pana prosić o ostatnią przysługę? Będzie pan tak miły i odwiezie mnie do domu? Jestem przemarznięta do kości, a obawiam się, że wszyscy dorożkarze zakończyli już pracę z powodu śnieżycy.

- Z przyjemnością.

Potem uśmiechnęła się do Newmana.

- Życzę szczęścia.

Biedak będzie go potrzebował, pomyślała, mając jeszcze świeżo w pamięci zachowanie Tamery

Brandewine. I te jej głupie pytania! Co za opryskliwa kobieta!

Dziewczyna wzięła z krzesła szal i chciała zarzucić go sobie na plecy, ale w tym momencie ktoś wyjął go jej z rąk. Gdy się odwróciła, Chris właśnie podawał jej swój płaszcz.

Rosalyn wstrzymała oddech i powiodła po nim wzrokiem. Miał na sobie marynarkę z ciemnozielonej wełny i spodnie koloru mocnej herbaty, stroju dopełniały kosztowne skórzane buty.

Wygląda na człowieka z wielkiego miasta, stwierdziła, przełykając ślinę.

- Dziękuję.

Gdy założyła płaszcz, od razu poczuła ciepło męskiego ciała, jakby Chris objął ją ramionami. Zamknęła oczy.

- Gotowa?

- Tak, tak.

Życzyła Alice dobrej nocy i skierowała się do wyjścia.

- Dobranoc, Rosy. Słodkich snów.

Rosalyn pokazała przyjaciółce język i zamknęła za sobą drzwi. Pan Brown tylko odwozi ją do domu! Alice za bardzo puszcza wodze fantazji. Jeszcze tego pożałuje!

Na dworze zmierzchało. Sypał gęsty śnieg. Kilku ciepło ubranych chłopców zapalało latarnie gazowe, którymi od niedawna szczyliło się miasto.

Rosalyn przystanęła i przez chwilę napawała się

pięknym widokiem. Zerknęła na Chrisa i stwierdziła, że on również jest pod wrażeniem bajkowej scenerii. Może zostanie w Worcester? Ciekawe, jakie ma tutaj sprawy? Ile czasu mu zajmą?

Zamyślona wsiadła do powozu i wcisnęła się w najdalszy kąt. Liczyła na to, że jej towarzysz zostawi ją w spokoju. Wiedziała, że nie zdoła mu się oprzeć.

Szczelniej otuliła się płaszczem i poczuła zapach węgla drzewnego, mrozu i... Chrisa. Tak. Nowa, odurzająca woń. Nigdy jej nie zapomni.

- Wygodnie ci?

Rosalyn aż podskoczyła. Z wyrzutem spojrzała na Chrisa. Twarz miał ukrytą w cieniu.

- Tak. A tobie nie zimno bez płaszcza?

- Nie.

Hmmm. Najwyraźniej nie kwapił się do rozmowy, choć sam ją zaczął.

- Dziękuję, że mi pomogłeś. Biedny pan Newman.

- To była dla mnie... przygoda. - Chris wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że Newman zdaje sobie sprawę, w co się pakuje.

- Tak. Nie lubię mówić źle o ludziach, ale Tamera jest...

- Jędzą?

Rosalyn energicznie pokiwała głową.

- Wciąż się zastanawiam, czy naprawdę do siebie pasują.

Odgłos, którym skwitował jej słowa, dziwnie przypominał prychnięcie.

- Wierysz w „prawdziwe dopasowanie”?
- Wierzę. Na każdego czeka gdzieś pokrewna dusza. I człowiek ma wielkie szczęście, jeśli przypadkiem ją odnajdzie.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie. Rosalyn żałowała, że w półmroku nie może dojrzeć wyrazu jego twarzy.

- Chyba ktoś naopowiadał ci bajek.

Dziewczyna zeszywniała.

- To nie jest bajka. - W jej głosie pobrzmiwała lekka uraza. - Callie wiedziała, co mówi.

Czy Chris naprawdę nie wierzy w miłość? Jakie to smutne. Ona widywała ją niemal każdego dnia.

- Była szczęśliwa?

- Jeśli masz na myśli Callie, odpowiedź brzmi „tak”. Ona i jej mąż byli bardzo szczęśliwi.

- Znałaś jej męża?

Mówił obojętnym głosem, ale wyczuwała w nim jakieś napięcie.

- Nie. Umarł, nim zamieszkałam z Callie, ale opowiadała mi o nim. Henry traktował ją jak królową, choć nie mogła mieć dzieci... - Czyżby Chris gwałtownie zaczerpnął powietrza? A może się przesłyszała? - Czy ty... znałeś Garretów?

- Nie.

Jeszcze bardziej zaniepokojona przysunęła się do Chrisa i położyła mu dłoń na ramieniu. Wyczuła, że mięśnie napinają się pod jej dotykiem. Dorożka przejeżdżała akurat pod latarnią. Na

twarży mężczyzny Rosalyn dostrzegła tak wielki ból, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Chris, co się stało? Dlaczego...

Mężczyzna uciszył ją pocałunkiem, tak mocnym, że aż jęknęła. Wtedy przyciągnął ją do siebie i zaczął całować delikatniej. Rosalyn zarzuciła mu rękę na szyję. Wtopiła się w niego, otworzyła usta pod natarczywymi wargami. Jego język rozniecił w niej gorące płomienie i raptem się wycofał. Gdy poczuła, że unoszą ją silne ramiona, nie stawiała oporu.

Kiedy Chris zdejmował jej płaszcz, też nie protestowała.

Kiedy przesunął dłonie z talii na piersi, wygięła plecy w łuk.

Kiedy zabrał ręce, jęknęła rozczarowana. Szybko umilkła, gdy zaczął rozpinąć guziki sukni.

Kiedy wreszcie go powstrzyma? Zaraz, pracująca jeszcze część umysłu ją uspokoiła. Przecież siedzą w powozie, Chris niewiele może zdziałać...

Nagle w oknie, tuż obok niej, pojawiła się twarz z bokobrodami. Rosalyn krzyknęła przestraszona.

- Pani wysiada, panie Brown? Żona czeka na mnie z kolacją. Poza tym mocno tu wieje.

Garret zmełł w ustach przekleństwo.

- Zatrzymaj konie, człowieku.

- Mam tylko jednego.

Rosalyn szybko zasłoniła ręką usta.

- Z czego się śmiejesz?

Dziewczyna spoważniała, zsunęła się z kolan

Chrisa i sięgnęła po mokry szal leżący na podłodze.

- Z ciebie. Nie mogłam się powstrzymać, widząc twoją minę, kiedy Willis...

- Willis?

Rosalyn drgnęła, zaskoczona ostrym tonem.

- T... tak, Willis, woźnica...

- Znasz go? - W głosie Chrisa brzmiało niedowierzenie.

- Oczywiście, że go znam. To najtańszy ze wszystkich dorożkarzy w mieście. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, zwróciła Brownowi płaszcz. - Dziękuję za pomoc i podwiezienie.

Co dziewczyna mówi mężczyźnie, przy którym zapomina własnego imienia? Mężczyźnie, który najpierw pozbawił ją rozsądku pocałunkami, a chwilę później był wyraźnie zły na nią za to, że zna woźnicę?

Rosalyn potrząsnęła głową, otworzyła drzwi i wysiadła. Śnieg niemal ją oślepił, trafiła nogą w lodowatą zaspę. Drugą postawiła ostrożniej. Nim zrobiła następny krok, stanął przed nią Chris.

- Ale sypie, co? - Zaśmiała się jak dziecko. - Uwielbiam śnieg.

Bez słowa wziął ją na ręce i zaniósł do drzwi. Rosalyn objęła go za szyję. Kiedy postawił ją na stopniach ganku, odwróciła się, żeby mu jeszcze raz podziękować, ale zaniemówiła. Wyraz jego oczu przeraził ją. Sprawiał radość. Nasunął głupie myśli. Dostrzegła w nich pożądanie.

Zgrabiałymi palcami otworzyła zasuwę i niemal

wpadła do środka. Zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie, oddychając tak głęboko, jak pozwalał gorset. Wciąż widziała twarz Chrisa. Nie było na niej śladu miłości, tylko czysta żądza.

Boże, co robić?

Gdzieś w domu cicho stuknęły drzwi. Rosalyn oprzytomniała. Odruchowo uniosła dłoń do szyi.

Niemożliwe!

Gwałtownie wciągnęła powietrze i zaczęła gorączkowo macać po dekolcie. Potem wzięła lampę ze stolika i uważnie przeszukała podłogę wokół siebie. W końcu opadła na krzesło. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: zgubiła bezcenne perły panny Howland!

Christian nie lubił hoteli, nawet tak luksusowych jak Bolten. Wolał mieszkać w domu Callie - swoim domu - póki nie wróci do Nowego Jorku. Postanowił wyznać Rosalyn, kim jest naprawdę.

Nalał sobie brandy i podszedł do okna. Śnieg padał bez przerwy. Nawet blask latarni nie rozpraszał mroku spowijającego miasto, tak niepodobne do zatłoczonego Nowego Jorku. Worcester było ciche, syte i zadowolone z siebie.

Wszyscy siedzą w przytulnych domach, pomyślał Christian. Rodziny zbierają się przy kuchennym stole, dzielą wrażeniami z całego dnia. Dzieci przyciskają nosy do szyb, cieszą się na zabawę w świeżym puchu i czekają, aż mama wyjmie z pieca ciasteczka imbirowe.

Mężczyzna westchnął, zaskoczony, że wyobrażając sobie ciepłe sceny z życia rodzinnego, poczuł ukłucie zazdrości.

A co teraz robi panna Mitchell? Szykuje się do snu? Rozpina długi rząd guzików na plecach, zdejmując suknię i zostaje w samej halce, pod którą rysują się krągłe piersi. Zobaczył brodawki stwardniałe od zimna...

Raptem otworzył oczy. Dziewczyna na pewno już wie, że zgubiła cenny naszyjnik. W szybie widział odbicie pereł leżących na stoliku.

Zdjął je Rosalyn z szyi w chwili, gdy dała się ponieść namiętności. Zresztą on sam także omal nie stracił głowy, gdy wziął ją na kolana, chłonał jej intensywny zapach, posmakował miękkich, słodkich warg, poczuł na udach jędrne pośladki.

Miała wszystko, czego szukał w kobiecie. Ogień i niewinność.

Wielka szkoda, że jest złodziejką.

Jednym łykiem wychylił brandy i skrzywił się, gdy alkohol zapiekł w gardle. Po chwili ogarnęło go miłe ciepło, namiastka prawdziwej rozkoszy. I dobrze. Tę przyjemność potrafił dawkować, tamtej drugiej nie zamierzał próbować. Nie był taki głupi.

Odwrócił się od okna i podszedł do stolika. Wziął do ręki sznur pereł, przesunął je między palcami. Wyczuł ciepło skóry Rosalyn i nikłą woń jej perfum, lekką i kwiatową. Gdyby zamknął oczy, mógłby sobie wyobrazić, że dziewczyna stoi obok niego...

Do diaska. Musi przestać się dręczyć w ten sposób. Rosalyn Mitchell nie jest dla niego pokrewną duszą. Nie wierzył w takie rzeczy. On na pewno nie będzie na tyle lekkomyślny, by narazić się na rozczarowanie i ból.

Czyżby?

Potrząsnął głową i odłożył perły. Nie. Nigdy nie będzie taki głupi jak jego matka. Nigdy nie będzie taki głupi jak Callie Garret. Nigdy nie będzie taki głupi jak wielu jego znajomych.

Nikomu nie pozwoli sobą zawładnąć, szczególnie małomiasteczkowej dziewczynie o chciwym sercu.

Wzrokiem znowu powędrował ku perłom. Czy jego plan się powiedzie? Czy Rosalyn przybiegnie do niego po pomoc, gdy odkryje, że nie ma naszyjnika? Wtedy on jej zaproponuje, żeby zapłaciła za perły ukrytym skarbem.

Panna Mitchell powie mu o rubinowym naszyjniku, a on wyzna jej prawdę. Będzie nieszczęśliwa, że musi oddać klejnoty, i oczywiście zakłopotana, że ją przyłapano na kradzieży, ale jednocześnie wdzięczna, kiedy perły odnajdą się w cudowny sposób. Jak dalece wdzięczna? Christian roześmiał się. Już dawno tak nie pragnął żadnej kobiety tak bardzo, niemal obsesyjnie.

Raptem spoważniał, bo uświadomił sobie, że Rosalyn prawdopodobnie wie o jego ojcu więcej niż on. Poczul znajomy gniew na wspomnienie jej słów, że Callie i Henry byli szczęśliwi.

Jak ojciec mógł być szczęśliwy, wiedząc, że zламаł dwa serca? Jak można zapomnieć o rodzinie i założyć inną?

Te pytania dręczyły go przez lata i jak zwykle rozgoryczenie pozostawiło w ustach niesmak, którego nie była w stanie spłukać nawet brandy. Christian odpędził niemiłe wspomnienia i zaczął się zastanawiać, co będzie jadł na kolację. Ciekawe, czy panna Mitchell przyjdzie do niego jeszcze dzisiaj, czy poczeka do rana.

Miał przecucie, że zjawi się dzisiaj. A może tylko łudził się nadzieją? Gdy pomyślał, że dziewczyna stoi w tym pokoju, obok łóżka, zrobiło mu się gorąco. W pewnym momencie stwierdził, że uśmiecha się na wspomnienie płaczu Rosalyn z powodu głupich walentynkowych oświadczeń. Co go wtedy opętało, że jej pomógł?

Po pierwsze, widok ogromnych oczu, pełnych łez. Po drugie, pewność, że jeszcze długo będzie czuła się winna. I co z tego? Dlaczego miałyby go obchodzić nastroje jakiejś kobiety?

Mimo wszystko wolał nie szukać odpowiedzi na te pytania.

Rosalyn policzyła uderzenia zegara. Dziesiąta. Ile jeszcze godzin do rana? Och, musi wymyślić jakiś pretekst, żeby nie oddawać pereł już rano!

Panna Howland ją zwolni. Wyrzuci na bruk. Być może zażąda odszkodowania.

O Boże, co robić?

Chodziła po pokoju, ubrana w stary szlafrok. Przystanąła raz, żeby podsycić dogasający ogień. Zadrżała, kiedy przez kominek wpadło chłodne powietrze wraz z kilkoma płatkami śniegu. Płomienie strzeliły, posypały się iskry.

Było jej zimno w stopy, ale nie przejmowała się takim drobiazgiem. Miała większe zmartwienia. Chętnie stawiałaby czoło śnieżycy, żeby tylko odnaleźć perły.

Tylko gdzie o tej porze szukać dorożki? Gdyby poszła na piechotę, zamarzałaby na śmierć. Panna Howland straciłaby nie tylko naszyjnik, ale również maskotkę *firmy*.

Ale przecież pracodawczyni i tak jej nie zatrzyma, gdy pozna prawdę!

Rosalyn przycisnęła dłoń do rozpalonego czoła. Gdzie mogła zgubić perły? W kościele? W powozie? I kiedy? Nie potrafiła nawet zliczyć, ile razy wsiadała dzisiaj do dorożki. A ostatnim razem... Chris wziął ją na kolana.

Opadła na łóżko. Musi pomyśleć! Chris wziął ją na kolana i pocałował... Potem zaczął rozpinać guziki sukni...

Może niechcący odpiął naszyjnik?

Zerwała się na równe nogi. Jeśli ma rację, perły powinny być w dorożce. Willis mówił, że jedzie do domu. Mało prawdopodobne, żeby wziął jeszcze jednego pasażera.

Tak, wstanie o świcie i znajdzie Willisa. Zwykle wcześniej wyjeżdżał do pracy. Rosalyn zgasiła lampę stojącą przy łóżku i wśliznęła się pod kołdrę. Oparła plecy o poduszki, żeby móc obserwować dogasające płomienie.

Wkrótce poczuła się lepiej i stwierdziła, że spróbuje zasnąć. Lecz gdy tylko zamknęła oczy, ujrzała twarz Chrisa, na której odbijało się pożądanie.

Co robi dziewczyna, kiedy kocha mężczyznę i...

A czy ona go kocha?

Jęknęła i naciągnęła kołdrę na twarz. Callie zawsze twierdziła, że wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia, bo sama jej doświadczyła.

Nie powiedziała jednak, co robić, kiedy mężczyzna nie odwzajemnia uczucia. Rosalyn była pewna, że Chris Brown jej nie kocha. Pożąda, owszem, i wcale się z tym nie kryje, ale miłość...?

Jeżył się na samo słowo. Na jego ustach często gościł ironiczny uśmiech, z twarzy nie znikał czujny wyraz.

Ale dlaczego pomógł jej z panną Wyniosłą? Zachował się jak troskliwy mężczyzna, a nie jak cynik.

Jaki on właściwie jest? Nieczuły czy wrażliwy? Bo chyba nie jedno i drugie jednocześnie. Przewróciła się na bok i westchnęła ciężko. Dlaczego traci czas na rozmyślenia o panu Brownie? Powinna się raczej zastanawiać, gdzie może być ten przeklęty naszyjnik.

Boże, co on sobie o niej pomyśli? Najpierw czepiała się pociągu, a teraz zgubiła cenną biżuterię.

Z „Mayflower”!

Do oczu napłynęły jej łzy wstydu. Może lepiej, żeby Chris dowiedział się, jaka jest głupia i nieostrożna. Odtrąci ją z pogardą i dzięki temu ona nie będzie musiała mu powiedzieć, że między nimi wszystko skończone.

Histeryczny śmiech przeraził ją samą. Szybko zasłoniła usta ręką. Skończone? Co skończone? Przecież nic ich nie łączy.

Wprawdzie byłby rozczarowany, ale ona odzyskałaby szacunek do samej siebie.

Na tę myśl poczuła wielki żal zamiast ulgi.

7

Christian nasunął kapelusz na oczy i wyjrzał przez okno powozu. Od świeżego śniegu bił oślepiający blask.

Worcester wyglądało jak miasto z bajki. O siódmej rano ulice były jeszcze puste. On też nie wstałby o tej nieludzkiej porze, gdyby nie to, że nie mógł spać. Teraz jechał do domu panny Howland. Chciał zobaczyć wyraz twarzy Rosalyn.

O jedną przecznicę od celu podróży wypatrzył skuloną postać, spieszącą chodnikiem. Wyteżył wzrok i rozpoznał pannę Mitchell mimo szala,

który zakrywał dolną połowę twarzy. Dziewczyna szła w stronę miasta. Miała na sobie znajomy różowy płaszcz.

- Stój, woźnico.

Wyskoczył z jeszcze toczącej się dorożki i wpadł po kolana w zaspę.

- Rosalyn!

Dziewczyna uniosła głowę i zmrużyła oczy.

- Chris? Co tu robisz tak wcześnie?

Zsunęła szal z brody i posłała mu blady uśmiech.

Gdy Christian dobrnął do niej przez głęboki śnieg, od razu zauważył ślady nieprzespanej nocy: cienie pod oczami i lekko zapuchnięte powieki. Czyżby płakała? Wzruszył w duchu ramionami. Skąd ta nagła troska?

Dobrze wiedział, że to on jest winien jej stanu.

- Idziesz do pracy? - spytał, choć z góry znał odpowiedź.

Rosalyn osłoniła ręką oczy. Gest przypomniał Christianowi ich pierwsze spotkanie.

- Ja... nie. - Popatrzyła w stronę miasta. - Szukam Willisa. Widziałeś go może dzisiaj?

Ponad jego ramieniem powędrowała wzrokiem ku czekającej dorożce. Christian uniósł brew, udając zdziwienie.

- Nie.

Rosalyn wyglądała na rozczarowaną.

- Aha.

- Podwieźć cię?

- Cóż...

- Nie mogłem spać, więc pomyślałem, że przejadę się po mieście i nacieszę zimowymi widokami. Pięknie dzisiaj, prawda? - Z trudem powstrzymał się od uśmiechu na widok jej zaskoczonyj miny. - Jedź ze mną. Razem poszukamy Willisa.

- No cóż...

- Chodź, bo zamarzniesz.

Wziął ją za łokieć i poprowadził do dorożki. Dziewczyna nie stawiała oporu.

Kiedy dotarli do powozu, zerknęła na woźnicę i od razu się rozpromieniła.

- Cześć, Michael. Jak nowe dziecko?

Ku osłupieniu Garreta mężczyzna błysnął w uśmiechu białymi zębami.

- Rosy! Chłopak ma się świetnie. Od wczoraj urósł centymetr, przysięgam.

- To wspaniale! Przekaż żonie pozdrowienia. I ucałuj ode mnie synka.

- Jasne.

Wsiadając do pojazdu, Christian zastanawiał się, czy jest w mieście choć jeden dorożkarz, którego Rosalyn nie zna. Potrząsnął głową z niezadowoleniem, że znowu będzie musiał opróżnić kieszenie, by skłonić do milczenia kolejnego gadatliwego woźnicę. Willis pewnie świętuje teraz za pieniądze, które dostał od niego poprzedniego dnia.

Otulił kocem nogi Rosalyn i zerknął na nią z ukosa.

- Więc co cię skłoniło do wyjścia z domu o takiej porze?

- Muszę znaleźć Willisa - odparła Rosalyn wyraźnie zakłopotana. - Wczoraj chyba coś zostawiłam w jego dorożce.

Szybko odwróciła głowę do okna. Christian uśmiechnął się, studiując jej profil. Dostrzegł lekkie zaczerwienienie wokół delikatnych nozdrzy. Czyżby rzeczywiście płakała?

- Coś zostawiłaś? Co?

- Och, pewien drobiazg - odparła, nie patrząc na niego.

Kłamczucha. Kłamczucha i złodziejka. Z drugiej strony, takie połączenie wydawało się mało prawdopodobne. Christian ujął dziewczynę pod brodę i spojrzał jej w twarz.

- Może ja ci pomogę. Część dnia spędziliśmy razem, przecież wiesz.

Rosalyn skrzywiła usta w wymuszonym grymasie, a Garret nagle zatęsknił za jej uśmiechem.

- Tak, ale dziękuję. Nie sądzę, żebyś zdołał mi pomóc, Chris.

- Skąd wiesz?

Widząc jego gorące spojrzenie, dziewczyna nerwowo oblizała wargi. Zaczęła szybciej oddychać. Próbowwała odwrócić głowę, ale trzymał ją mocno. Poddała się bez walki.

- Zgubiłam... zgubiłam... - Wzięła głęboki oddech. - Zgubiłam perły.

- Dobry Boże!

Jej oczy napełniły się łzami.

- Zgubiłam perły panny Howland!

Zaczęła szlochać rozpaczliwie. Christian jeszcze nigdy nie czuł się podłej. Przygarnął ją do siebie i próbował uspokoić.

- Nie martw się, znajdziemy je. Wyznaczę nagrodę.

Co za pomysł? Tak bardzo chciał ją pocieszyć, że na chwilę zapomniał, gdzie są perły!

- Nie, Chris! - powiedziała niewyraźnie z twarzą wtuloną w jego ramię. - To moja wina. Nie powinnam w ogóle ich zakładać!

Garret pogłaskał ją po plecach.

- Podobno panna Howland nalegała.

Dziewczyna pociągnęła nosem.

- Tak, ale mi zaufała.

Teraz jest właściwa pora, uznał Christian, choć plan, który ułożył, coraz mniej mu się podobał.

- A co z twoim... skarbem? - Gdy poczuł, że Rosalyn zeszywniała, dodał pospiesznie: - To znaczy, jeśli nie znajdziesz pereł. Może...

Dziewczyna odsunęła się od niego z takim przerażeniem na twarzy, że w tym momencie Christian poczuł nienawiść do samego siebie.

- Myślisz, że przepadły na dobre?

- Ja...

Odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć w jej ufne oczy. Jak mógł być taki okrutny?

Ona też nie jest niewiniątkiem, tłumaczył sobie.

Rosalyn znowu oparła głowę na jego ramienia. Teraz płakała cicho, Christianowi wprost kroilo się serce. Jeszcze poprzedniego dnia wszystko wydawało się takie proste. Napomknąłby o skarbie, a Rosalyn powiedziała mu o rubinach. Wtedy on zaproponowałby ich wymianę na te cholerne perły!

Nic nie poszło tak, jak planował.

Wreszcie dziewczyna opanowała się i usiadła prosto. Na jej twarzy malowało się takie zdecydowanie, że Christiana ogarnął mimowolny podziw.

- Nie ma sensu szukać ich w śniegu. Mogą być w dorożce Willisa, więc muszę go odnaleźć. Nie poddam się bez walki.

Christian nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości. Panna Mitchell nie należała do osób, które łatwo się zniechęcają.

- Masz rację. Pomogę ci.

Dziewczyna zarumieniła się pod jego płomiennym wzrokiem. Była naprawdę piękna mimo czerwonego nosa i zapuchniętych oczu.

- To miło z twojej strony.

Mężczyzna odchrząknął. Gdyby znała prawdę!

- Przynajmniej tyle mogę zrobić, skoro jestem współsprawcą nieszczęścia.

Rosalyn wytrzeszczyła oczy.

- Współsprawcą?

Christian zaśmiał się.

- Byłem wtedy z tobą.

- Aha. - Zawtórowała mu z przymusem. - Ale przecież oboje wiemy, że nie jesteś w najmniejszym stopniu winny. Choć zastanawiałam się...

Oblała się rumieńcem i spuściła głowę.

- Nad czym? - spytał Christian, zaintrygowany i lekko zaniepokojony.

Rosalyn zaczęła skubać rękawiczki.

- Chodzi mi o to, co robiliśmy, zanim Willis nam przeszkodził.

Garret bardzo dobrze pamiętał tamtą chwilę. Właśnie wtedy zdjął dziewczynie naszyjnik, udając, że rozpina suknię. Szczerze mówiąc, nie zamierzał przerwać pieśczęt po schowaniu biżuterii do kieszeni.

Niech diabli wezmą Willisa.

- Gdyby perły spadły ci z szyi, jedno z nas powinno chyba to zauważyć, nie sądzisz?

Rosalyn zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

Ciekawe, czy on by zauważył, gdyby był na jej miejscu? Pewnie nie.

- Może jednak poprosisz woźnicę, żeby wypatrywał Willisa?

Christian skinął głową. Był pewny, że hojnie wynagrodzony Willis i tak nie puści pary z ust. Dał sygnał Michaelowi, a gdy dorożka się zatrzymała, wysiadł i spełnił prośbę Rosalyn. Przy okazji dyskretnie wsunął woźnicy do ręki parę monet.

Mężczyzna wzruszył ramionami i uradowany schował pieniądze do kieszeni.

Na Willisa natknęli się niecały kwadrans póź-

niej. Rosalyn popędziła do znajomej dorożki. Christian ruszył za nią, a później czekał cierpliwie, gdy ona przeszukiwała wnętrze pojazdu.

Oczywiście nic nie znalazła. Garret spodziewał się łez, ale panna Mitchell podziękowała Willisowi opanowanym głosem i wróciła do powozu Michaela.

- Dokąd teraz? - spytał Christian.

- Do domu panny Howland - odparła Rosalyn z miną jagnięcia idącego na rzeź. - Nie mogę dłużej zwlekać. Miałam jej zwrócić perły przy śniadaniu.

Christian rzucił Michaelowi adres i uważnie przyjrzał się dziewczynie. Wyglądała na opanowaną, ale podejrzewał, że jest na skraju załamania. Doszedł do wniosku, że czas zakończyć grę.

Wahał się jednak, bo wiedział, że kiedy wyjawi Rosalyn, kim jest, nigdy więcej nie zobaczy jej śmiejących się oczu i uroczej szparki między zębami. Gdy dziewczyna dowie się, że ma przed sobą zniechęconego Christiana Garreta, zachowa się jak panna Tamera Brandewine.

- Ja...

- Ty...

- Przepraszam, mów.

- Nie, ty pierwszy.

- Nalegam.

Christiana cieszyła każda, chwila zwłoki. Nie spieszo mu było do tego, by ujrzeć, jak napiętość w jej spojrzeniu ustępuje miejsca pogardzie i nienawiści.

- Chciałam powiedzieć, że skorzystam z twojej rady i proponuję pannie Howland walentynkę jako odszkodowanie. O ile w ogóle zechce ze mną rozmawiać po tym, jak wyjawię jej straszną prawdę.

Mężczyzna gapił się na Rosalyn przez dłuższą chwilę, kompletnie oszołomiony. W końcu wykrztusił:

- Zabawne, ale wydawało mi się, że powiedziałaś „walentynkę”? - Dlaczego, do diabła, usłyszał słowo „walentynka” zamiast „rubinowy naszyjnik”?

Rosalyn spojrzała na niego z zatroskaną miną.

- Chris, dobrze się czujesz? Jesteś blady.

- O czym ty mówisz? - wychrypiął Garret.

- O moim skarbie, przecież wiesz.

- Nie, nie wiem. - Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. - Może zechcesz mi wyjaśnić, o co ci chodzi z tą „walentynką”?

Tym razem nie śledził wzrokiem jej języka, kiedy nerwowo zwilżyła wargi. W uszach wciąż dźwięczało mu idiotyczne słowo. Dlaczego wciąż go prześladowało? Lekko potrząsnął dziewczyną.

Rosalyn zmarszczyła brwi, a w jej oczach pojawił się niepokój.

- To specjalna walentynka, pierwsza wykonana przez Esther Howland. Podarowała mi ją Callie. Jest naprawdę cenna.

Christian zazgrzytał zębami.

- Nie rozumiem. Wyjaśnij.

Gdy potrząsnął nią znowu, niepokój na twarzy dziewczyny zmienił się w strach.

- Chyba zwariowałeś - stwierdziła drżącym głosem. Wyrwała mu się i otworzyła drzwi.

Oślupiały Christian patrzył, jak Rosalyn brnie przez śnieg i znika w dwupiętrowym domu.

Nawet nie spostrzegł, kiedy dorożka stanęła.

Zaklął z wściekłością i zabębnił w dach powozu. Do pioruna!

- Ruszaj! - krzyknął do Michaela.

O czym ona, do diaska, mówiła? Specjalna walentynka? Cenna walentynka?

Gdzie są te cholerne rubiny?

Wrócił do hotelu i zaczął spacerować po pokoju. Od czasu do czasu uderzał pięścią w otwartą dłoń i przeklinał na głos.

Panna Mitchell nie wspomniała o rubinach, ale to nie znaczy, że ich nie ma. Może przejrzała jego grę i teraz śmieje się, zadowolona ze *swojego* pomysłu z walentynką.

Garret zacisnął szczęki. Nie uda się jej wystrychnąć go na dudka.

A jeśli jest niewinna?

Nie. Christian potrząsnął głową i wyrzał przez okno. Dziesiątki stóp zmieniły dziewiczy śnieg w paskudną breję.

Jeśli Rosalyn mówi prawdę i jej skarbem rzeczywiście jest walentynka o wartości kolekcjonerskiej,

wrócił do punktu wyjścia. Od nowa musi się zastanawiać, gdzie mogą być te cholerne kamienie. Jeśli panna Mitchell nie ma rubinów, Callie ich nie sprzedała, a pan Toombs nie ukradł, to gdzie się podziały, do diabła? Babka nie przyjmie do wiadomości że część majątku rodzinnego przepadła bez śladu.

On również.

Wszystko byłoby takie proste, gdyby to Rosalyn Mitchell przywłaszczyła sobie naszyjnik. Postarałby się, żeby zaczęła jeść mu z ręki, a potem dobrowolnie oddała klejnoty.

Już niewiele brakowało. Źle, że stracił panowanie nad sobą. Postukał niecierpliwie palcami po oszronionej szybie, patrząc, jak wielki sopel odrywa się od rynny i roztrzaskuje na chodniku.

Niech to piorun trzaśnie! Tyle czasu, planów, starań i wszystko na nic. Christian westchnął ciężko. Będzie musiał zwrócić perły Rosalyn. Nie zamierzał ich kraść, tylko wymienić je na rubiny.

Wziął z wieszaka płaszcz i kapelusz. Postanowił, że zajdzie do urzędu telegraficznego i wyśle babce wiadomość, że przedłuży pobyt w Worcester. Później odszuka Willisa i poprosi go o przysługę.

Najpierw jednak wstąpi do banku. Przysługi kosztują.

- Jesteś pewna, Rosalyn? Szukałaś wszędzie?

Dziewczyna skinęła głową z nieszczęśliwą miną.

- Wszędzie. Śnieg... - Głos odmówił jej posłuszeństwa.

Panna Howland dzielnie przyjęła fatalną nowinę, ale Rosalyn podejrzewała, że kobieta jest wstrząśnięta.

Po śniadaniu, którego nie tknęła, poprosiła pracodawczynię o chwilę rozmowy. Usiadły w saloniku przy ciepłym kominku i wtedy Rosalyn wyrzuciła z siebie prawdę, zanim opuściła ją odwaga.

Przez dłuższą chwilę Esther Howland wpatrywała się w ogień. Winowajczyni z trudem powstrzymywała łzy i wykręcała palce. Przygotowana na zwolnienie z pracy i wyrzucenie z domu, powtarzała sobie w duchu, że nie będzie miała żalu do pracodawczyni.

- Przykro mi, panno Howland. Wiem, że w żaden sposób nie mogę pani wynagrodzić straty...

- Nie możesz.

Rosalyn nie wytarła łez, które popłynęły jej po twarzy. Chciała pokazać pannie Howland, że jest naprawdę zrozpaczona.

- Przepraszam - szepnęła.

- To nie twoja wina, moja droga.

- C... co?

Dziewczyna omal nie spadła z krzesła. Chyba się przesłyszała.

- To nie twoja wina.

- Ależ moja...

- Nie. To ja nalegałam, żebyś je założyła. Ty powiedziałaś wyraźnie, że boisz się je zgubić.

- I zgubiłam! - Nie mogła pozwolić, żeby panna Howland wzięła winę na siebie. Co za niedorzeczny pomysł. - A teraz zamierzam choć w części powetować stratę. - Sięgnęła po płaskie pudełko leżące u jej stóp. - Mam coś dla pani. Wiem, że to nie perły, ale...

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie, kochanie. Nie musisz tego robić... Och! Walentynka Callie!

Na widok rozpromienionej twarzy Esther Howland Rosalyn uśmiechnęła się przez łzy. Może wszystko się ułoży. Z pewnością Callie zrozumiałaby jej decyzję. Te dwie kobiety były najbliższymi przyjaciółkami.

Drżącymi rękami Esther wyjęła z pudełka walentynkę wysadzaną kamieniami szlachetnymi i z czcią położyła ją na kolanach. Po chwili uniosła głowę.

- Henry ją kochał, wiesz.

- Tak - szepnęła Rosalyn. - Callie mi mówiła.

- Kiedy dał jej naszyjnik, bała się go nosić. Nie chciała go zgubić.

Na krótką chwilę ich oczy spotkały się i Rosalyn zrozumiała, że Esther wspomina swoje perły. Poczowała do siebie głęboką niechęć. Jak mogła być do tego stopnia nieuważna?

Panna Howland pierwsza opuściła wzrok i popatrzyła na walentynkę. Pośrodku iskrzył się ru-

bin w kształcie serca. Otaczał go owalny wzór z czerwonych kamieni.

Rosalyn znała każdy szczegół ozdobnej kartki. Pamiętała każde słowo dziesięciu wersów napisanych na cieniutkim papierze, importowanym z Anglii.

- Henry powtarzał jej wiele razy, że jeśli zgubi naszyjnik, kupi jej nowy, ale Callie nie chciała ryzykować. W końcu przestał ją namawiać. Nigdy nie zapomnę, jak przyszedł do mnie, cały podniecony, tydzień przed dniem świętego Walentego.

Rosalyn znała tę historię od Callie, ale słuchała w milczeniu.

- Zachowywał się jak mały chłopiec przed gwiazdką. Był taki dumny z pomysłu, żeby zrobić naszyjnik na walentynkę dla żony. - Esther zaśmiała się cicho. - Powiedział, że Callie będzie mogła podziwiać rubiny do woli, kiedy tylko zechce. Przestanie czuć się winna, że ich nie nosi.

- Czy to była pani pierwsza walentynka? - zapytała Rosalyn.

- Ależ nie! Firmę prowadziłam już od paru lat. Ale mogę ci zdradzić, że równie kosztownej nigdy nie zrobiłam! Trochę się bałam, znając wartość kamieni. Henry przychodził kilka razy dziennie, żeby sprawdzić postępy, i śmiał się z mojego zdeenerwowania.

- Więc jest cenna?

Wiedziała, że nic nie zastąpi pereł, które przypły-

nęły na „Mayflower”, ale może choć trochę przestanie dręczyć ją sumienie.

Kiedyś.

- Oczywiście, moja droga. Pewnie wydam ci się zarozumiała, ale to najlepsza walentynka, jaką w życiu zrobiłam. Pewnego dnia sama kartka może mieć pewną wartość, nawet bez rubinów.

- Dlatego chcę, żeby pani ją wzięła - oświadczyła Rosalyn.

- O, nie, nie mogłabym...

- Musi pani ją przyjąć. Wiem, że nie zastąpi pereł, i zawsze będę sobie wyrzucać, że je zgubiłam, ale...

- Nie, nie, nie! I przestań wreszcie się obwiniać!

Rosalyn wytrzeszczyła oczy. Panna Howland na nią krzyknęła!

- Pani nie rozumie...

- Oczywiście, że rozumiem, kochanie! Wiem, jak się czujesz, Rosy, ale nie mogę przyjąć od ciebie tej walentynki.

- Dlaczego?

- Dlatego. - Esther potrząsnęła głową ze zniecierpliwieniem. - Bo Callie chciała, żebyś ty ją miała. Była moją przyjaciółką. Przyjaźń znaczy dla mnie więcej niż stara biżuteria! Jak mogłabym zabrać twoje dziedzictwo? - Widząc, że Rosalyn otwiera usta, dodała szybko: - Ani słowa więcej. Perły przepadły, trudno. Zresztą zawsze istnieje szansa, że jakaś dobra dusza je zwróci.

- To znaczy, że mnie pani nie zwolni?

- Oczywiście, że nie! - Panna Howland wybuchnęła śmiechem. Po jej niedawnym przygnębieniu nie zostało ani śladu. - Dlaczego miałabym zrobić coś tak głupiego? Jesteś maskotką firmy.

Rosalyn nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

- Czy to znaczy... że mogę tu zostać?

-Tak.

Dziewczyna już miała paść do nóg pannie Howland, żeby wyrazić wdzięczność, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Wcześniej na interesantów.

Rosalyn ruszyła za pracodawczynią z bijącym sercem. A jeśli to Chris? Czy powinna go przedstawić? Jak zareaguje panna Howland?

Gdy na ganku ujrzała Willisa, w pierwszej chwili poczuła ulgę, że nie będzie musiała wyjaśniać pannie Howland, kim jest Chris. Dopiero potem zdziwiła ją niespodziewana wizyta dorożkarza. Na twarzy mężczyzny pojawił się szeroki uśmiech.

- Willis! Co cię sprowadza?

Obie kobiety czekały, wstrzymując oddech.

- Panno Mitchell, znalazłem coś w mojej dorożce. Pod dywanem. Zaglądała tam pani?

Rosalyn potarła dłonią czoło.

- Znalazłeś perły? - spytała niecierpliwie, prawie podskakując w miejscu.

- Niegrzecznie jest trzymać damę w niepewno-

ści, proszę pana - odezwała się panna Howland z wyrzutem.

Mężczyzna wyjął z kieszeni naszyjnik i zademonstrował go teatralnym gestem.

- Dobry Boże! - Rosalyn wyrwała mu perły z ręki. - Niech pani spojrzy!

- Widzę.

- Czyż nie są piękne?

- Owszem - przyznała panna Howland z poślizgiwym uśmiechem.

Usczęśliwiona Rosalyn rzuciła się na Willisa i cmoknęła go mocno w policzek. Mężczyzna oblał się rumieńcem.

- Chyba już pójdę - bąknął, zakładając czapkę.

- Nie! Poczekaj. Należy ci się nagroda.

- Nie, panienko. Nie chcę żadnej nagrody - oświadczył Willis stanowczo i zaczął się cofać. - Nie zrobiłem nic wielkiego. Każdy uczciwy człowiek by tak postąpił.

- Ale...

Dziewczyna urwała, czując na ramieniu dłoń panny Howland.

- Dziękuję, Willis. Jesteśmy ci dozgonnie wdzięczne.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Howland. - Mężczyzna uchylił kapelusza i zwrócił się do Rosalyn: - Panno Mitchell, mogę panią zawieźć do pracy?

- Oczywiście.

Pobiegła po płaszcz, nucąc pod nosem. Nie wierzyła we własne szczęście. Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć...

Nie. Nie powie Chrisowi, bo nie zobaczy go więcej. Tak dziwnie zachował się dzisiaj. Jakby... był na nią zły, że wspomniała o walentynce Callie.

Bzdura. Widać uznał ją za roztargnioną i nieważną.

Tak, na pewno o to chodziło. O cóżby innego?

Zresztą nieważne, bo i tak już powzięła decyzję. Pan Brown jest dla niej zbyt światowy, a w dodatku ona nie potrafi nad sobą zapanować w jego obecności. Do oczu napłynęły jej łzy, ale uznała, że nie mają nic wspólnego z postanowieniem, by zakończyć znajomość z Chrisem. Po prostu jest szczęśliwa, że perły się znalazły.

Poza tym rano zwątpiła w jego rozsądek, tak jak wcześniej w swój. Każde spotkanie utwierdziło ją w przekonaniu, że nie powinna widywać się z panem Brownem.

Ale przecież go kocha, naprawdę kocha. Szkoda, że bez wzajemności.

Potrząsnęła głową i wróciła do holu, gdzie panna Howland gawędziła z Willisem.

Musi zapomnieć o przystojnym nowojorczyku. I to jak najszybciej.

Gdy ostry ból przeszył jej serce, zrozumiała, że już jest za późno.

8

Christian przez dwie godziny czekał na pannę Mitchell przed pracownią. Spod topniejącego śniegu miejscami ukazywała się brązowa, zmarznięta ziemia. Drewniany chodnik wypaczył się pod ciężarem białego puchu. Ulice pokrywało błoto, zdradliwe dla pieszych i powozów.

Minał tydzień, odkąd widział ją po raz ostatni. Uczciwie musiał przyznać, że wydawało mu się, jakby upłynął miesiąc. Rosalyn była niczym promyk słońca w pochmurny dzień, niczym blask księżyca w pełni pośród ciemnej nocy...

Christian odsunął się od muru, gdy dziewczyna stanęła w drzwiach z koszykiem w jednej ręce i parasolką w drugiej. Spojrzała w lewo, potem w prawo. Gdy go dostrzegła, jej oczy się rozszerzyły.

Mężczyzna odruchowo przeniósł wzrok na pełne usta. Nie zawiódł się. Różowy języczek zwilżył dolną wargę, budząc w nim gorące pożądanie, którego nie był w stanie ostudzić zimowy chłód.

Do tego momentu Christian nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo za nią tęsknił.

Do diaska. Powinien szukać rodowych klejno-

tów, a nie uganiać się za kobietą, która uważała, że walentynka zastąpi bezcenne perły. Ciekawe, że wcale nie wygląda na rozstrojoną nerwowo, pomyślał, przyglądając się zaróżowionym policzkom i błyszczącym oczom.

- Witaj, Rosalyn.

Czy ona zdaje sobie sprawę, ile zdradza wyraz jej twarzy?

- Chris... Jak się masz?

Panna Mitchell przełknęła ślinę i spojrzała w dół ulicy. Wyraźnie unikała jego wzroku. Christian zmarszczył brwi. Czyżby tracił na nią wpływ? A może ostatnie spotkanie wytrąciło ją z równowagi bardziej, niż sądził? Zachował się wtedy dość nieprzyjemnie. Niech to diabli.

- Rosalyn, przepraszam za ostatni tydzień.

Dziewczyna popatrzyła na niego ze ściągniętymi brwiami.

- Przyjmę przeprosiny pod warunkiem, że wszystko mi wyjaśnisz. - Machnęła parasolką na przejeżdżającą dorożkę. - Wybacz, ale muszę dostarczyć pilną przesyłkę.

- Nic z tego - mruknął Christian.

- Słucham?

- Nigdzie nie pojedziesz, póki nie porozmawiamy.

Rosalyn zaśmiała się, jakby usłyszała dobry żart, ale mężczyzna wyczuł w jej śmiechu strach. Maskowanie uczuć wcale nie przychodziło jej łatwiej niż kłamstwo.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - oświadczyła z wymuszonym uśmiechem. - Miłego dnia.

Kiedy dorożka zatrzymała się przy krawężniku, Rosalyn podała woźnicy adres i wsiadła, nie oglądając się.

Christian wskoczył za nią i spokojnie zajął miejsce, nie zważając na protesty.

- Chyba wspomniałem, że musimy porozmawiać.

Rosalyn demonstracyjnie postawiła między nimi koszyk, co Chris skwitował ironicznym uśmiechem.

- Czy to wyzwanie, panno Mitchell?

Dziewczyna spiorunowała go wzrokiem. Christian uśmiechnął się szerzej.

- Nie rzucam panu wyzwania, tylko ignoruję, panie Brown.

- Sądysz, że możesz mnie zignorować? - Nachylił się i objął ją ramieniem. Dłoń położył na karku dziewczyny, ściszył głos do uwodzicielskiego szeptu. - O co chodzi, Rosalyn? Hmm?

Dziewczyna zeszywniała i odsunęła się szybko. Christian pozwolił jej na małe zwycięstwo.

- Już mówiłam. Nie rozumiem, dlaczego wtedy byłeś na mnie taki zły. Wytłumacz się, a ja pomyślę, jak cię dalej traktować.

Uczciwa propozycja. Christian miał tydzień na obmyślenie wiarygodnego wyjaśnienia. Musiał jedynie sprawić, żeby mu uwierzyła. Przybrał stosowny wyraz twarzy.

- Martwiłem się o ciebie. Kiedy zaczęłaś pleść o wa-

lentynekach, pomyślałem, że wpadłaś w histerię.

- Nigdy w życiu nie wpadłam w histerię.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Więc przepraszam, że źle oceniłem sytuację.

Tłumaczenie było naciągane, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że Rosalyn nie jest typem hysteryczki, ale co innego mógł powiedzieć?

- Wybaczysz mi?

Zrobił pokorną minę. To zwykle pomagało.

- Pod jednym warunkiem.

Garret zdusił w sobie śmiech. Warunek?

- Pod jakim? Muszę wiedzieć, zanim się zgodzę.

- Że pojedziesz teraz ze mną.

Mężczyzna zmrużył oczy i łypnął na nią podejrzliwie. Była całkiem poważna. Może lekko zdenerwowana. Cóż, zawsze lubił niespodzianki, a poza tym nie miał żadnych planów na ten dzień.

- Powiesz mi przynajmniej, dokąd jedziemy?

Rosalyn odchyliła się na oparcie, uważając, żeby nie dotknąć jego wyciągniętego ramienia. Zdało się, że prowincjuszka udzieliła sobie niedawno kilku lekcji moralności, pomyślał Garret.

- Jamy, ten chłopiec, którego panna Howland zatrudniła do palenia w piecach, od trzech dni nie przychodzi do pracy. Wszyscy się martwią, ale nikt nie ma czasu do niego wpaść.

- Z wyjątkiem ciebie.

- Tak. W zakładzie pracuję tylko w soboty, a ponieważ to ja jeżdżę ze wszystkimi przesyłkami...

- Zostałaś wybrana.

Dziewczyna uniosła brodę.

- Tak, ale Jamy mieszka w biedniejszej części miasta, więc panna Howland bała się mnie puścić samą...

- A skoro narzuciłem ci się z towarzystwem, postanowiłaś mnie wykorzystać?

Wybuchnął śmiechem, kiedy Rosalyn oblała się rumieńcem. Odwrócił ku sobie jej twarz i pocałował w usta.

- Niedobrze, że zniknąłem na tak długo. Teraz cię onieśmielam.

- Nie powinniśmy tego robić - wykrztusiła i próbowała się odsunąć.

- Dlaczego?

- Bo... Och, wiesz dlaczego, więc przestań drażnić się ze mną.

- Bardzo lubię...

Christian urwał w pół zdania. Już dawno się zorientował, że Rosalyn nie jest doświadczoną i bywała w świecie kobietą, tylko niewinną dziewczyną z małego miasta.

W tym momencie powóz wpadł jednym kołem w dziurę. Christian w ostatniej chwili złapał koszyk zsuwający się na podłogę.

- Co tu masz, do licha? - spytał zaskoczony jego ciężarem.

- Przetwory, jabłka, pomarańcze i suszoną wołowinę. Jest jeszcze kamfora i parę świec. Te rzeczy wybrałyśmy na początek.

Garret uniósł brew.

- My?

- Dziewczyny pracujące w zakładzie i panna Howland. Poleciała mi zrobić listę i kupić, co trzeba.

- Ale jeszcze nie wiecie, co z Jamym?

- Domyślamy się. Tak daleko chodzi na piechotę, w tym mrozie i śniegu... Ostatniej zimy dostał zapalenia płuc.

- Ile ma lat?

- Czternaście.

- Czternaście? Jak można zmuszać do pracy dziecko w tym wieku?

Garret wiedział, że w Nowym Jorku to zjawisko jest powszechne, ale sam nie zatrudniał dzieci w swoich fabrykach tekstyliów. Tym bardziej go dziwiło, że nieduże miasteczko nie dba o własnych obywateli, lecz wykorzystuje tanią siłę roboczą.

- Jeśli nie będzie pracował, jego rodzina umrze z głodu. Jamy opiekuje się chorą matką i dwiema siostrami.

Informacja poruszyła Christiana bardziej, niż był gotów się przyznać. On też kiedyś został sam i musiał opiekować się matką, choć wtedy jeszcze nie chorowała. Jeśli nie liczyć złamanego serca.

Gdy dorożka się zatrzymała, Garret otworzył drzwi, pomógł Rosalyn wysiąść i wziął od niej ciężki kosz.

- Zaczekaj na nas, woźnico.

Rozejrzał się po okolicy. We wszystkich kierun-

kach, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się nędzne domki, właściwie rudery.

- To tutaj?

Rosalyn skinęła głową. Christian zacisnął usta i ruszył przez topniejący śnieg. Do starej drewnianej chaty prowadziła wąska ścieżka między zaspami.

Garret zapukał. Po chwili usłyszeli szuranie. Drzwi skrzypnęły, ze środka łypnęło na nich podejrzliwe oko.

- Kim jesteście?

- Rosalyn Mitchell. Przyszłam do Jamy'ego.

Chris uścisnął jej łokieć, dodając otuchy. Gdy już myśleli, że kobieta ich nie wpuści, szpara się poszerzyła.

- Wchodźcie, bo ciepło ucieka.

Jakie ciepło? W domu panował dojmujący ziąb. Gdy tylko przekroczyli próg, gospodyni zatrzasnęła za nimi drzwi. Rosalyn drgnęła przestraszona. Garret z trudem oparł się pokusie, żeby ją pocałować.

- Jamy dobrze się czuje? - zapytała, szukając chłopca wzrokiem.

Christian też objął spojrzeniem ubogie wnętrze. Zobaczył wystrzępione zasłony w jedynym oknie i podartą kołdrę, oddzielającą dwa pokoje. Z drugiego pomieszczenia dobiegł kaszel. Przygarbiona kobieta westchnęła ze znużeniem.

- Znowu choruje. Od czterech dni. Mówiłam mu, żeby nie chodził do pracy, ale mój Jamy jest uparty. - W głosie matki zabrzmiała duma. - Boi

się, że umrzemy z głodu, jeśli nie będzie zarabiał, ale nie pomyśli, że na pewno tak się stanie, jeśli on umrze. Ja jestem słaba, a moje córki za młode, żeby pracować.

Wskazała kościstą ręką na chwiejny stolik oparty o ścianę.

Garret głośno wciągnął powietrze, gdy zobaczył dwie dziewczynki zgarbione przy stole. Wyglądały na rówieśniczki. Miały po sześć, siedem lat, ciemne włosy i były bardzo wątłe. Przed zimnem chroniły je stare szmaty, nadjedzone przez mole. W rękach ścisnęły węgielki i pracowicie ćwiczyły alfabet, dzieląc się jedną kartką. Zupełnie nie zwracały uwagi na obcych.

Christian usłyszał pociąganie nosem i spojrzał na Rosalyn. Zanim odwróciła głowę, dostrzegł łzy w jej oczach. Miał wielką ochotę zabrać ją z tego przygnębiającego miejsca.

- Przyniosłam wam parę rzeczy, pani Davidson - powiedziała drżącym głosem i wręczyła gospodyni kosz. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałabym zajrzeć do Jamy'ego.

Kobieta odgarnęła z oczu rzadkie włosy i zmierzyla Rosalyn badawczym wzrokiem.

- Zna się pani na leczeniu?

- Nie, ale panna Howland kazała mi wezwać doktora, jeśli okaże się potrzebny.

- Jasne, że jest potrzebny. - Zmarszczki na twarzy kobiety pogłębiły się. - Pewnie, że tak.

Biedaczka nie ma już nawet sił, żeby ocalić resztki godności, pomyślał Garret.

- Poślę woźnicę po lekarza - rzucił.

Gdy zobaczył wdzięczność w oczach Rosalyn, od razu zrobiło mu się ciepłej. Wzruszył ramionami i szybko wyszedł z domu.

Wracając, zatrzymał się i przez dłuższą chwilę patrzył na zrujnowaną chatę. Jamy nigdy nie odzyska zdrowia w takich warunkach. Konieczne jest ciepłe łóżko, dobre jedzenie i troskliwa opieka.

Christian znał odpowiednie miejsce.

- ...więc pani Davidson musiała sprzedać piec, żeby kupić jedzenie - dokończyła Rosalyn.

Powiodła wzrokiem po twarzach dziewcząt. Były wstrząśnięte. Doskonale rozumiała, co czują koleżanki i panna Howland. Obraz, który im odmalowała, nie był nawet w połowie tak straszny jak rzeczywistość.

- Czego używają na opał? - spytała Wynette.

Popatrzyła na jeden z trzech monstrualnych pieców, które stały w pracowni. Rosalyn przyszło nagle do głowy, że kobieta oderwie któryś od ściany i sama go zanieśie do chaty Davidsonow.

- Nie mają ogrzewania. Jedyne, co mogą zrobić, to siedzieć w grubych ubraniach.

Nie dodała, że te okrycia to zwykłe łachmany.

Panna Howland stanęła u szczytu długiego

stołu w kształcie litery L i klasnęła w dłonie.

- Zdaje się, że czeka nas chrześcijańskie zadanie. Jamy nigdy nie dojdzie do siebie, a biedne dziewczynki zamarzną bez ogrzewania i porządnego jedzenia.

- Ale co możemy zrobić? - odezwała się Hillary i przytknęła do nosa moką chusteczkę.

- Właśnie - poparła ją koleżanka, niska i bardzo nieśmiała matka pięciorga dzieci. - Żadna z nas nie jest bogata, ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Biedactwa!

- Możecie liczyć na mnie - przyłączyła się następna.

Wkrótce dwadzieścia pięć kobiet przekrzykiwało się nawzajem. Panna Howland musiała kilka razy klasnąć w dłonie, żeby je uciszyć.

- Mam pomysł, moje panie. Zbierzemy pieniądze dla Jamy'ego i jego rodziny. Jutro weźmiecie dzień wolny i zgromadzicie materiały. Możecie stąd brać, co chcecie. W sobotę zjawimy się tu wszystkie i przygotujemy specjalne walentynki.

- A co to ma wspólnego z Jamym? - zdziwiła się Alice.

Rosalyn odgadła, co zamierza panna Howland. Według niej pomysł był świetny!

- W niedzielę po mszy urządzimy w pracowni aukcję. Cały zarobek przekażemy Davidsonom.

Od oklasków i wiwatów niemal uniósł się dach. Panna Howland czekała cierpliwie, aż zapanuje cisza

- To nie wszystko.

- Nie wszystko?

- Jak to?

W pewnym momencie rozległ się ostry, niekobięcy gwizd, a po nim okrzyk:

- Cudownie!

- Poproszę ojca, żeby przed aukcją ocenił walentynki, a zwycięzcy otrzyma... - panna Howland zrobiła pauzę - ...wstążkę i sto dolarów od firmy.

Rosalyn gwałtownie wciągnęła powietrze. Sto dolarów! Wystarczyłoby na roczne chesne.

Albo na ciepłe ubrania dla sióstr Jamy'ego i na zapas jedzenia dla całej czwórki.

Tak. Nieważne, ile pieniędzy zbiorą, ona podaruje sto dolarów Davidsonom albo innej biednej rodzinie.

Powziąwszy decyzję, mogła skupić się na projektowaniu oryginalnej walentynki, ale oparła brodę na dłoni i powędrowała myślami do pana Browna i dzisiejszego ranka.

Widziała, jak przed wyjściem Chris dał pani Davidson garść monet. Nie słyszała, co mówił, ale na twarzy kobiety dostrzegła oszołomienie. Chris potrafił zaskakiwać. Raz był szorstki i groźny, a zaraz potem dobry i miły. Najgorsze, że budził w niej silne uczucia. Cudowne, ale bardzo niebezpieczne.

Cóż, nie pora na takie rozważania. Później, kiedy będzie sama, zastanowi się nad dziwną znajomością z panem Brownem. Teraz natomiast wy-

myśli najbardziej fantazyjną walentynkę, jaką kiedykolwiek widział ojciec panny Howland.

Christian zmierzył recepcjonistę wyniosłym wzrokiem.

- Czy muszę się powtarzać? Szukam pokoju dla tej pani i jej trojga dzieci, najlepiej blisko mojego. Na dwie noce.

Uznał, że tyle czasu wystarczy, by napełnić spiżarnię i zgromadzić opał. Postanowił umieścić rodzinę Jamy'ego w hotelu i osobiście zająć się przygotowaniem domu Callie tak, by można było w nim zamieszkać.

Pani Davidson stała za nim, podtrzymując syna trawionego gorączką. Dziewczynki ścisnęły się za ręce i rozglądały po eleganckim wnętrzu.

Christian nie wiedział, co nim powoduje. Chyba ten sam odruch, który nakazywał mu wspierać co roku hojnym datkiem pewien nowojorski sierociniec.

Nienawidził biedy.

Recepcjonista rozejrzał się nerwowo. Garret wykrzywił usta i sięgnął do kieszeni. Mężczyzna skwapliwie wziął pieniądze.

- Zaraz każę przygotować pokój, panie Brown.

- Proszę posłać na górę dużo gorącej wody i dużo jedzenia.

- Bezzwłocznie.

Christian westchnął. Wiedział, że jeszcze nieraz będzie musiał przywołać recepcjonistę do porządku.

Okazja nadarzyła się szybciej, niż sądził. Młody urzędnik wydał polecenia boyowi, a następnie zwrócił się do Garreta:

- Może pan powie tym ludziom, żeby zaczekali na zewnątrz, póki...

Nie skończył zdania, bo Christian chwycił go za kołnierz i przyciągnął do siebie.

- Od razu każe pan zaprowadzić ich do pokoju, jasne? I mają być traktowani jak wszyscy inni goście. - Na jego wargach pojawił się złośliwy grymas. - Chłopiec jest chory. Szkoda byłoby tego pięknego dywanu, rozumie pan?

W tym momencie, jak na umówiony sygnał, Jamy zaczął kaszleć.

Recepcjonista zbladł.

- T-tak. Przepraszam. Natychmiast, proszę pana.

Christian puścił kołnierz, mężczyzna przełknął ślinę i rozmasował szyję, po czym wcisnął klucz w rękę osłupiałego boya.

- Zaprowadź państwa do pokoju numer dwieście osiem. Dopilnuj, żeby jak najszybciej dostarczono tam gorącą wodę i jedzenie.

Gdy boy pobiegł wypełnić polecenie, Christian odwrócił się do pani Davidson. W jej oczach zobaczył taką wdzięczność, że poczuł się nieswojo.

- Pomogę pani zaprowadzić syna na górę.

Kobieta skinęła na dziewczynki, a Garret otoczył chłopca ramieniem. Jamy uśmiechnął się do niego słabo.

Lekarz stwierdził, że chory wyzdrowieje pod warunkiem, że będzie miał troskliwą opiekę. Christian zamierzał tego dopilnować.

- Chodźmy, Jamy. Musisz nabrać sił. Dziewczyny z pracowni walentynek tęsknią za tobą.

Chłopiec poczerwieniał jak burak.

- T-ttto miłe, że Kupidyn mnie odwiedziła.

Christian zatrzymał się w połowie schodów i spojrzał zdziwiony na Jamy'ego. Pani Davidson i dziewczynki też przystanąły.

- Kupidyn?

Może chłopiec bredzi w gorączce? Piegi całkiem zniknęły pod rumieńcem.

- T-ttak. K-kkupidyn. Panna Mitchell. - Jamy zaczął się jąkać bardziej niż zwykle. - Wszyscy tak ją n-nazywają. Dzięki niej ludzie się zakochują.

- Doprawdy? - Christian roześmiał się i ruszył w górę, prawie niosąc chorego. - Kupidyn... Hmmm. Pasuje do niej.

Kupidyn. Dobrze wiedzieć! Nigdy nie wiadomo, kiedy się to przyda.

W piątek panna Howland kazała roznieść po mieście zawiadomienia o niedzielnej aukcji. Część ulotek Rosalyn nakleiła na okna sklepów, a kilkadziesiąt wręczyła przechodniom. Od uśmiechów rozbolały ją policzki, od pogawędek z ludźmi ochrypła. Bolały ją nogi, palce zeszywniały od zimna, może nawet się odmroziły.

Bała się, że zemdleje, a musiała jeszcze zgromadzić materiały na walentynkę. Aż jęknęła na tę myśl. W końcu doszła do wniosku, że mała drzemka przywróci jej nadwątlone siły. Gdy zamknęła oczy, na granicy snu i jawy przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Zerwała się z łóżka. Z nocnego stolika wyjęła blok papieru rysunkowego i ołówki. Dopiero półmrok zmusił ją do zapalenia lampy. Zaraz potem wróciła do pracy.

Pół godziny później krytycznie przyjrzała się szkicowi. Przy niewielkim kuchennym stole siedzieli naprzeciwko siebie kobieta i mężczyzna. Trzymali się za ręce. Tłem było duże okno, za którym, w ciepłym blasku latarni gazowych, iskrzył się śnieg. Między zakochanymi leżała walentynka. W miejscach, gdzie powinny być rubiny, widniały czarne kropki.

Rosalyn przygryzła dolną wargę. Gdzie tu znaleźć czerwone koraliki? W pracowni ich nie zauważyła. Jeśli nawet jakieś były, na pewno zostały wykorzystane przez dziewczyny, które spędzały tam całe dni.

Do licha. Callie trzymała szklane paciorki w koszyku z przyborami do szycia. Dekorowała nimi świąteczne kartki i prezenty albo robiła ozdoby choinkowe.

Koszyk stał na sekretarzyku w pokoju na piętrze. W domu Callie.

Nie. Nie powinna. Nie robi tego.

A właśnie, że zrobi! Pan Toombs nie poprosił

jej o oddanie zapasowego klucza, więc schowała go na pamiętkę.

Będzie *działać* bezprawnie, ale czy komuś stanie się krzywda? Jeśli Christian Garret w ogóle raczy przyjechać, na pewno nie zainteresuje się bezwartościowymi świecidełkami. Natomiast dla niej mają teraz dużą wartość. Mogą jej zapewnić główną nagrodę w konkursie i sto dolarów dla biednej rodziny.

Założyła płaszcz i rękawiczki. Jeśli się pospieszy, chyba jeszcze złapie Willisa. Na obolałych nogach nie dojdzie na drugi koniec miasta.

Szybko się uwinie. Nikt nie zauważy jej obecności w opustoszałym domu. To nie będzie kradzież, bo Callie z radością dałaby jej koraliki, a Garret ich nie potrzebuje.

Zresztą nic go nie obchodziła umierająca macocha.

Rosalyn nagle spochmurniała. Na wszelki wypadek wsunęła do kieszeni świecę i pudełko zapalek.

Dzięki Bogu, że Christian Garret nie przyjechał.

9

Christian wziął duży zamach i rozłupał polano. Oparł siekiere o pień do rąbania i wytarł pot z czoła. Nachylił się po ostatni kloc.

Już zapomniał, kiedy wykonywał fizyczną pracę.

Teraz przekonał się, że bardzo mu jej brakowało. Kiedyś często pomagał swoim pracownikom, zyskując sobie ich szacunek i niechętny podziw. Uśmiechnął się i powędrował wzrokiem ku drewnianej wciśniętej w kąt podwórza. Gdy do niej rano zajrzał, stwierdził, że kłody są za duże do kominków w sypialniach. Następnego dnia we wszystkich powinienn buzować ogień. Dom był wyziębiony.

Większą część popołudnia spędził na rozmrażaniu kuchennej pompy. Musiał napalić w piecu, dzięki temu choć w jednym pomieszczeniu zrobiło się ciepło i przytulnie.

W Nowym Jorku miał do takich zadań służbę, ale dobrze pamiętał chude lata, kiedy on i matka omal nie umarli z głodu i zimna.

Wiedział, że ponure wspomnienia już zawsze będą go dręczyły.

Co by się stało, gdyby nie dostał ciężkiego zapalenia płuc, jak teraz Jamy? Dopiero wtedy matka otrząsnęła się z odrętwienia i przełknęła dumę. Babka powitała ich z otwartymi ramionami, przerażona stanem wnuka i wściekła na zięcia, że opuścił rodzinę.

Do diabła! Christian potrząsnął głową. Dlaczego nie może zapomnieć? Minęło tyle czasu. Już od dawna nie grozi mu śmierć głodowa.

Przeszedł przez ciepłą kuchnię do saloniku i ułożył drewno przy starym piecu, jedynym działającym w domu. W trzech sypialniach znajdowały się małe kominki, biblioteka szczyliła się tro-

chę większym, a w szwalni nie było żadnego.

Otrzeptał ręce z pyłu i zaczął się zastanawiać, co jeszcze pozostało mu do zrobienia. Już wcześniej napełnił spiżarnię wszelkim jadłem, w tym słodkimi bułeczkami z pobliskiej piekarni. Czuł, że zasmakują Jamy'emu i dziewczynkom, Holy i Julie. Za ścieleniem łóżek nie przepadał, ale zaniósł na górę świeżą pościel, niedawno odebraną z pralni. Napełnił lampy naftą, sprawdził, czy są zapałki, i upewnił się, że kominki mają dobry ciąg. W sypialniach i w kuchni przygotował zapas opału na kilka dni.

Co jeszcze? Rozejrzał się, marszcząc brwi. Wróci rano i nagrzeje dom, zanim sprowadzi Davidsonów. Zostaną tu, póki Jamy nie wyzdrowieje. A potem... Coś wymyśli.

Postanowił jeszcze raz sprawdzić piętro. Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

Znajdował się na podeście, kiedy usłyszał chrobot klucza w zamku. Drzwi frontowe trzasnęły jak sucha gałąź w cichym lesie.

Christian zamarł.

Rosalyn schowała klucz do kieszeni i cicho zamknęła drzwi, śmiejąc się w duchu z własnego strachu. Nikt nie mógł jej usłyszeć, bo nikogo tu nie było. Popatrzyła na mroczny hol i nosem głęboko wciągnęła powietrze. Czyżby dym? Żal ścisnął jej serce, gdy wyraźnie poczuła znajomy zapach. Callie nie chciała używać węgla ani gazu, stosowanych

już przez wielu mieszkańców Worcester.

Po wypolerowanej posadzce ruszyła ku schodom. Chciała zapalić świecę, ale rozmyśliła się. Co za głupota. To przecież jest jej dom... a raczej był. Schody skrzypiały w tych miejscach, co zawsze, budząc wspomnienia szczęśliwych czasów, które spędziła tutaj z Callie. Zamknęła oczy. Wchodząc, pieściła dłońią starą dębową poręcz.

Kochała ten dom tak samo jak Callie. Smuciła ją myśl, że dostanie go człowiek o sercu z lodu. Sprzeda meble, a potem resztę...

Na górze otworzyła oczy. Przed nią zamajaczył cień... Cień mężczyzny! Chciała krzyknąć, ale ciężka dłoń przykryła jej usta.

Dziewczyna szarpnęła się do tyłu i nadepnęła połą płaszcz. Straciła równowagę i zaczęła spadać.

Silne ręce chwyciły za klapy okrycia i przytrzymały ją, ratując od pewnej śmierci. Rosalyn wzięła głęboki oddech, ale nie zdążyła wrzasnąć.

- Cicho!

W pierwszej chwili osłupiała, w następnej poczuła ogromną ulgę, a zaraz potem gniew.

- Śmiertelnie się przeraziłam! Co tu robisz? Śledziłeś mnie?

Serce jeszcze tłukło się jej w piersi. Omal nie runęła ze schodów!

- Zakradłeś się, żeby mnie przestraszyć?

- Już skończyłaś mnie oskarżać? - rzucił mężczyzna rozbawionym tonem.

Więc uważa, że to zabawne, tak? Z całej siły pchnęła go na ścianę.

- Ucieszyłybyś się, gdybym spadła?

Mężczyzna zaśmiał się ochryple i przyciągnął ją do siebie. Rosalyn gwałtownie wciągnęła powietrze. Nagle uświadomiła sobie, z kim ma do czynienia. Przy panu Brownie zapominała o wszystkich zasadach, które jej wpajano.

- Puść mnie, Chris.

- Naprawdę myślałaś, że pozwolę ci spaść?

Mocno przyciskał ją do siebie, twardy i władczy. Zaczął pieścić jej ramiona. Rosalyn próbowała się uwolnić. Z wolna ogarniał ją strach, kolana słabły coraz bardziej.

- Co tutaj robisz? - powtórzyła pytanie.

Odsunęła twarz, choć marzyła tylko o tym, żeby przytulić się do Chrisa i wpić ustami w jego usta.

- Śledziłem cię. - Objął ją ramieniem w talii, a wolną ręką zaczął rozpinąć jej płaszcz. - A ty co tutaj robisz? Zapomniałaś czegoś? To dom twojej przyjaciółki, prawda?

Rosalyn zaczęła myśleć gorączkowo. Co tutaj robi? Szuka czerwonych koralików na walentynkę? O, nie, za żadne skarby nie wypowie tego słowa. Jeszcze nie zapomniała jego ostatniej reakcji. Może mu jednak powiedzieć część prawdy.

- Szukam ozdób na prośbę panny Howland. - Na razie dobrze. - Callie ma... miała zbiór kolorowych paciorków.

Do licha, co się dzieje z jej językiem?

- Więc pomyślałaś, że się zakradniesz i weźmiesz je sobie - dokończył Garret.

Uporał się z guzikami i zsunął z niej grube okrycie. Rosalyn oblizała wargi.

- Dlaczego mnie rozbierasz?

Chris zaśmiał się i szybko rozpiął swój płaszcz. Przyciągnął ją do siebie. Dziewczynie zaparło dech. Po raz pierwszy znajdowała się tak blisko mężczyzny. Choć nadal dzieliło ich kilka warstw ubrania, żar jego ciała przyprawiał ją o dziwne sensacje.

- Bo chcę poczuć twoje ciało przy moim.

O Boże. Musi stąd uciekać, nim zapomni o swoich niedawnych postanowieniach.

- Chris, proszę, nie powinniśmy...

- Dlaczego? - zapytał, muskając wargami jej usta. Pachniał dymem drzewnym i zimą. - Nie robimy nic złego... Na razie.

- I nie zrobimy.

Po plecach przebiegł jej dreszcz, kiedy wilgotne wargi przesunęły się po jej szyi i powędrowały wyżej...

Uległa bez walki. Rozchyliła usta i poddała się jak wierzba wiatrowi. Siła woli? Ha! Mogła jedynie trzymać się ramion tego mężczyzny, żeby nie upaść! Kiedy wreszcie uniósł głowę, dostrzegła w jego oczach pożądanie. Czy ona również patrzy na niego takim wzrokiem? Czy pod nim też uginają się nogi? Dobrze, że stoi oparty plecami

o ścianę, bo inaczej załamaby się pod jej ciężarem.

- Do czego zmierzasz...

Urwała, kiedy szybko rozpiął guziki koszuli i położył jej ręce na swoim nagim torsie.

Rosalyn zamknęła oczy. Pod palcami poczuła miękkie włosy. Wbrew własnej woli przesunęła dłonie niżej i trafiła na brodawki. Pod jej dotykiem natchmiast stwardniały. Jak oparzona cofnęła ręce i otworzyła oczy.

- Nie mogę...

- Dlaczego?

Jest głuchy albo uparty, pomyślała Rosalyn oszołomiona. Tak czy inaczej nie można mu ufać. Kiedy zaczął rozpinąć jej bluzkę, nie znalazła w sobie dość siły, żeby stawić mu zdecydowany opór. Przecież tylko się pieszczą. Nawet nie znajdują się w sypialni...

- Pragnę cię, Rosalyn. Chcę usłyszeć, jak krzyczysz moje imię.

O, nie! Zrozumiała, że jest w tarapatkach. Wykrzyzczyć jego imię? Już teraz miała ochotę to zrobić. O co mu chodzi? Czy może być coś więcej? Niczego więcej by nie zniosła. Już teraz było aż za dobrze, cudownie. Muszą przestać. On musi przestać.

Boże, dłonie Chrisa na jej nagich piersiach. Kiedy za nimi podążyły usta, wplotła palce w jego włosy i odchyliła głowę do tyłu.

- Nie...

Mężczyzna skwitował uśmiechem słaby protest,

nie przestając drażnić jej brodawek. Rosalyn pomyślała, że zaraz umrze z rozkoszy. Jak mu się oprzeć?

Gdy przylgnął wargami do jej ust, odwzajemniła pocałunek ze śmiałością, która ją samą zaskoczyła. Jęk rozkoszy, który wyrwał się Chrisowi, ośmielił ją jeszcze bardziej. Mężczyzna zaczął poruszać biodrami, budząc w niej całkiem nowe doznania.

Oprzytomniała, gdy poczuła dłoń na udzie. Wyswobodziła się z jego objęć.

- Nie. Nie możemy... nie mogę...

Oddychała szybko, urywanie.

Chris patrzył na nią ze zmysłowym uśmiechem. Stał na szeroko rozstawionych nogach, prezentując nagi tors. Wyglądał na człowieka, które wie, jak dostać to, czego pragnie.

Pragnął jej, a ona jego. Uwielbiała czuć, jak ją pieści i całuje. Sama też lubiła całować go i dotykać. Wiedziała jednak, że nie będzie w stanie spojrzeć na siebie w lustrze, jeśli ulegnie pokusie. Miłość bez małżeństwa to zwykła żądza. Tak mówi ojciec Acorn.

- Przepraszam, Chris. Nie mogę.

Palce jej drżały, kiedy zapinała bluzkę.

- Wezmę koraliki i oboje wyjdziemy, nim ktoś nas zobaczy. - Zaśmiała się nerwowo. - Christian Garret chętnie by mnie tu przyłapał.

- Owszem.

Przystanęła w drzwiach szwalni i odwróciła

wolno. Ten dziwny ton... Czyżby słyszała w nim nutkę żalu?

- Skąd wiesz?

Nagle zaschło jej w ustach.

Czyżby znał Garreta?

Christian zbył pytanie wzruszeniem ramion. W duchu szykował się na nieuniknioną walkę.

- Powiedz mi, Rosalyn, po co naprawdę tutaj przyszłaś?

Od chwili gdy rozpoznał ją na schodach, podejrzewał, że wróciła po rubiny. Ciekawe, gdzie je ukryła. W jakimś zakamarku czy schowku, którego nie sprawdził. Nie znajdował innego logicznego wytłumaczenia jej obecności w domu Callie.

A już niemal przekonał samego siebie, że Rosalyn jest niewinna. Jakim był głupcem!

- Mówiłam ci, że po koraliki...

- Wymyśl coś lepszego.

Zapiął koszulę i ruszył ku niej. Cofnęła się przed nim. Namiętność w jej oczach ustąpiła miejsca strachowi.

- Powiedz prawdę.

Rosalyn uniosła podbródek.

- Pokażę ci.

Z kieszeni płaszcza wyjęła świecę i zapałki. Po chwili równy płomyk rozświetlił mroczny pokój. Dziewczyna podeszła do sekretarzyka i zdjęła z niego duży wiklinowy kosz. Usta miała zaciśnię-

te w wąską linię. Na twarzy, oprócz lęku, malowało się oszołomienie.

- Kim jesteś? Detektywem?

Otworzyła koszyk i wysypała jego zawartość na biurko.

Najwidoczniej jeszcze nie poskładała elementów łamigłówki, pomyślał Christian. Albo może naprawdę nie ma o niczym pojęcia.

Trochę szpilek i innych drobiazgów spadło z brzękiem na podłogę. Rosalyn wzięła coś do ręki, zbliżyła się i podsunęła mu pod nos zaciśniętą pięść.

Patrząc mu w oczy, wolno otworzyła dłoń.

Christian spojrział i zobaczył kolorowe szklane paciorki. Demonstracyjne zachowanie nie zrobiło na nim wrażenia. Oznaczało jedynie, że panna Mitchell ma refleks.

- I co? Teraz widzisz, po co przyszłam? Esther Howland organizuje aukcję, żeby zebrać pieniądze dla Jamy'ego i jego rodziny. Wszystkie pracownice robią teraz walentynki, które zostaną sprzedane w niedzielę. Odbędzie się również konkurs na najbardziej oryginalną kartkę. Chcę zdobyć główną nagrodę. Koraliaki są do dekoracji.

Christian był pełen uznania dla jej wyobraźni. Podziwiał również sposób, w jaki falowały jej piersi. Wspaniałe piersi!

- I co? - powtórzyła Rosalyn. - Nie sądzisz, że jesteś mi winien wyjaśnienie? Skąd się tu wzięłeś?

Christian oparł się o framugę, skrzyżował ra-

miona i powiódł wzrokiem po rozgniewanej piękności. Nie spieszył się. Chciał zapamiętać każdy szczegół jej postaci.

A niech to. Skrzywił usta w grymasie żalu i zniszczył magię chwili czterema słowami:

- Jestem właścicielem tego domu.

Rosalyn nie zmieniła wyrazu twarzy. Nie mrugnęła okiem. Nie poruszyła się. Gdy Christian już zaczął wątpić, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa, dziewczyna ożyła. Jej pierwszą reakcją było niedowierzenie.

- Nie. Właścicielem jest Christian Garret. - Energicznie potrząsnęła głową, burząc misterny kok. - Ty nazywasz się Chris... - Ściszyła głos do szeptu. - Chris... Christian. To niemożliwe.

Garret wcale nie był z siebie dumny, o, nie. Żałował, że w ogóle zaczął całą tę grę. Miał ochotę powiedzieć, że pragnie jej mimo wszystko, że mniejsza o rubiny...

- Ty draniu!

Oczekiwał gniewu, ale nie wyzwisk. Takie zachowanie było niepodobne do Rosalyn. Nie spodziewał się również wyrazu bólu w jej oczach, a pogarda w głosie zraniła go do głębi. O dziwo, zaczął się tłumaczyć.

- Za daleko się posunąłem... - bąknął.

- Och, to mało powiedziane.

Łza kapnęła na płaszcz i wsiąkła w różowy akсамit. Christian drgnął. Oskarżycielskie spojrze-

nie dziewczyny poruszyło go bardziej, niż miał odwagę się przyznać.

Tymczasem Rosalyn uklękła i zaczęła zbierać rozrzucone przybory do szycia. Widać musiała czymś zająć ręce, żeby nie skrócić mu karku.

- Okłamałeś mnie. W restauracji pozwoliłeś, żebym wygadywała o tobie te wszystkie przykre... prawdziwe rzeczy. Pozwoliłeś mi paplać, jaka szczęśliwa była Callie z Henrym... twoim ojcem...
- Zerknęła w górę, lecz szybko opuściła głowę, jakby nie mogła znieść jego widoku. - Ależ musiałeś śmiać się w duchu!

- Nie.

Rosalyn prychnęła.

- Nie? Co nie? Nie kłamałeś? Czy nie śmiałeś się? Co, Christianie?

Mężczyźnie nie podobał się sposób, w jaki panna Mitchell wypowiedziała jego imię. Dużo bardziej wolał, gdy mówiła do niego „Chris”.

- Nie śmiałem się. Nie znajduję nic zabawnego w szczęściu mojego ojca.

Był ciekaw, czy zauważyła, że nie wspomniał o Callie. Pani Garret była niewinną ofiarą jego rozpustnego ojca, ale mimo pokusy Christian nigdy tego nie wyjaśnił Rosalyn.

- Nie rozumiem. Uważasz, że trzeba opłakiwać współmałżonka do końca życia i wyrzec się szczęścia?

Dziewczyna podeszła i dźgnęła go palcem w pierś. W drugiej ręce trzymała świecę.

Zdaniem Christiana wyglądała przepięknie. Już nie zraniona, lecz wściekła. Chyba uznała, że nie jest wart cierpienia, albo głęboko schowała urazę. Tego jednak nie mógł wiedzieć.

- Uważam, że to dziecinne przekonanie, Christianie Garrecie-Brown. Dziecinne! Dlaczego twój ojciec nie miał prawa być szczęśliwy? Możesz mi wyjaśnić? Czy nie zasłużył na drugą szansę? A Callie?

Zarzuciła go pytaniami, nie dając czasu na odpowiedź. Drżała na całym ciele.

Christian korciło, żeby porwać ją w ramiona i nie zważać na opór, lecz po raz pierwszy w dorosłym życiu wątpił, czy w ten sposób osiągnie cel. To nie była sprzeczka kochanków, a Rosalyn z pewnością nie była zwyczajną kobietą. Do diaska.

- Nie tylko dziecinne, ale również egoistyczne. Tego już za wiele! Christian zazgrzytał zębami.

- Rozwiódł się z moją matką.

Rosalyn zaniemówiła. Przez jej twarz przebiegały sprzeczne uczucia. Christian domyślał się, że dziewczyna chce nazwać go kłamcą, ale najwyraźniej nie potrafi. Jeszcze nigdy nie wyglądał ani nie mówił poważniej.

- Jak możesz! To godne pogardy! - krzyknęła w końcu.

Utkwiła w nim badawcze spojrzenie, jakby chciała przyłapać go na uśmiechu. Garret zachował powagę.

- Powiedz, że to kłamstwo, Christianie - poprosiła już słabiej.

- Chciałbym, żeby tak było.

- Callie nigdy mi nie mówiła...

- Nie wiedziała.

Rosalyn pokiwała głową. Wyglądała na tak zagubioną, że Christian miał wielką ochotę ją przytulić.

- Cieszę się, że nie wiedziała. Nie poślubiłaby go, gdyby znała prawdę.

- Wiem.

Co jeszcze mógł dodać?

- Prawda złamałaby jej serce.

- Dlatego nic jej nie powiedziałem.

Rosalyn położyła czoło na jego ramieniu. Christian zawahał się. Chciał ją objąć, ale wyczuł, że chwila nie jest odpowiednia. Po prostu dziewczyna musiała gdzieś oprzeć głowę. Wdychał świeży zapach jej włosów. Cytryna i jeszcze coś... Lekka kwiatowa woń, kojarząca się z gorącym, letnim dniem. Kapryfolium. Tak, kapryfolium.

- Więc nie czułeś nienawiści do Callie?

- Gdy ją poznałem, uświadomiłem sobie, że nie potrafiłbym nienawidzić kogoś takiego jak ona. To była szlachetna dusza, prawda?

Rosalyn pociągnęła nosem.

- Tak. - Głos jej się łamał. - Była najcudowniejszą osobą, jaką znałam.

- Mój ojciec miał szczęście, że ją spotkał.

Nie zdołał ukryć goryczy. Rosalyn zeszywnia-

ła. Uniosła głowę i przyjrzała się jego stężalym ry-
som. Oczy miała wielkie i świetliste.

- Nie lubiłeś ojca, prawda?

Christian uśmiechnął się z przymusem.

- Łagodnie powiedziane.

- Opowiesz mi o tym?

- Może.

Bardzo pragnął, żeby Rosalyn zrozumiała, dla-
czego on, w przeciwieństwie do niej, nie wierzy
w miłość i szczęście.

- Wyjaśnij również, dlaczego mnie oszukałeś?

Mężczyzna drgnął, zaskoczony pytaniem. Inte-
ligentna dziewczyna.

- Chodźmy do kuchni. Tam jest ciepło.

- Zaczekaj. Muszę wziąć koraliki. - Rzuciła mu
pytające spojrzenie. - Chyba nie masz nic prze-
ciwko temu?

Garret uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie.

Rosalyn przesunęła dłonią po pleconym
wieczku, zamknęła koszyk i schowała paciorki do
kieszeni płaszcza. Ruszyła do wyjścia. Christian
pocałował ją, kiedy mijała go w drzwiach. Był za-
skoczony, że się nie odsunęła. Przeciwnie, spra-
wiała wrażenie nienasyconej.

Podobnie jak on. Westchnął w duchu i niechęt-
nie wypuścił Rosalyn z ramion. Odprowadził ją
wzrokiem. Zamknął drzwi, gdy zniknął mu z oczu
blask świecy.

Dzięki panie Mitchell wizyta w Worcester okazała się bardzo interesująca. Prawdę mówiąc, Garret nie potrafił wyobrazić sobie dalszego życia bez Rosalyn.

10

Christian zdjął czajnik z kuchennego pieca i dorzucił do ognia. Następnie usiadł obok Rosalyn przy dębowym stole.

- Dobra herbata - pochwaliła dziewczyna uprzejmie, grzejąc dłonie o gorący kubek.

Już prawie ochłonęła z gniewu. Przed wszystkim jednak czuła się upokorzona. Jak mogła się nie domyślić, że Chris Brown to Christian Garret? Z drugiej strony, dlaczego miałyby podejrzewać, że nieznajomy mężczyzna przedstawi się fałszywym nazwiskiem, że ją oszuka? Takie zachowanie wydawało się bez sensu. Gdyby udzielił jej prostego, logicznego wyjaśnienia, może zdołałaby mu przebaczyć. Zamierzała również spytać, dlaczego nie odpowiadał na listy Callie.

Była zaskoczona, a jednocześnie nieszczęśliwa, że czarujący pan Brown okazał się podłym i znieprawdopodobnym Christianem Garretem.

- Dziękuję.

Rosalyn podniosła wzrok znad kubka i spojrzała w najbardziej uwodzicielskie oczy na świecie. Przez chwilę czekała w napięciu. Poczowała lekką ulgę, gdy nic się nie stało. Tym razem czar nie zadziałał.

- Miałaś powiedzieć mi o rodzicach - przypomniała.

Poprosiła go o to, choć nie zamierzała uwierzyć choćby w jedno słowo, które padnie z jego ust. Jak mogłaby zapomnieć, że kłamał nawet wtedy, gdy całował ją do utraty tchu? Jeśli mężczyzna potrafi okłamywać kobietę, której rzekomo pożąda... Otóż to, „pożąda”. Następny dowód, że ani przez moment jej nie kochał.

Christian potarł brodę.

- Miałem pięć lat, kiedy ojciec odszedł.

- Dlaczego?

Rosalyn opuściła wzrok, żeby nie dostrzegł wyrazu nieufności w jej oczach. Nie nabierze się na jego rzewną opowieść. Może Garret jest aktorem? Co prawda wygląda na człowieka bogatego, a nie byle aktorkę, ale jeśli to tylko pozory? Nigdy nie wspomniał, w jaki sposób zarabia na życie.

- Nie wiem. Po prostu wyszedł z domu i nie wrócił. Po roku rozwiódł się z moją matką. Skandal omal jej nie zabił. Później usłyszeliśmy, że ożenił się ponownie.

- Z Całtie - wyrwało się Rosalyn.

Uważaj! Przecież on kłamie.

- Tak. Nie chciałem wierzyć. Wtedy już miesz-

kaliśmy z babką. Kiedy trochę podrosłem, pojechałem do niego, żeby się przekonać na własne oczy, jak wygląda prawda. Przy okazji odkryłem, że macocha nic nie wie o przeszłości własnego męża. Sądziła, że moja matka umarła. - Jego rysy wykrzywił brzydki grymas. - Błagał mnie, żebym jej nie mówił, nawet proponował pieniądze.

Rosalyn ugryzła się w język. Nie, nie da się znowu nabrać na tę grę. Historia jest tragiczna, ale nieprawdziwa. Nie wolno jej o tym zapominać. Gdyby Henry Garret był takim draniem, jakim go przedstawiał syn, Callie by wiedziała.

Christian odchylił się na krześle. Rosalyn czuła na sobie jego płonący wzrok, ale wpatrywała się w kubek z herbatą. W jego oczach na pewno malował się wyraz bólu; taki sam, jaki zobaczyła w dorożce, kiedy powiedziała, że Callie i Henry byli bardzo szczęśliwi.

Co nie znaczy, że Garret mówi prawdę.

- Musiałeś być bardzo rozgoryczony.

Zwykłe frazesy. Niech sobie myśli, że uwierzyła w jego smutną historię.

W śmiechu mężczyzny zabrzmiała taka gorzkość, że ciarki przeszły jej po plecach. Boże, jest świetny. Jak we wszystkim, szepnął bezwstydnym głosem. Rosalyn pospiesznie wypijała kilka łyków herbaty. Było jej za gorąco w płaszczu, ale bała się go zdjąć w obecności Christiana.

- Tak. A jeszcze bardziej po tym, jak wróciłem

do domu i babka poinformowała mnie, że ojciec ukradł rodowe dziedzictwo.

Rosalyn zebrała się na odwagę i spojrzała mu w oczy.

- Dziedzictwo? Twierdzisz, że twój ojciec ukradł rodowe srebra albo coś w tym rodzaju?

- Nie srebra. Cenną biżuterię.

- Dlaczego nie odebrałeś kosztowności, gdy złożyłeś mu wizytę?

- Bo ojciec podarował je Callie. Odwiedziłem go właśnie w tym celu, ale na miejscu stwierdziłem, że nie mogę zażądać zwrotu.

- Jakie to szlachetne z twojej strony.

Omam nie udławiła się własnymi słowami. I ona jeszcze niedawno kochała tego oszusta? Na samą myśl ogarnęło ją przygnębienie.

- Nie jesteś ciekawa, co ukradł mój ojciec?

Rosalyn szybko podniosła kubek do ust, żeby zasłonić się przed badawczym wzrokiem Christiana. Do czego on zmierza? Już po tonie głosu wyczuła, że mężczyzna coś chowa w zanadrzu. Nie mogła powiedzieć zgodnie z prawdą, że nie obchodzi jej rodzinne tajemnice, więc tylko bąknęła:

- Co?

Garret odczekał dłuższą chwilę.

- Rubinowy naszyjnik.

Rosalyn zakrztusiła się herbatą. Zaczęła gwałtownie kaszleć i łąpać powietrze. Christian zerwał się z krzesła i kilka razy mocno klepnął ją po ple-

cach. Gdy wytarła załzawione oczy i odstawiła kubek na stół, wrócił na swoje miejsce.

Nagle zeszywniała. Stopniowo przypomniały się jej wiele mówiące drobiazgi. Christian pytał ją o testament Callie. Podsunął myśl, żeby ukrytym „skarbem” zapłaciła za zgubione perły. Wpadł w złość, kiedy napomknęła o walentynce, bo nie wiedział, że jest ozdobiona rubinami...

Wzięła głęboki oddech i spojrzała na „swojego” pana Browna, obecnie Christiana Garreta. Kłamcę i złodzieja. Cynicznego uwodziciela.

- Ty wzięłeś perły!

Mężczyzna skinął głową z kamienną miną. Jeśli miał jakieś sekrety, ukrywał je pod opuszczonymi powiekami.

Rosalyn odwróciła wzrok. Serce ścisnęło się jej z żalu. Do oczu napłynęły łzy, ale twardo postanowiła, że się nie rozpłacze. Niestety nic nie mogła poradzić na zachrypnięty głos.

- Wszystko sobie zaplanowałeś, prawda? Miałeś nadzieję, że kiedy nie znajdę pereł, przyjdę do ciebie. Zamierzałeś mi doradzić, żebym zapłaciła pannie Howland „skarbem”, i sądziłeś, że wtedy powiem ci o rubinach.

Milczenie potwierdziło słuszność domysłu. Niech go diabli! Niech go piekło pochłonie!

- Gdy ani słowem nie wspomniałam o rubinach, przysłałeś Willisa z perłami, które jakoby znalazły się w dorożce. Tymczasem ty je wzięłeś, udając, że...

Ból nie pozwolił jej mówić dalej.

- Nie udawałem.

Mięśnie szczęk Garreta napięły się wyraźnie.

Rosalyn parsknęła śmiechem i ku własnej satysfakcji zobaczyła, że szyja i twarz Christiana pokrywają się rumieńcem. Dobrze! Ale to jeszcze za mało.

- Jak daleko sięgał twój plan? Czekałeś, aż w końcu ci ulegnę i będziesz mógł się zabawić?

Musi wiedzieć, nawet gdyby odpowiedź miała ją zabić.

Christian wstał od stołu i podszedł do ciepłego pieca, jakby zmroziły go jej słowa.

- Nie kierowałem się wyrachowaniem. Naprawdę mi na tobie zależy, Rosalyn.

Dziewczyna zaśmiała się drwiąco.

- Nie wierzę, panie Garret.

Mężczyzna skrzyżował ramiona. Pod koszulą wyraźnie zarysował się szeroki tors. Rosalyn opuściła wzrok. Niedawno dotykała tej twardej piersi, czuła, jak napinają się mięśnie. Zła na siebie, skupiła uwagę na misternym wzorze chińskiego kredensu Callie.

- To prawda.

Dziewczyna próbowała nie słuchać głębokiego głosu, którym mężczyzna znowu usiłował zwabić ją w sieć. Tym razem mu się nie uda. Ona tak szybko nie zapomni upokorzenia. Już wie, że dla Christiana Garreta była marionetką, a ich znajomość grą. Na pewno dobrze się bawił!

Musi jeszcze zadać mu jedno pytanie... Nie, trzy.

Potem każe panu Garretowi-Brownowi iść do diabła.

- Dlaczego ten naszyjnik jest dla ciebie taki ważny? Przez wiele lat znajdował się w posiadaniu Callie. Po co zadałeś sobie tyle trudu, żeby go odzyskać?

I dlaczego ja? O to jednak nie spytała. Czyżby Callie wspomniała w listach, że zostawi jej rubiny? Nie, ponieważ napisałaby również, że rodowe klejnoty zdobią teraz walentynkę. Poza tym Rosalyn znała wszystkie listy na pamięć, bo sama je pisała pod dyktando.

Christian przeczesał rękami włosy i zmarszczył brwi, jakby nie był pewien, co odpowiedzieć.

- Należy do mojej babki. To ona chce go odzyskać.

Dziewczyna uniosła brwi w ironicznym grymasie.

- Chce go odzyskać.

Zrozumiała. Pod warunkiem, że to prawda. Nie wierzyła Christianowi Garretowi. Uważała go za chciwego człowieka, który pewnie posiada więcej pieniędzy, niż będzie w stanie wydać przez całe życie, ale jest zachłanny jak dziecko. Kiedyś zje wszystkie cukierki i rozchoruje się. Miała taką nadzieję.

- Sądzisz, że ja zatrzymałam naszyjnik?

Mężczyzna wyprostował się, schował ręce do kieszeni i spojrzał na nią wyzywająco.

- Nie ma go tutaj ani u pana Toombsa.

Prawie oskarżenie, pomyślała Rosalyn. Z wolna ogarniała ją wściekłość.

- Podejrzewasz, że ukradłam rubiny?

- Wiesz, gdzie są? - rzucił pytanie, groźnie mrużąc oczy.

Nie przestraszyła się. Zaczęła myśleć. Uświadomiła sobie, że, podniecona odzyskaniem pereł, zapomniała przenieść cenną walentynkę do swojego pokoju. Mogła więc uczciwie powiedzieć, że nie wie, gdzie teraz są rubiny.

Zadowolona z własnej przebiegłości, wzruszyła niedbale ramionami.

- Nie wiem.

Liczyła na to, że panna Howland albo gospodyni nie znalazły walentynki w saloniku i nie odniosły jej na miejsce.

Odpowiedź najwyraźniej nie usatysfakcjonowała Christiana.

- Twierdzisz, że ich nie masz?

Rosalyn wstała powoli z krzesła i z godnością uniosła głowę, starając się zachować panowanie nad sobą.

- Nie mam. Nie przyszło panu do głowy, panie Garret-Brown, że Callie mogła dać rubiny komuś, kogo kochała? Że nie chciała zostawić ich niewdzięcznemu pasierbowi?

Dumnym krokiem ruszyła do drzwi, ale mężczyzna chwycił ją za ramię.

- Wolała oddać je tobie?

Rosalyn zeszywniała.

- Dlaczego nie odpisywałeś? Nie obchodziło cię, że Callie umiera?

Christian drgnął, ale jej nie puścił.

- Nie dostałem żadnych listów. Może niewłaściwie je adresowała.

- Kłamca!

Garret szarpnięciem przyciągnął ją do siebie. Ich oddechy mieszały się, usta omal nie musnęły. Rosalyn spuściła powieki, żeby nie dostrzegł jej strachu. Nie zdołała jednak opanować drżenia. Nie potrafiła również wymazać z pamięci tego, co niedawno zaszło między nimi na piętrze. Zwłaszcza że jej ciało reagowało niezależnie od woli. Jak to możliwe, że mężczyzna działa na nią tak silnie, a jednocześnie budzi w niej lęk?

- Nie kłamię, Rosalyn. - Christian ujął ją pod brodę i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy. - Nie kłamałem, mówiąc, że mi na tobie zależy i że cię pragnę. Daj mi naszyjnik, żebym mógł go zwrócić prawowitej właścicielce, i... jedź ze mną do Nowego Jorku.

Tak blisko przysunął usta do jej twarzy, że mimowolnie rozchyliła wargi w oczekiwaniu.

Zdusiła jęk. Och, czemu w ogóle go spotkała! Nie musiałyby teraz toczyć nierównej walki ze swoim ciałem. Na szczęście miała jeszcze władzę nad rozumem. Wykorzystała ją, odchylając głowę. Gdy napotkała oczy Christiana, wstrząsnęła nią malująca się w nich szczerłość.

Oblizwała wyschnięte wargi.

- Po co? - zapytała wbrew sobie.

Christian uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd

zeszli na dół. Dawnym, czarującym uśmiechem.

- Oczywiście, żeby być ze mną.

- Oczywiście. Tak po prostu? Powinnam rzucić pracę, zrezygnować z własnych planów i uciec z tobą do Nowego Jorku?

A wcześniej oddać rubinową walentynkę Callie. Ha! Prędszej świnie zaczną fruwać. Prędszej konie zaczną krakać. Prędszej...

- Zależy mi na tobie. Nigdy więcej nie musiała-byś pracować.

Jaki był pewny, że ona z radością skorzysta z propozycji i zostanie jego utrzymanką! Ochłoneła w jednej chwili. Wrócił gniew. Powitała go z otwartymi ramionami, ale teraz wściekłość przytępiła ból złamanego serca i uchroniła ją przed popełnieniem kolejnego głupstwa.

Wyrwała ramię z uścisku mężczyzny i rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

- Christianie Garret, możesz zabrać rubiny, babkę, ten dom oraz swoją propozycję i iść prosto do piekła.

- Rosy, znalazłam...

- Nie teraz, Alice.

Minęła przyjaciółkę i popędziła na górę, żeby dotrzeć do swojego pokoju, zanim wybuchnie płaczem. Przez całą drogę do domu ledwo powstrzymywała łzy.

- Ależ, Rosy...

Rosalyn nie lubiła być niegrzeczna, ale nie chciała natknąć się na pannę Howland. Potrzebowała samotności. Wbiegła po schodach i z impetem otworzyła drzwi.

Przyjaciółka dogoniła ją w ostatniej chwili.

- Rosalyn, o co chodzi?

Za późno. Z oczu trysnęły jej łzy. Szlochając, padła na łóżko i wcisnęła twarz w poduszkę. Żałowała, że nie jest sama. Alice zameczy ją teraz pytaniami.

- Co się stało? To przez twojego pana Browna?

Materac zapadł się, gdy Alice usiadła obok niej. O dziwo, nic nie mówiła, tylko niezadarnie głaskała ją po plecach, próbując pocieszyć. Wreszcie Rosalyn opanowała się i uniosła głowę.

- Pana Browna? On wcale nie nazywa się Brown.

Skonsternowana przyjaciółka milczała przez dłuższą chwilę.

- Nie? Co ty wygadujesz, Rosy?

Patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby wątpiła w jej zdrowe zmysły. Rosalyn też straciła wiarę we własny rozsądek, nie wspominając o uczciwości i moralności. Usiadła i wzięła od Alice chusteczkę. Wytarła zapłakaną twarz i westchnęła głęboko.

- Okłamał mnie. - Głos jej drżał. - Nie jest żadnym Chrisem Brownem. To Christian Garret. - Pokiwała głową na widok wstrząśniętej miny Alice. - Czułam się tak samo, kiedy poznałam prawdę.

Nie tak samo. Dużo, dużo gorzej.

- Ale dlaczego udawał kogoś innego?

Och, miał swoje powody!

- Bo myślał, że ukradłam rubinowy naszyjnik Callie.

- Przecież Callie nie miała takiego naszyjnika. Rubiny są na walentynce!

- Christian Garret o tym nie wie. - Rosalyn wydmuchała nos. Była taka nieszczęśliwa, że najchętniej weszłaby pod kołdrę i umarła. - Twierdzi, że jego ojciec ukradł biżuterię teściowej.

- Nieboszczyk pan Garret? Mąż Callie?

- Tak.

- Ale chyba nie twierdzi, że Callie wiedziała o kradzieży.

- Nie wiemy, czy to była kradzież, Alice. Jak tu wierzyć komuś, kto kłamie za każdym razem, gdy się odezwie? Jeśli Henry rzeczywiście ukradł rubinowy naszyjnik, Callie o tym nie wiedziała.

Tak jak nie miała pojęcia, że jej ukochany mąż nie był wdowcem, lecz rozwodnikiem! O ile Christian Garret wyjątkowo powiedział prawdę.

Alice przygryzła wargę.

- I co teraz zrobisz? Mówisz, że Garret nie wie, co mąż Callie zrobił z rubinami?

Rosalyn skinęła głową.

- Więc powiedz mu, że nie masz naszyjnika. Przecież nie skłamiesz.

- Już tak zrobiłam. - Widząc szeroki uśmiech przyjaciółki, dodała pospiesznie: - Ale tylko dlatego, że byłam na niego wściekła z powodu jego

dwulicowości. Nie mogę zatrzymać rubinów. Jeśli Christian mówi prawdę, Henry nie miał prawa dawać ich Callie, a ona mnie.

- Jeśli mówi prawdę - podkreśliła Alice. - Drań. Najwyraźniej nie myliłaś się co do Christiana Garreta, Rosy. Z początku uważałam, że jesteś trochę zbyt surowa wobec człowieka, którego nigdy wcześniej nie spotkałaś, ale od tej pory będę ufać twojemu osądowi.

Rosalyn pokiwała głową. Ona sama już nigdy więcej sobie nie zaufa. Na wspomnienie propozycji Garreta znowu z całą siłą odczuła upokorzenie. Jechać z nim do Nowego Jorku. Też coś! Bałaby się pójść z nim nawet do kościoła. Prawdopodobnie skończyłoby się na całowaniu w tylnej ławce! Łzy napłynęły jej do oczu. Nie wiedziała jednak, czy są to łzy żalu nad sobą czy gniewu. Może jedno i drugie.

- Co teraz zrobisz? - spytała Alice. - Na twoim miejscu nie oddałabym mu rubinów. Callie podarowała ci je w dobrej wierze. Poza tym, gdyby rzeczywiście należały do babki Garreta, do tej pory już dawno by je odebrał.

- Twierdzi, że nie chciał być okrutny.

Alice prychnęła.

- Wiem, że mu nie uwierzyłaś. Ja też nie wierzę, choć nie znam go tak dobrze jak ty.

Rosalyn krew napłynęła do twarzy. Wcale nie znała pana Bro... Christiana Garreta. Dzięki Bogu, że w porę dowiedziała się prawdy.

Przyjaciółka chyba czytała jej w myślach.

- Uważasz mnie za młodą i niedoświadczoną, Rosy, ale wiem, że czas leczy rany. Wkrótce Chris... Christian będzie tylko nieprzyjemnym wspomnieniem.

Rosalyn miała wielką nadzieję, że tak się stanie.

- Dziękuję ci, Alice. Jesteś dla mnie bardzo dobra.

Chciała jeszcze coś dodać, ale przyjaciółka ją uprzedziła.

- Nie powiem nikomu ani słowa, obiecuję. To będzie nasz mały sekret. - Wyglądała komicznie z poważną miną. - Na twoim miejscu nie oddawałabym klejnotów, póki Christian Garret nie udowodni, że należą do niego.

- Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za złodziejkę.

Dziewczyna uściskała ją serdecznie.

- Żartujesz! Kto śmiałby oskarżyć naszego Kupidyna?

Rosalyn ogarnęło poczucie winy, że ostatnio niezbyt serdecznie traktowała Alice. Sympatyczny rudzielec, choć wścibski i gadatliwy, okazał się w biedzie najlepszą przyjaciółką. Przy niej wyraźnie poprawił się jej nastrój. Już nie miała ochoty wpełznąć pod kołdrę i umrzeć.

Pragnęłaby jedynie, żeby zniknął Christian Garret, a pojawił się znowu Chris Brown.

- Widzisz go? Już oglądał moją?

Rosalyn zmarszczyła brwi, śledząc wzrokiem wózek Southworda Howlanda. Starzec uniósł rękę, dając córce znak, żeby zatrzymała się przy kolejnej walentynie.

- Rosy! Skoro nie chcesz nam nic mówić, przesuń się!

- Ciii! - syknęła Rosalyn na koleżanki tłoczące się za nią pod drzwiami pracowni.

Panna Howland kazała im czekać w sklepie, ale po piętnastu minutach ciekawość zwyciężyła.

Ktoś szarpnął dziewczynę za włosy.

- Auu! - Rosalyn odwróciła się gwałtownie. - Niech nocnik zacznie przeciekać tej, która to zrobiła.

Rozległy się stłumione chichoty. Najbliżej stojąca "Wynette popatrzyła na nią niewinnym wzrokiem. Rosalyn uniosła brew.

- Wynette, pociągnęłaś mnie za włosy?

Kobieta zrobiła obrażoną minę.

- Nie! Lepiej powiedz, co on robi. Już doszedł do mojej? Którą teraz ogląda?

Próbowała zerknąć jej przez ramię, ale była co najmniej o dwadzieścia centymetrów za niska.

- Twoja jest na końcu. Jeszcze do niej nie doszedł, a teraz jest przy... chyba patrzy na walentynkę Penny Pillnot.

- Aha, ta z kokardką. Pomysłowa, co? Ja nie umiałam wymyślić nic oryginalnego w tak krótkim czasie - poskarżyła się Wynette. - Jestem

przyzwyczajona do tego, że panna Howland robi projekty, a ja tylko naklejam różyczki!

Rosalyn skinęła głową z roztargnieniem, nie odrywając wzroku od przygarbionego starca na wózku inwalidzkim. Ze skupieniem na twarzy przyglądał się walentynkom rozłożonym na stole. Ich autorki nie podpisywały się, a jedynie umieszczały tytuł na osobnej karteczce, dołączonej do pracy.

Dla swojej zimowej krainy czarów Rosalyn wybrała nazwę „Zwykłe przyjemności”. Cóż mogło być przyjemniejszego od patrzenia w oczy ukochanemu, gdy za oknem iskrzy się śnieg? Czując wilgoć pod powiekami, dziewczyna zamrugała szybko. Christian Garret umiał niszczyć marzenia.

- Rosy?

Głos przyjaciółki wyrwał ją ze smutnych rozmyślań.

- Co? - szepnęła, nie odwracając się.

Alice cudem udało się przedrzeć przez zwartą grupę podnieconych koleżanek. W sklepie ciągnęły słomki, która stanie w pierwszym rzędzie.

- Czy on...

- Nie, jeszcze nie widział twojej. Nie martw się. Świetnie ci poszło.

Pomogła Alice przy projekcie, ale całość dziewczyna wykonała sama. Jak na kogoś, kto nigdy nie robił kartek okolicznościowych, rudowłosa Alice wykazała się dużym talentem.

Minęło kolejne dziesięć minut. Wreszcie panna

Howland pchnęła wózek ku szczytowi stołu i dała znak podwładnym. Tłum niemal wniósł Rosalyn do pracowni.

- Ojciec wybrał najpiękniejszą walentynkę - oznajmiła Esther z uśmiechem.

Zapadła całkowita cisza. Wszystkie kobiety wstrzymały oddech.

- Zwyciężyła walentynka zatytułowana „Zwykłe przyjemności”!

Zerwał się huragan braw. Nim Rosalyn zrozumiała, co się stało, popchnięto ją w kierunku jurora i jego córki. Oszołomiona, stała sztywno, podczas gdy właścicielka firmy przypinała jej do bluzki niebieską wstążkę.

- Rosalyn Mitchell, ojciec mówi, że masz rzadki talent. - Rozpromieniona panna Howland poklepała ją po ramieniu i dodała szeptem: - Callie byłaby z ciebie dumna.

Do oczu dziewczyny napłynęły łzy. Czuła, że jeszcze chwila, a rozpłacze się jak dziecko. Nigdy wcześniej nie zdobyła równie zaszczytnej nagrody. Odwróciła się do koleżanek, trochę zaniepokojona, że będą urażone i zazdrosne. Zobaczyła jednak same uśmiechy i dostała głośniejsze brawa.

- Co zrobisz z pieniędzmi, Rosalyn? - spytała Esther Howland. - Chyba że to sekret.

Rosalyn zarumieniła się.

- Dam je rodzinie Davidsonow.

Oświadczenie przyjęto z jeszcze gorętszym

aplauzem.. W oczach pana Howlanda Rosalyn dostrzegła wyraz uznania.

Powinna być szczęśliwa. Zadowolona z życia. Mogła jednak myśleć tylko o tym, jak bardzo chciałyby dzielić tę chwilę z Chrisem... Christia-nem. Zobaczyć, że jest z niej dumny.

Wiedziała jednak, że musi pozbyć się złudzeń. Christian Garret-Brown nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, nie wierzył w żadną miłość. Uważał, że liczą się tylko rzeczy materialne.

Szkoda, pomyślała Rosalyn, gdy koleżanki przybiegły do niej z gratulacjami.

11

Od domu Callie Christian szedł na piechotę, bo nie mógł złapać żadnej dorożki. Gdy przybył na miejsce, od razu zorientował się dlaczego. Wszyscy woźnice tłoczyli się w pracowni.

Wraz z resztą mieszkańców Worcester.

Garret powiódł wzrokiem po sali, wypatrując Rosalyn. Dostrzegł ją w kręgu koleżanek. Wyglądała świeżo i uroczo w ciemnozielonej sukni, która podkreślała jej ponętną figurę. Do licha, równie przesłicznie byłoby jej w worku na mąkę. Zauważył, że nie jest ani trochę zdenerwowana. W pokoju hotelo-

wym wydeptał ścieżkę na dywanie, zadreńczając się z powodu ich kłótni, a tymczasem ona uśmiechała się radośnie i sprawiała wrażenie, że już nie pamięta o wczorajszych nieporozumieniach. Ach, te kobiety!

Zdejmując rękawiczki, Christian wypatrzył wolne miejsce pod ścianą. Ruszył w tamtą stronę, przeciskając się między mężczyzną z kilkoma podbródkami, który silnie pachniał skórą, i znajomym piekarzem. Ten ostatni posłał mu serdeczny uśmiech. Christian stwierdził, że mógłby się przyzwyczaić do objawów życzliwości, charakterystycznych dla małego miasta. Nachylił się ku mężczyźnie z wydatnym brzuchem. Doszedł do wniosku, że aromat cynamonu i drożdży dużo bardziej mu odpowiada niż odór garbników.

- Aukcja już się zaczęła? - spytał.

- Lada moment. Mam nadzieję, że zbiorą dużo pieniędzy dla tych biedaków. - Piekarz ze smutkiem potrząsnął głową. - Niedobrze, że Patrick ich zostawił.

Christian milczał przez chwilę, mocno poruszony. Nie chciał zdradzić się z gniewem, który ten człowiek mógłby źle zrozumieć.

- Znał pan ojca Jamy'ego?

Pani Davidson nic nie mówiła o mężu, więc uznał, że jest wdową.

- Tak. Nie powinien ich zostawiać tylko dlatego, że stracił pracę. Patrick był brygadzystą w papierni, i to dobrym, ale nie tylko on stracił pracę, kiedy za-

mknięto fabrykę. Wielu ludzi spotkało to samo.

Garret powoli schował rękawiczki do kieszeni, żeby zyskać na czasie i zapanować nad emocjami.

- Dlaczego zamknięto papiernię? - spytał obojętnym tonem.

Piekarz chyba wyczuł jego napięcie, bo rzucił mu zdziwione spojrzenie.

- Właściciel, Royce Tiber, przegrał w karty wszystkie pieniądze i zbankrutował.

- Nikt nie pomyślał, żeby otworzyć ją na nowo? - W głosie Christiana pojawiło się niedowierzanie. - Nie przynosiła zysków?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nikt nie miał pieniędzy. Teraz właścicielem jest miasto, bo Tiber nie zapłacił podatków.

- Rozumiem.

Garret odprężył się i powędrował wzrokiem ku Rosalyn. Dziewczyna śmiała się z czegoś wesoło. Nagle ogarnęło go pożądanie. Do diaska, ale się wpakował! To nie w jego stylu.

- Gorąco tu, nie? - stwierdził piekarz i zdjął płaszcz.

- Tak - bąknął Christian, nie odrywając oczu od smukłej szyi Rosalyn.

Nie miał na myśli duchoty panującej w pokoju, tylko wewnętrzny żar. Raptem człowiek cuchnący skórą nachylił się do piekarza i zasłonił Garretowi widok.

- Stajesz do licytacji, Merl?

Zagadnięty potarł brodę.

- Chyba tak, Boots. Inaczej nasłucham się od mojej starej.

- A pan, panie Brown?

Christian odnotował sobie w pamięci, żeby zamówić buty dla podopiecznych.

- Taki mam zamiar.

Szewc wymienił znaczące spojrzenie z piekarzem.

- Wygląda pan na zamożnego człowieka, jeśli wolno mi zauważyć.

Zwykle Christian nie reagował na tego rodzaju osobiste uwagi, ale teraz odkrył, że, o dziwo, nie ma nic przeciwko ciekawości nowych znajomych.

- Nie jestem żebrakiem.

Mężczyźni pokiwali głowami.

- Żona i ja oszczędzaliśmy na nowomodny piec gazowy, ale chyba możemy poczekać - powiedział Merl, klepiąc po portfelu.

Nie sprawiał wrażenia, że żałuje tej decyzji. Boots wypiął pierś i pogładził się po bokobrodach.

- Myślę, że parę desek i beczka smoły wystarczą, żeby dach przestał przeciekać.

- Pójdzie pan z nami po aukcji na drinka do Club and Grub, panie Brown?

- Może pan być naszym gościem.

Christian był zbyt zaskoczony, żeby od razu odpowiedzieć. Słowa nie chciały mu przejść przez ściśnięte gardło. Wreszcie skinał głową.

- Dziękuję, chętnie.

Donośny brzęk ręcznego dzwonka uciszył setkę

ugoszczonych w pracowni. Rozmowy umilkły. Prowadzący aukcję zaczął sypać liczbami, wskazywać chętnych i uderzać młotkiem w stół. Każdą walentynkę prezentowała autorka, podając tytuł i cenę.

Christian postanowił nabyć dzieło Rosałyn. Miało to być pierwsze z wielu przedsięwzięć, które zamierzał podjąć, by odkupić swoje winy. Miotając się po pokoju hotelowym, doszedł do wniosku, że panna Mitchell nie ma rubinów.

Tymczasem przedsiębiorcy z Worcester podbijali stawki, żartując dobrodusznie. Ozdobne kartki kupowano jedną po drugiej, w najlepszym razie za trzydzieści dolarów, ale nigdy mniej niż dziesięć.

Wreszcie chudy, łysiejący licytator teatralnym gestem uniósł nad głowę ostatnią. Garret wstrzymał oddech.

Gdy stwierdził, że to nie jest walentynka Rosałyn, zaklął pod nosem. Czyżby panna Mitchell nie wystawiła swojej na sprzedaż? Przecież aż paliła się do konkursu. Może była tak zdruzgotana po ostatnich wydarzeniach, że nie miała serca nawet do takich przedsięwzięć?

Christian zmarszczył brwi. Nie, Rosałyn nie należała do osób, które łatwo się poddają.

- A teraz najważniejszy moment... - Mężczyzna zaczekał, aż ucichną oklaski, złożył głęboki ukłon i uśmiechnął się szeroko. Najwyraźniej cieszył go ogólne zainteresowanie. - Rozpoczynamy licytację walentynki „Zwykłe przyjemności”, która

zdobyła niebieską wstążkę i sto dolarów nagrody ufundowanej przez firmę. Zwyciężczynią jest panna Rosalyn Mitchell, znana również mieszkańcom Worcester jako Kupidyn.

Nareszcie, pomyślał Christian z ulgą. W tym samym momencie dotarło do niego, że Rosalyn wygrała konkurs. Jego Rosalyn. Poczował się dumny jak paw.

Powiódł spojrzeniem po ludziach i uśmiechnął się na widok rozpromienionej twarzy panny Mitchell. Przegapił początek licytacji.

- Tamten pan zgłasza trzydzieści dolarów. Kto da więcej?

Christian szybko uniósł cztery palce.

- Czterdzieści dolarów pan z tyłu. Czyżbym słyszał czterdzieści pięć?

Garret bez wahania pokazał całą dłoń. Obecny udzieliła się gorączka. Ulegli jej nawet piekarz i szewc.

Po ostatnim stuknięciu młotka Christian był o dwieście dolarów biedniejszy i o wiele szczęśliwszy. Nie zirytował się, kiedy Merl klepnął go po plecach i powiedział do Bootsa:

- Mówiłem, że pan Brown to bogacz.

Śmiejąc się, wypchnęli go na środek pracowni. Gdy Christian mijał Rosalyn, zdawało mu się, że czuje świeży zapach cytryny i kapryfołium. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Jego oczy rozjaśniał uśmiech. Wzrok dziewczyny był zimny.

Garreta mimo wszystko nie opuścił dobry na-

strój. Odzyska jej względy, a potem... Kto wie? Może jeszcze raz przemyśli pewne sprawy. Jeśli kiedykolwiek czuł pokusę, żeby zrezygnować z kawalerstwa, to właśnie teraz, z Rosalyn. Słodką, wielkoduszną, śmiałą Rosalyn.

Odebrał zwycięską walentynkę i podziękował prowadzącemu licytację. Otoczyli go ciekawscy. Zaczęli się tłoczyć i przepychać, ale nie zwracał na nich uwagi. Przyglądał się romantycznemu obrazkowi: parze trzymającej się za ręce, zimowemu krajobrazowi za oknem. Zbliżył kartkę do oczu i zobaczył miniaturową walentynkę leżącą na stole między zakochanymi. Czerwone koraliki otaczały większy szklany paciorek, umieszczony pośrodku.

- Utalentowana dziewczyna, prawda? - rozległ się tuż przy nim ciepły głos.

Christian podniósł wzrok, jasnoszare oczy patrzyły na niego uważnie.

- Jestem Esther Howland.

- Właścicielka...

- Tak.

Christian ucisnął wyciągniętą dłoń, podziwiając spokojną elegancję panny Howland. Kobieta nie była wystrojona krzykliwie jak inne bogate damy, które znał. Od pana Toombsa wiedział, że Esther ma czterdzieści parę lat, ale na jej twarzy nie dostrzegł żadnej zmarszczki. Wiek zdradzały jedynie siwe włosy.

- Chris... Christian Garret.

Do licha, nie zastanowił się, jak wyjaśnić, dlaczego podawał fałszywe nazwisko. Myślał, że do tej pory już dawno wyjedzie. Dobrze, że on i Esther Howland nie spotkali się wcześniej.

Kobieta wskazała na ozdobną kartkę i powiedziała z dumą w głosie:

- Miała świetny pomysł z tą miniaturką. Widzi pan? Szklane koraliki to odpowiednik rubinów z walentynki, którą kiedyś zrobiłam dla Callie Garret...

,Urwała w pół zdania.

Christian zaklął w duchu.

- Jest pan pasierbem Callie! Nie mogę uwierzyć, że nie...

- Rubiny pani Garret zdobią jakąś kartkę? - przerwał jej ostro.

Odpowiedź wyczytał z twarzy panny Howland. Jak mógł być taki głupi i ślepy? Rosałyn nieraz wspominała o walentynce, ale on nie przywiązywał wagi do jej słów.

- To Henry ją zamówił. - Esther była wyraźnie zaskoczona jego gwałtowną reakcją. - Pański ojciec. Nie widział jej pan?

Christian popatrzył z wściekłością na miniaturową replikę walentynki. Nie widział oryginału, ale domyślał się, gdzie może go znaleźć.

U Kupidyna z Worcester, panny Rosałyn Mitchell.

Rosałyn poczuła ściskanie w żołądku. Panna Howland rozmawiała z Garretem i wskazywała

na kartkę, gdzie... Dziewczyna przez zęby wciągnęła powietrze. O Boże, czy Christian zauważy? Co mu powiedziała Esther Howland?

Zachowując obojętną minę, ruszyła ostrożnie w ich stronę. Gdyby podeszła jeszcze bliżej, mogłaby usłyszeć, o czym rozmawiają.

- Panno Mitchell?

Dziewczyna aż podskoczyła. Nie chciała, żeby Christian przyłapał ją na skradaniu się i podsłuchiowaniu! Odwróciła się szybko z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Niech diabli wezmą Garreta, zepsuł jej taki dzień!

- Tak?

Przed nią stał niski, okrągły mężczyzna o rumianych policzkach. Miał na sobie ogrodniczki i flanelową koszulę. Wyglądał na farmera. Rosalyn znała go z widzenia. Co sobota przyjeżdżał do miasta i robił zakupy w sklepie naprzeciwko firmy.

- Proszę mi wybaczyć, ale... - Uśmiechnął się nieśmiało. - Moja żona właśnie urodziła dziecko, a ja postanowiłem dać jej jakiś miły i ładny upominek. Odłożyłem trochę pieniędzy... Wiem, że do nas jest daleko, ale chętnie zapłacę dodatkowo. Żona ma ciężkie życie, czworo drobiazgu na głowie, więc chcę, żeby wiedziała, jak bardzo... ją kocham.

- Cóż, my nie...

Rosalyn urwała, widząc rozczarowanie na twarzy farmera. Obejrzała się na pracodawczynię, żeby ściągnąć ją wzrokiem, ale panna Howland nadal była

pograżona w rozmowie z tym szcurem. Dziewczyzna zrozumiała, że sama musi zająć się sprawą.

- Panie...

- Dillon, Audrey Dillon. Widzi pani, przyszedłem, żeby kupić którąś z tych ładnych kartek, ale ludzie tak podbili stawki, że... - Poczzerwieniał jeszcze bardziej, tym razem z zakłopotania. - Moja żona zasługuje na najpiękniejszą, wiem, lecz w tym roku nie mieliśmy dobrych zbiorów, a jeszcze dziecko...

- Rozumiem - powiedziała Rosalyn ze szczerym żalem. - Ale żaden dorożkarz nie zawiezie mnie tak daleko, chyba że będę miała opiekę.

- Chętnie pojedę z panią - odezwał się za nią głęboki głos.

Rosalyn zeszywniała. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Christian... Nie odwróciła się. Zamierzała potraktować go jak powietrze, ale z odświeżoną postawą panna Howland.

- O, pan Dillon. Poznaliśmy się przy wejściu. Jak aukcja? Znalazł pan coś odpowiedniego?

Mężczyzna całkiem zapomniał języka. Spojrzał na Christiana, potem na pannę Howland i wreszcie na Rosalyn. Zdjęta litością dziewczyna postanowiła wybawić biedaka z opresji i oszczędzić mu upokorzenia. Ignorując Christiana, uśmiechnęła się do farmera.

- Pan Dillon właśnie mówił, że szuka czegoś praktyczniejszego, na przykład koszyka. Jego żo-

na właśnie urodziła dziecko. - Dyskretnie mrugnęła do mężczyzny. - Prawda, panie Dillon?

Farmer wykazał się refleksem.

- Tak, tak. Dziękuję, panno Mitchell. Nie jestem dobry w gadaniu, przynajmniej tak twierdzi moja żona.

- Z pewnością znajdzie się u nas koszyk, który przypadnie panu do gustu, i odpowiednia kartka z życzeniami. - Panna Howland obdarzyła mężczyznę uśmiechem i spojrzała na Christiana. - Pan Garret był tak uprzejmy, że zaoferował pomoc. Chętnie z tobą pojedzie, Rosalyn. Poznałaś już pana Garreta? Oczywiście, że się znacie. Przecież to pasierb Callie!

Rosalyn drgnęła. O, tak, poznała go i teraz żałuje. Tę uwagę musiała jednak zachować dla siebie. Nie miała ochoty wyjaśniać wszystkiego panie Howland. Zadrzała w duchu na samą myśl.

- Istotnie, choć nie pamiętam, żeby pan Garret przyjeżdżał, kiedy Callie żyła.

Niech ma za swoje! To go oduczmy wścibiania nosa w nie swoje sprawy.

- W takim razie ustalone. - Panna Howland rozpromieniła się, najwyraźniej nieświadoma sytuacji. - Pokażę panu Dillonowi naszą kolekcję gotowych koszyków, żeby mógł któryś wybrać. Jutro ty i Christian dostarczycie go pani Dillon. - Klasnęła w dłonie charakterystycznym gestem, jeszcze niedawno tak lubianym przez Rosalyn. - Do koszyka włożę niespodziankę, coś dla dziecka.

Pan Dillon zaniemówił po raz kolejny. Oszołomiony gapił się przez chwilę na kobietę, aż wreszcie wydukał:

- Nie wiem, jak dziękować... Dużo słyszałem o pani wspaniałomyślności, panno Howland.

Esther machnęła ręką.

- Nonsens. Lepiej chodźmy.

Zanim ruszyła do drzwi, spojrzała na Garreta z błyskiem w oczach. Rosalyn oparła się pokusie i nie poszła za jej wzrokiem.

- Będzie pan miał doskonałą okazję, żeby zacząć swoje badania, Christianie. Gdyby nie zapalenie historycy tacy jak pan, nie mielibyśmy historii, prawda? Godne podziwu hobby. Rosalyn z pewnością okaże się świetną przewodniczką.

Dziewczyna osłupiała. Zacisnęła pięści, czując, że wściekłość narasta w niej i wymyka się spod kontroli. Okręciła się na pięcie i omal nie wpadła na Garreta.

- Historyk?

Tylko tyle zdołała wykrztusić. Jej ton mógłby konkurować z mrozem panującym na zewnątrz.

Mężczyzna skrzywił usta w kpiącym uśmiechu, ale spojrzenie miał twarde. Gdy wzruszył ramionami, Rosalyn z trudem powstrzymała się od krzyku.

- Tak, historyk. To moje małe hobby. Bardzo mnie interesują zwyczaje walentynkowe.

Dziewczynę ogarnęła prawdziwa furia. Dokoła rozbrzmiewał gwar licznych głosów, ale ona wi-

działa tylko jedną osobę: pewnego drania i kłamcę.

- Jak śmiesz oszukiwać pannę Howland! Wystarczy, że wobec mnie zachowałeś się podle.

Christian nachylił się ku niej i szepnął z równą pasją:

- Ty niby jesteś niewiniątkiem, tak? A rubinowa walentynka, panno Mitchell? Wiedziałaś, że szukam rubinów, i nawet nie pisnęłaś, że je masz.

- Mówiłam ci albo przynajmniej próbowałam. Zresztą nie chodzi o rubiny, więc nie zmieniaj tematu. - Zmrużyła oczy i dodała z pogardą: - Gdybyś zapytał mnie na pierwszym spotkaniu, powiedziałabym ci o walentynce. Musiałeś toczyć swoje gierki, Christianie? I dlaczego zwodzisz moją pracodawczynię? Ona o niczym nie wie!

Uśmiech Garreta przyprawił ją o dreszcz.

- Gdyby nie ona, nie miałbym o niczym pojęcia. Jestem jej winien wdzięczność, że mnie oświeciła. Ty nie raczyłaś wspomnieć, że rubiny zdobią teraz jakąś idiotyczną walentynkę.

Gdyby nie otaczali ich ludzie, Rosalyn tupnęła by nogą. Jeszcze nigdy nie spotkała równie irytującego człowieka! Wzięła głęboki oddech, ale wcale się nie uspokoiła.

- Jesteś zwolennikiem podwójnej moralności? Kłamiesz bez mrugnięcia okiem, udając kogoś innego, a ode mnie oczekujesz uczciwości? Masz tupet.

- Gdybyś od razu wyznała prawdę, pozwoliłbym ci zatrzymać rubiny.

Rosalyn parsknęłyby na całą salę, ale nie chciała ściągać na nich dwoje uwagi. Zdusiła w sobie śmiech.

- Cóż za szczodrość!

Mężczyzna zacisnął usta. Wreszcie jakaś reakcja, pomyślała dziewczyna z zadowoleniem.

- Nadal uważasz, że okradłam Callie, tak?

Christian nie umknął oczami przed jej wyzywającym spojrzeniem.

- Nie wiem. A okradłaś?

Rosalyn w ostatniej chwili powstrzymała się przed wymierzeniem mu policzka. Wbiła sobie paznokcie w dłoń. Wołała fizyczny ból niż klucie w sercu.

- Jeśli rubiny rzeczywiście należą do twojej babki, przedstaw mi na to dowód. - Celowo mówiła z wyraźnym powątpiewaniem. - Dopiero wtedy dostaniesz rubiny.

Mężczyzna długo mierzył ją wzrokiem, aż w końcu skinął głową.

- Dobrze. Tymczasem zajmę się swoimi badaniami historycznymi.

- Po co?

Garret wzruszył ramionami. Twarz miał nieprzeniknioną.

- Lubisz gubić różne rzeczy, panno Mitchell. Nie chcę, żeby rubiny gdzieś się zawieruszyły, nim dostarczę akt własności.

Rosalyn poczuła, że krew napływa jej do twarzy. Jak on śmie!

- Nie zgubiłam pereł! Ty je wzięłeś.

Och, dlaczego w ogóle z nim dyskutuje? Przecież on najlepiej wie, jak było. Czyżby zabrakło mu pomysłów?

- Może tak, ale na wszelki wypadek będę trzymał się blisko ciebie.

- Świetnie. Tylko nie oczekuj rozmowy. - Rosalyn ściszyła głos. - Ani czegokolwiek innego!

Gdy dumnym krokiem ruszyła do drzwi, odprowadził ją drwiący śmiech.

Okrutny, bez serca! Miała rację co do Christiana Garreta.

Jaka szkoda, że się nie pomyliła!

12

Christian wszedł za Bootsem i Merlem do mrocznego Club and Grub. Wciągnął w nozdrza powietrze przesycone dymem i rozejrzał się z ciekawością. Stwierdził, że jest tu czysiej niż w innych barach. Z kilkunastu stolików prawie wszystkie były zajęte. Mężczyźni wydawali się bardziej zainteresowani rozmowami i żartami niż piciem, sądząc po spienionym kuflach, które przed nimi stały.

Zmierzając do wolnego stolika, Merl przywitał się z kilkoma bywalcami, klepiąc ich serdecznie po plecach.

Gdy tylko usiedli, zjawił się barman, przetarł ścierką blat i postawił piwo. Christian uniósł brwi ze zdziwieniem, gdy stwierdził, że napój jest świeży i zimny. Omiótł wzrokiem salę i zatrzymał oczy na samotnym gościu, który siedział zgarbiony przy barze.

Boots poszedł za jego spojrzeniem.

- To Royce Tiber, o którym mówił Merl.

Christian przyjrzał się niesławnemu hazardziście i bankrutowi. Potężnie zbudowany mężczyzna miał długie włosy i zmierzwioną brodę. Był ubrany w wyświechtany płaszcz, a od dziurawych butów odrywały się podeszwy.

- Zawsze pije sam?

Merl otarł ręką usta i pokiwał głową.

- Przeważnie. Wielu ludzi ma do niego żal, odkąd zamknięto papiernię. Widzisz, ponad sto osób straciło pracę, głównie z jego winy.

Garretowi stanął w pamięci długi szereg chat, równie nędznych jak ta, w której mieszkał Jamy.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego miasto ponownie nie otworzyło papierni.

- Nie ma kto nią kierować. Tiberowi nie można ufać, a jedyny oprócz niego człowiek, który zna się na rzeczy, to Patrick.

Christian zmełł w ustach przekleństwo. Gdyby dostał w swoje ręce tego człowieka...

- Domyślcie się, gdzie jest Patrick?

- Niektórzy twierdzą, że od czasu do czasu wi-

dują go w okolicy. Chyba się łądzi, że ktoś otworzy papiernię.

- Powinien zająć się rodziną - burknął Garret.

Jego towarzysze pokiwali głowami. W tym momencie otworzyły się drzwi i powiało chłodem. Do baru weszli dwaj ludzie, w których Christian rozpoznał dorożkarzy, dobrych znajomych Rosalyn. Od razu skierowali się ku ostatnim wolnym miejscom.

- Willis! Michael! - zawołał Merl na ich widok, unosząc kufel. - Dołączcie do nas.

Mężczyźni przyciągnęli sobie krzesła i dopiero wtedy zauważyli Garreta. Michael uśmiechnął się szeroko i trącił kolegę łokciem. Twarz Willisa rozpromieniła się w jednej chwili.

- Pan Brown! Jak się miewa panna Mitchell?

Christian mimo woli odwzajemnił uśmiech. Dobroduszne zaczepki nie były w stanie go rozgniewać. Raptem spoważniał, bo uświadomił sobie, że wcześniej czy później musi wyjaśnić nieporozumienie. Pannie Howland przedstawił się prawdziwym nazwiskiem, więc należało oczekiwać, że wkrótce pozna je całe miasto.

Lepiej, żeby nowi znajomi usłyszeli prawdę z jego ust. Odchrząknął i zaraz tego pożałował, bo uwaga wszystkich skupiła się na nim. Zapewne spodziewali się, że powie coś o Rosalyn.

- Nazywam się Christian Garret. Przepraszam, że wprowadziłem was w błąd...

Mężczyźni osłupieli.

- Co?

- O co chodzi?

- Powiedziałeś pan „Garret”?

Merl wylał piwo na stół, gwałtownie pochylając się do przodu.

- Krewny Henry'ego Garreta?

Willis roześmiał się, ale minę miał niewyraźną.

- Jasne, że nie! Nikt nie przyznałby się do pokrewieństwa z tym... - Urwał, gdy zobaczył minę rzekomego pana Browna. - Chyba... nie jest pan jego krewnym, prawda?

Merl spiorunował kompana wzrokiem.

- A jak myślisz, dlaczego nas okłamywał?

Ze smutkiem potrząsnął głową. Wszyscy patrzyli na Garreta, jakby właśnie oznajmił, że jest diabłem.

Christian nic nie wiedział o swoim ojcu: jak zarabiał na życie, co inni o nim sądzili. Nic. Nie zdążył go poznać w czasie krótkiej wizyty w Worcester, a duma nie pozwoliła mu wypytać pana Toombsa. Ale teraz dowiedział się, że mieszkańcy miasteczka nie wspominają starego Garreta z sympatią.

Z wielkim trudem zachował niewzruszoną twarz.

- Tak, Henry Garret to mój ojciec, ale nie byliśmy sobie bliscy. Czy jest coś, co powinienem o nim wiedzieć?

Spojrzał po twarzach i tknęło go przeczucie, że zaraz będzie miał kolejny powód, by wstydzić się własnego nazwiska.

Wszyscy zgodnie skierowali wzrok na Bootsa.

Sądząc po minie, szewc wolałby w tej chwili znajdować się na księżycu.

- To Henry, twój ojciec, wciągnął Tibera w hazard.

Christian zeszytniał i powędrował wzrokiem ku oberwańcowi, chwiejącemu się na stołku barowym. Nigdy nie przypuszczał, że będzie bronił ojca, ale nie spodobało mu się obwinianie go o wszelkie zło. Dorosły człowiek powinien sam odpowiadać za swoje czyny.

- Mój ojciec zmusił Tibera do grania?

Przy stoliku zapanowała konsternacja. Mężczyźni popatrzyli po sobie niepewnie.

- I co? Nikt mi nie odpowie? Mam sam wyciągnąć wnioski?

Christian odepchnął krzesło i wstał.

- Poczekaj, człowieku - zatrzymał go Merl. - Nikt cię nie wini. Masz prawo wiedzieć. Henry jeździł do domu gry w Springfield. Przechwalał się Tiberowi, ile pieniędzy wygrywa w karty.

Jego ojciec hazardzistą? Matka nigdy nie wspominała... Z drugiej strony, rzadko o nim mówiła po tym, jak odszedł. Babka również była powściągliwa, jeśli chodzi o zięcia. W końcu Christiana znużyło zadawanie pytań, na które nie dostawał odpowiedzi.

Otrzymał je teraz, i to od obcych.

- Co go łączyło z Tiberem?

Zapytał niedbałym tonem, jakby chodziło o kogoś obcego. Wiedział, że na gniew i upokorzenie czas przyjdzie później. Teraz chciał poznać całą prawdę.

- Poznali się w tym barze i od razu zakolegowali. Tiber był grubą rybą, a Henry uważał siebie... Wybacz, Christianie.

Garret przywołał na twarz chłodny uśmiech. Nie chciał wyładowywać swego gniewu na Merlu, Willisie czy kimkolwiek innym.

- Mów dalej.

Piekarz poczerwieniał na twarzy.

- Zaczęli mówić o pieniądzach i tak od słowa do słowa... Przy najbliższej okazji Tiber pojechał z Henrym do Springfield. Jakiś rok później ogłosił, że zamyka papiernię.

Boots przesunął kufel po stoliku i patrzył z zainteresowaniem na mokry ślad, który zostawiało szkło.

- Co nieco obiło się nam o uszy, stąd wiemy. To jest nasz stół, a Royce i Henry siadywali obok nas, więc nie mogliśmy nie słyszeć. Parę razy próbowaliśmy nawet przemówić Tiberowi do rozumu, ale nie chciał z nami gadać. Nie zwałamy całej winy na Henry'ego. Jak sam powiedziałeś, nie zmuszał Tibera do gry, ale...

- Podjudzał go?

Boots skinął głową.

- Tak, Tiber wyszedłby na tchórza, gdyby nie pojechał, a musiałbyś go znać wtedy. Nie był zły, tylko... pewny siebie i zarozumiały.

Aż trudno uwierzyć, pomyślał Christian, zerkając na niechlujnego mężczyznę, który kiwał się nad resztką piwa.

I to jego własny ojciec doprowadził do ruiny porządnego człowieka. Nie dość że ich zostawił. Nie dość że rozwiódł się z żoną i okrył ją hańbą. Okazał się hazardzistą i złym duchem. Przez niego również, pośrednio, Patrick stracił pracę. Ciekawe, ile jeszcze osób znalazło się na bruku? Setki?

Czy Callie wiedziała? Christian czuł, że nie miała o niczym pojęcia. Tak samo jak Rosalyn. Ci ludzie chronili swoje kobiety, więc nikt nie powiedział prawdy żonie Henry'ego, a teraz pannie Mitchell.

Po raz pierwszy w życiu Christian pożałował, że nie jest kimś innym.

Na przykład Chrisem Brownem.

- Mmm! Pyszne! Skąd je pani ma? - zapytała Rosalyn.

Siedząca obok niej na kanapie Alice również delectowała się czekoladką.

- Od pewnego dżentelmena - odparła z uśmiechem panna Howland. - Nazywa się Milton Hershey. Poznałam go w Nowym Jorku. Rozmawialiśmy o połączeniu jego czekoladek z moimi walentynkami, ale nic nie wyszło ze wspólnego interesu.

Podsunęła im bombonierkę. Alice sięgnęła do niej skwapliwie, Rosalyn zaśmiała się z przyjaciółki i podziękowała uprzejmie.

- Pani Dillon pomyśli, że umarła i poszła do nieba! Jest pani pewna, że nie są za drogie? Nie

chciałam mówić tego przy Chrisie... panu Garre-
cie, ale pan Dillon nie ma dużo pieniędzy.

Esther Howland potrząsnęła głową i ułożyła kil-
kanaście czekoladek w pudełku w kształcie serca.

- Pan Hershey przysłał mi je w prezencie. - Za-
rumieniła się lekko, a Rosalyn wymieniła z Alice
znaczące spojrzenia. - Sama nie zjem wszystkich,
a jestem pewna, że pani Dillon je doceni.

Obie dziewczyny skinęły głowami. Na znak
pracodawczyni Rosalyn podała jej spory koszyk
udekorowany satynowymi wstążkami w kolorach
różowym i niebieskim. W środku leżała dziecięca
kołderka. Panna Howland umieściła na niej pudeł-
ko z czekoladkami i zakryła wszystko srebrnym
koronkowym szalem.

- Powóz będzie lada chwila, Rosy - oznajmiła.
- Pan Garret pewnie zada ci wiele pytań.

Rosalyn w porę ugryzła się w język. Nie sądzi-
ła, żeby te pytania dotyczyły pracowni albo do-
starczania walentynek!

- Okaż cierpliwość, a jeśli nie będziesz pewna
odpowiedzi, poradź, żeby zapytał mnie.

Alice już otwierała usta, ale Rosalyn chwyciła
ją za rękę i poderwała się z sofy.

- Chodź. Pomożesz mi szukać ciepłych rękawi-
czek. Bardzo dzisiaj zimno.

- Ale...

Dosłownie zaciągnęła przyjaciółkę do schodów.

- Zaraz wracamy, panno Howland.

- To dobrze, bo powóz już jedzie.

Gdy znalazły się w pokoju Rosalyn, Alice nie wytrzymała:

- Co ona miała na myśli, mówiąc o zadawaniu pytań? Czy ten... ten drań jedzie z tobą do Dillonnów? Och, Rosy, jak możesz po tym, co...

- Nie mogę. W dodatku jedziemy nie tylko do Dillonnów. Pan Garret będzie mi towarzyszył wszędzie aż do dnia świętego Walentego! Przekonał pannę Howland, że jest historykiem. Bezcelny kłamacz! - Na chwilę zdusiła w sobie wściekłość, żeby pracodawczyni nie nabrała podejrzeń. - Uwierzyła, że jest naprawdę zainteresowany naszą pracą.

Na twarzy Alice odmalowała się konsternacja.

- Och, biedactwo! Panna Howland o niczym nie wie, prawda? Dlaczego jej nie powiesz? Jestem pewna, że zrozumiałaby, dlaczego nie chcesz mieć więcej do czynienia z tym oszustem!

Rosalyn westchnęła i oparła czoło o framugę drzwi. Ach, żeby wszystko było takie proste, jak wydaje się Alice.

- Nie mogę jej powiedzieć. Ona i Callie były przyjaciółkami. Nie chcę mieszać jej w sprawę, która dotyczy tylko mnie i Christiana. To byłoby nie w porządku.

Alice tupnęła nogą.

- A Garret jest w porządku, gdy narzuca ci się w taki sposób? Jak zniesiesz jego obecność?

- Ignorując go.

Tak zrobi. Albo zanudzi na śmierć historią, skoro Christian tak się nią pasjonuje. Tak, to jest sposób. Zmrozić go i zanudzić. Gdyby czasem się zapomniała, wystarczy, że pomyśli o jego krzywdzących podejrzeniach lub kłamstwach.

Wołanie panny Howland przerwało im rozmowę. Dorożka już czekała.

I Christian Garret. Pewnie myśli, że ją podejdzie, zmusi do wyznania, że ukradła rubiny, ale nic z tego. Rosalyn wyprostowała plecy, szykując się do bitwy. Niech tylko drań spróbuje swoich sztuczek! Usłyszy od niej słowa, które długo popamięta!

Zeszły razem po schodach. Alice szepnęła jej do ucha wyrazy otuchy. Rosalyn wzięła od panny Howland koszyk, siłąc się na spokój.

Pracodawczyni niczego nie zauważyła.

- Szybko wrócisz, prawda, Rosy? Mamy kilka ważnych zleceń, które zajmą ci pewnie całe popołudnie.

Dziewczyna zdobyła się na uśmiech.

- Tak.

Przyjaciółka uściskała ją tak mocno, że Rosalyn się roześmiała.

- Dobry Boże, Alice, nie wyjeżdżam na zawsze!

- Wiem, Rosy, tylko bądź ostrożna. - Na pożegnanie rzuciła jej znaczące spojrzenie.

Rosalyn otworzyła drzwi i ruszyła do czekającej dorożki. Pozdrowiła Willisa, zlekceważyła wyciągniętą dłoń Christiana i sama wsiadła do powo-

zu. Wcisnęła się w kąt i odgrodziła koszykiem.

Może tym razem bariera okaże się skuteczna.

Ostentacyjnie zaczęła wyglądać przez okno. Przez całą noc padał deszcz, a nad ranem temperatura gwałtownie spadała. Na gałęziach drzew i krzakach zamarzała wilgoć. Teraz szron iskrzył się w słońcu.

Zupełnie jakby obudzić się w diamentowym świecie, pomyślała Rosalyn z zachwytem. Już nie musiała udawać zainteresowania. Ze szczerym podziwem obserwowała bajkowy krajobraz.

- Pięknie, prawda?

W ostatniej chwili powstrzymała się przed odwróceniem głowy. Nie musi zabawiać go rozmową. Będzie odpowiadać tylko na pytania o firmę.

- Nie mogę doczekać się wiejskich widoków.

Mijali właśnie miejski park, na którego terenie znajdował się kiedyś cmentarz. Przed laty mieszkańcy uznali, że groby w samym środku miasta kłują w oczy, i zasypali je ziemią wraz z nagrobkami. Rosalyn uważała tę historię za smutną, ale ciekawą.

Wątpiła jednak, czy „historyk” będzie podobnego zdania.

- Daleko jedziemy?

W głosie mężczyzny wyczuła dziwne napięcie. Wzruszyła ramionami i dalej patrzyła przez okno. Zauważyła małego chłopca, który ślizgał się po pokrytym lodem trawniku przed swoim domem. Ciekawe, czy Christian lubi dzieci, przemknęło jej przez myśl, ale zaraz surowo skarciła się w duchu.

Nieważne. Jest łotrem, i koniec. Szkoda, że wcześniej go nie przejrzała.

- Masz dzisiaj dużo zleceń?

Tym razem Rosalyn wyraźnie usłyszała ostrzegawczą nutę w głosie mężczyzny. Chyba go za długo ignorowała. Pan Garret najwyraźniej postanowił jej uświadomić, że jest w tej chwili zdana na jego łaskę. Wiedziała już, jaki potrafi być bezlitosny. Poza tym zadał pytanie dotyczące pracy.

- Sporo - rzuciła chłodno, nie odwracając głowy.

- Nie musisz tego zanotować?

Zaryzykowała krótkie spojrzenie i dostrzegła drwiący uśmieszek na wargach Christiana. Zaciśnęła usta.

- Mam dobrą pamięć.

- Ja też.

O, zrozumiał ją dobrze. Zaśmiał się cicho.

A niech to! Rozzłościła się na samą siebie. Dlaczego nie może trzymać języka za zębami? Bo bo ma zbyt dużo do powiedzenia. I za dużo chce wiedzieć. Musi poskromić ciekawość.

- Panna Howland ma głowę do interesów - stwierdził Garret niedbałym tonem.

- Szkoda, że nie ma nosa do łajdaków.

Mężczyzna skwitował docinek śmiechem.

- Punkt dla ciebie. Jesteś dzisiaj cięta.

Minęli ostatnią latarnię gazową, stojącą na końcu Main. Za miastem droga, nad którą zwieszały się oszronione gałęzie drzew, wyglądała jak tunel.

Rosalyn żałowała, że obok niej nie siedzi ktoś inny, ktoś, z kim mogłaby cieszyć się chwilą i pięknym widokiem.

Nie zauważyła najmniejszego nawet podmuchu wiatru. Za miastem otoczyła ich całkowita cisza, mącił ją jedynie stuk końskich podków, kruszących lód.

W białym tunelu zalegał półmrok, rozproszony jasnymi smugami słońca. Widok zapierał dech w piersiach. Rosalyn zapomniała o wrogości i spojrzała na Christiana, by się przekonać, czy on też jest pod wrażeniem baśniowej scenerii.

Mężczyzna patrzył na nią zamyślonym, łagodnym wzrokiem. Dziewczyna zamrugała z niedowierzaniem i dziwny wyraz oczu Garreta od razu się zmienił. Na pewno jej się przywidziało.

- Czy to nie...

- Tak. Niezapomniany widok.

Rosalyn wyczuła, że mężczyzna nie ma na myśli wiejskiego krajobrazu; żar w jego głosie groził stopieniem lodu otaczającego jej serce. Odwróciła głowę do okna, drżąc pod grubym płaszczem.

- Nigdy się nie poddajesz, co? - zapytała.

Gdy usłyszała, że Christian poprawia się na siedzeniu, dostała gęsiej skórki. Odsunęła się do samych drzwi. Dobrze, że między nimi stał koszyk.

- Nie poddaję się, kiedy czegoś pragnę - szepnął tuż przy jej uchu. - Rosalyn, ja...

Spokój roziskrzonego świata zakłócił głośny trzask. Rosalyn krzyknęła i odruchowo chwyciła

za klamkę. Koń zarżał, przestraszony. Powóz gwałtownie skręcił w lewo, a potem w prawo. Dziewczyna wpadła najpierw na drzwi, a chwilę później prosto w ramiona Christiana. Znowu rozległ się huk, dorożka zatrzęsała się i stanęła.

Rosalyn przywarła do mężczyzny, patrząc ze zdumieniem na kaskadę lodu za oknem.

Co się dzieje?

13

Lawina.

Oszołomiona Rosalyn poczuła bicie serca Christiana i napięcie mięśni. Po ostatnim łoskocie znowu zapanowała cisza.

Grobowa cisza.

- Willis? - Rosalyn odsunęła się od Christiana.

- Willis? Co się stało? Wszystko w porządku?

- Przeklęty lód spadł mi na głowę! Spłoszył konia!

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Ale tobie nic nie jest?

Dorożka zakołysała się, kiedy woźnica zsiadał z kozła. Stanął przy oknie od strony Rosalyn. Wyglądał na przemarzniętego. Do wełnianego szala przywarły igiełki lodu.

- Chyba żyję. - Potarł głowę z kwaśnym uśmiechem. - Twarde diabelstwo.

- Mam pomysł. - Rosalyn wzięła koszyk i ostrożnie wysypała jego zawartość na kolana. Pusty podała przez okno Willisowi. - Załóż to na głowę. - Gdy zobaczyła wyraz twarzy woźnicy, dodała szybko, uprzedzając protest: - Nie powiem nikomu, masz na to moje słowo.

Dorożkarz zerknął z wahaniem na drugiego pasażera. Rosalyn poszła za jego wzrokiem i zmarszczyła brwi na widok miny Christiana.

- Pan Garret też będzie milczał, prawda?

Mężczyzna nie spieszył się z odpowiedzią. Gdy Rosalyn otwierała usta, by go przywołać do porządku, oświadczył z powagą:

- Nie puszczę pary z ust.

Willis najwyraźniej uznał, że może zgodzić się na propozycję panny Mitchell. Wrócił na swoją ławeczkę, mamrocząc pod nosem:

- Nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy będę nosił kosz na głowie. Teraz przynajmniej wiem, że dobry Bóg ma poczucie humoru.

Po chwili ruszyli, tym razem wolniej, między drzewami, których gałęzie ugiwały się pod ciężarem białej sadzi. Rosalyn starannie unikała gorącego wzroku Christiana. Postanowiła, że nie da się znowu wciągnąć w rozmowę, zwiesić czarującemu uśmiechowi.

- Kto przed tobą roznosił walentynki? - zapytał Garret po chwili niezręcznego milczenia.

Dziewczyna patrzyła przez okno. W innych okolicznościach podróż w taki piękny dzień byłaby romantyczna i niezapomniana.

- Siostrzenica panny Howland.

- Co się z nią stało?

Niestety pytania dotyczyły pracy.

- Poznała kogoś, dostarczając walentynkę. Pobrali się i przenieśli do Filadelfii.

Christian położył ramię na oparciu siedzenia. Dziewczyna zeszywniała.

- Ukradła komuś narzeczonego?

Rosalyn spojrzała na mężczyznę i dostrzegła w jego oczach radosny błysk. Sama zachowała nieprzeniknioną twarz.

- Nikogo nie ukradła. Panna Howland mówi, że Rudolph wypłakiwał oczy za inną, bo Chastity przyniosła mu odmowę. Później wszystko potoczyło się szybko...

Mężczyzna skrzywił usta.

- Nagle odkochał się i zapalał miłością do tej siostrzenicy?

Dziewczyna najeżyła się, zagniewana cynicznymi uwagami.

- Widać nigdy tamtej nie kochał. Nie wierzysz w przeznaczenie? A w ogóle istnieje coś, w co pan wierzy, panie Garret?

Nie przestając się uśmiechać, Christian ujął ją pod brodę.

- Przy tobie zaczynam się zmieniać, Rosalyn.

A jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie panem Garretem, przełożę cię przez kolano...

- Nie!

- Tak. - Nachylił się ku niej. - Resztę zostawiam twojej wyobraźni, która, jak wiem, jest naprawdę żywa.

Rosałyn wzięła głęboki oddech. Kłamie. Każde słowo, które wychodzi z jego ust, jest kłamstwem. Ten człowiek nigdy się nie zmieni. Pod niczym wpływem.

Dlaczego więc próbuje jej wmówić, że ona jest w stanie tego dokonać? Chce, żeby nadal robiła z siebie idiotkę? Nie, nie i jeszcze raz nie. Już nigdy nie zaufa panu Chrisowi Christianowi Brownowi Garretowi. Musi wprawdzie tolerować jego obecność, ale nigdy nie uwierzy w perfidne kłamstwa.

Zmierzyła go czujnym wzrokiem. Mężczyzna odsunął się i patrzył na nią spod przymrużonych powiek jak kot obserwujący mysz, którą sam zapędził w pułapkę.

Rozprostowała plecy. Wytrwa w postanowieniu. Nie złamie się.

- Dlatego wzięłaś tę pracę? Żeby znaleźć męża?

- Mówiłam ci, że idę na studia - odparła lodowato.

- Nie możesz wyjść za mąż i studiować?

- Nie możesz pilnować swojego nosa?

Jej wybuch wyraźnie rozbawił Christiana. Rosałyn oblała się rumieńcem. Odwróciła głowę do okna, zdecydowana milczeć jak głaz, chyba że Gar-

ret zada jej pytanie związane z firmą. Jest okrutny albo nieświadomy jej uczuć. Oczywiście, że chętnie połączyłaby naukę z zamążpójściem, gdyby... gdyby on naprawdę był Chrisem Brownem.

Gdyby ją kochał, a ona potrafiła mu wybaczyć i zapomnieć. Och, beznadziejna sprawa!

Dyskretnie otarła łzę.

Drań.

Po półgodzinie, która upłynęła w nieprzyjemnej ciszy, skręcili w wąską drogę, zrytą koleinami. Rosalyn wypatrzyła w oddali cel ich podróży. Drewniany dom, ukryty wśród rozłożystych dębów, hikor i klonów, wyglądał na przytulny. Z dwóch masywnych kominów unosił się dym. Dziewczyna potarła zimny nos, licząc na to, że trochę się ogrzeje przed powrotem.

Willis zatrzymał powóz przed wejściem, zeskokczył na ziemię i podał przez okno koszyk. Rosalyn włożyła do niego upominki. Dębowe drzwi otworzyły się i na ganek wyszedł pan Dillon. Widząc jego promienny uśmiech, dziewczyna od razu poczuła się jak u siebie.

- Widzę, że udało się pani przyjechać. - Podbiegł do dorożki i pomógł gościowi wysiąść. - Zapraszam. W środku jest ciepło. Żona niedawno zrobiła gorący cydr.

Rosalyn wzięła go pod ramię, nie oglądając się na Christiana.

- Czy ona wie?

- Nie. Chciałem jej zrobić niespodziankę.

We wnętrzu rzeczywiście było ciepło. Duże, otwarte pomieszczenie na parterze składało się z salonu i kuchni. Dwie pary drzwi prowadziły do sypialni, a drabinka ustawiona pod ścianą - na poddasze. Z góry zerkało na obcych dwoje małych dzieci. Najwyraźniej szykowały się do drzemki. Pan Dillon oznajmił z dumą:

- Tamte łobuziaki to Luke i Joseph.

Gdy Rosalyn mrugnęła do chłopców, obaj zaczęli chichotać.

W bujanym fotelu przy kominku siedziała młoda kobieta, trzymając niemowlę zawinięte w kocyk. Usadowiona na kanapie siedmioletnia dziewczynka patrzyła na gości z nieskrywaną ciekawością. Obok niej na poduszce leżała robótką.

- Mae, pierworodna. Najmłodszemu damy na imię Anthony. A oto moja żona Sara.

Pani Dillon otrząsnęła się z zaskoczenia i uśmiechnęła do niespodziewanych gości.

- Proszę się ogrzać! Pewnie państwo zmarznięci?

Rosalyn zbliżyła się do kominka, zdjęła rękawiczki i roztarła dłonie. Tymczasem Christian i Willis podeszli z panem Dillonem do ciężkiego dębowego stołu, który stał w części kuchennej pomieszczenia.

Pani Dillon obejrzała się na męża, wykręcając szyję. Rosalyn spostrzegła jej pytający wzrok.

Biedna kobieta zapewne umierała z ciekawości, ale była zbyt uprzejma, żeby spytać o cel wizyty.

- Przynieś pannie...

- Rosalyn, po prostu Rosalyn.

Uśmiechnęła się szeroko. Pan Dillon najwyraźniej bawił się sytuacją. Podchwycił wzrok panny Mitchell i zaśmiał się hałaśliwie. Chyba nieczęsto zdarzało mu się widzieć oniemiałą żonę.

- Przynieś Rosalyn szklaneczkę cydru, panie Dillon.

Celowo zwróciła się do męża oficjalnym tonem. Wolną ręką wygładziła prostą domową suknię.

- Nie spodziewałam się gości...

Farmer nalał gościom po szklaneczce gorącego jabłecznika. Oczy mu błyszczały. Przypominał psotnego uczniaka, który w napięciu czeka, aż nauczycielka znajdzie w biurku żabę.

Dziewczyna spróbowała korzennego napoju i kiwnęła głową z uznaniem. Gdy napotkała płonący wzrok Christiana, oblizała nerwowo wargi i uciekła spojrzeniem ku gospodarzom. Tak było o wiele bezpieczniej.

- Najdroższa - zaczął pan Dillon bez śladu zakłopotania.

Ukląkł u stóp żony i spojrzał na nią z taką miłością, że Rosalyn zarumieniła się i odwróciła oczy.

- Wiem, że nieczęsto to okazuję, ale kocham cię całym sercem i jestem wdzięczny, że dałaś mi takie wspaniałe dzieci.

- Och, Audrey!

Mocno speszona pani Dillon zerknęła na troje świadków miłosnego wyznania, ale mąż ujął jej dłoń i przycisnął do piersi, nie zważając na obcych. Dziecko chyba wyczuło nastrój matki, bo zaczęło się wiercić i machać piąstkami.

Rosalyn podeszła do Sary i wzięła od niej niemowlę. Kobieta nawet tego nie zauważyła. Oczy utkwiała w mężu, jakby widziała go pierwszy raz.

Pan Dillon ciągnął dalej głosem łamiącym się z emocji:

- Kiedy wyszłaś za brzydkiego i biednego mężczyznę, nie dostałaś nawet obrączki. Gdy urodziła się Mae, nie podziękowałam ci jak należy. Tak samo było po narodzinach Luke'a i Josepha. Zostałaś przy mnie, choć straciłem pracę w papierni i nie udały się pierwsze zbiory. Gdybym mógł, darowałbym ci gwiazdkę z nieba. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

Postawił jej koszyk na kolanach.

Sara przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu. Rosalyn dostrzegła w jej oczach łzy i pospiesznie zajęła się dzieckiem trzymany w ramionach. Jak to jest być tak kochaną? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Ból ścisnął jej serce. Marzyła o równie silnym uczuciu. O przytulnym, zwyczajnym domu, ogrzewanym miłością.

Tę tęsknotę obudził w niej Christian Garret. On był wszystkiemu winien. Zanim go poznała,

cieszyła ją praca, zarabianie pieniędzy na studia, planowanie przyszłości.

Ukołysane przez nią niemowlę zasnęło. Rosalyn spojrzała na maleńką twarzyczkę i powoli siadła na krześle naprzeciwko pani Dillon.

Kobieta nie spieszyła się z rozpakowaniem prezentu. Obracała go w rękach, podziwiając dekorację. W końcu wyjęła jedwabny szal i przesunęła gładki materiał między palcami. Jej oczy rozszerzyły się z zachwytem.

- Jest piękny, Audrey, naprawdę piękny.

Rumiane policzki pana Dillona poczerwieniały jeszcze bardziej. Rosalyn zachichotała w duchu. Wiedziała, że upominki są dla niego taką samą niespodzianką jak dla żony.

Sara zarzuciła szal na ramiona i sięgnęła po bombonierkę w kształcie serca. Ostrożnie uniosła wieczko, jakby się obawiała, że coś wyskoczy ze środka. Willis zdusił śmiech.

- Przyjechały aż z Nowego Jorku - odezwała się Rosalyn.

Pani Dillon podniosła na nią wzrok.

- Z Nowego Jorku?

- Tak.

Kobieta wzięła do ręki kwadratową czekoladkę i powąchała ją z podejrzliwą miną.

- Śmiało, proszę spróbować - zachęciła Rosalyn.

Sara odgryzła kawałeczek i po jej twarzy rozlał się wyraz miłego zaskoczenia. Zjadła jeszcze jedną.

- Przepyszne! Nigdy w życiu...

Nie dokończyła, bo znowu miała pełne usta.

Pan Dillon wyciągnął rękę, ale żona dała mu klapsa.

- O, nie! Zepsujesz sobie apetyt. Po obiedzie wszyscy dostaniecie po jednej.

. Nie zważając na rozczarowaną minę męża, zamknęła wieczko i odłożyła pudełko na stolik obok fotela. Następnie rozwinęła kołderkę dla dziecka i wykrzyknęła:

- Och, Audrey, tylko spójrz! Ten materiał. Czy to satyna? - Przesunęła palcami po lśniącej tkaninie i uśmiechnęła się. - Jeśli nie będziemy ostrożni, zepsujemy naszego Anthony'ego. - Objęła męża za szyję, uściskała go mocno i wyszeptała wzruszonym głosem: - Jeśli nie będziesz ostrożny, mnie zepsujesz.

Rosalyn troskliwie poprawiła kocyk śpiącemu dziecku i ukradkiem wytarła oczy. Jak Christian może nie wierzyć w miłość? Głębokie i szczere uczucie Dillonów powinno dać do myślenia każdemu sceptykowi. Nachyliła się nad becikiem, żeby poczuć jedyny w swoim rodzaju zapach niemowlęcia. Delikatnie pogłaskała jasne, cienkie włoski. Gdyby to był syn Christiana, miałyby włoski gęste i czarne...

Garretowi zaparło dech w piersiach, kiedy ujrzał Rosalyn z dzieckiem w ramionach. Wyglądała bardzo naturalnie, a wyraz twarzy miała taki jak Maria patrząca na Jezusa. Nietrudno było odgadnąć jej myśli. Z pewnością widziała siebie jako matkę.

Ciekawe, kto miałby być ojcem? Z pewnością nie on. Oderwał wzrok od Rosalyn i rozejrzał się po skromnym wnętrzu.

Zazdrościł panu Diltonowi, a jednocześnie zastanawiał się, czy naprawdę można być szczęśliwym, prowadząc ciche, zwyczajne życie.

Spojrzał na gospodarzy. Audrey na kolanach wyznawał miłość kobiecie, którą poślubił przed laty. Sara patrzyła na męża jak zakochana dziewczyna. I dzieci, szczęśliwe, hołubione. Ojciec ich nie porzuci. Tacy ludzie jak Dillon nie opuszczają rodzin i nigdy się nie poddają.

Jeśli on kiedykolwiek się ożeni, to też na dobre i złe, po grób. Jego dzieci również będą czuły się bezpieczne. By dotrzymać przyrzeczenia, musi poślubić odpowiednią kobietę, godną zaufania.

Wrócił do Rosalyn zamyślnym spojrzeniem. Gdyby nie rubiny, niemal mógłby uwierzyć, że to ta właściwa. Na pewno okazałaby się doskonałą żoną i matką. Gorąca namiętność byłaby miłym dopełnieniem tego związku.

Niestety, nie mógł jej ufać. Przez cały czas miała przekłete rubiny, choć wiedziała, że on ich szuka. Ale czy na pewno? Czy naprawdę wiedziała? Próbowwała powiedzieć mu o walentynce, ale kiedy w końcu zapytał ją o rubiny, świadomie skłamała. Mógłby to ostatecznie zrozumieć, ponieważ była na niego zła, i słusznie, że ukrywał prawdziwą tożsamość. Ale kradzież... Ukraść starej kobie-

cie najcenniejszą *rzecz*... Coś takiego nie mieściło się w głowie.

Chyba że Callie dała jej walentynkę. W takim razie dlaczego Rosalyn tego nie wyjaśniła? Duma? Może. Christian chrząknął. Dumę rozumiał lepiej niż jakiegokolwiek inne uczucia.

Rubiny stawały się dla niego coraz mniej ważne. Żałował, że babka w ogóle o nich wspomniała. Gdyby nie przeklęty naszyjnik, on i panna Mitchell byłiby... bardzo sobie bliscy. Samo patrzenie na nią rozgrzało w nim krew. Wyobraził sobie Rosalyn noszącą w brzuchu jego dziecko. Ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że taki obraz sprawia mu przyjemność. Nagle zatęsknił za czymś, czego nigdy nie pragnął: za żoną i rodziną.

Potrząsnął głową, aż zaboląła go szyja. Pora odzyskać rozsądek. Kłamiąc, Rosalyn przyznała się do winy. Dlaczego ukrywała fakt, że ma rubiny? O, nie, nie jest taki naiwny, by myśleć, iż Callie podarowała dziewczynie kosztowności, choć byłby gotów uwierzyć, że Rosalyn wzięła je dopiero po śmierci opiekunki.

Czy naprawdę zrobiła coś strasznego? Potarł brodę, obserwując czułe sceny. Rosalyn kołysała dziecko, a Sara dziękowała zarumienionemu mężowi za prezenty, ścisnęła go i całowała. Wyglądali jak nowożeńcy.

Christian na próżno czekał, aż obudzi się w nim dawny cynizm. Był zdziwiony i lekko przestraszony.

A jeśli panna Mitchell rzeczywiście wzięła rubinową walentynkę po śmierci przybranej matki? Pan Toombs napomknął, że Callie próbowała zabezpieczyć podopieczną, ale nie dało się zmienić testamentu Henry'ego. Gdyby ktoś inny znalazł się w sytuacji Rosalyn, bez domu, pracy, rodziny? Czy nie zrobiłby tego samego?

Niewykluczone. Bieda i strach sprawiały, że nawet szlachetni ludzie zaczęli objawiać niechlubne cechy. Może więc oceniał Rosalyn zbyt surowo?

- Pan Garret, prawda? Chciałbym zamienić z panem kilka słów na zewnątrz, jeśli można.

Christian uniósł głowę na dźwięk ściszonego głosu pana Dillona.

- Oczywiście.

Wstał od stołu, zerkając na Rosalyn i Sarę pograżone w rozmowie. Willis pozostał na miejscu, zadowolony z cydru i miejsca przy kuchennym piecu. Christian ruszył za gospodarzem.

W stajni nie było tak ciepło jak w domu, ale grube, solidne mury chroniły przed wiatrem. Kiedy farmer otworzył masywne drzwi, rozległo się szczekanie psa, a po nim popiskiwania szczeniaków naśladowujących matkę.

- To ja, Speckless.

Zwierzęta od razu się uspokoiły.

- Dobra suka. Strzeże kurnika przed lisami. Kiedy ściga zająca, jest szybsza niż pocisk. - Dillon

potrząsnął głową. - Wolałbym jednak, żeby nie miała tylu szczeniaków.

Zapalił lampę i poprowadził gościa w róg stajni, gdzie leżały części uprzęży, siodła i narzędzia. Pachniało końskim potem, skórą i nawozem.

Christian stwierdził, że ta kombinacja zapachów wcale nie jest nieprzyjemna.

- Ładne gospodarstwo.

Mówił szczerze. Tego, co miał pan Dillon, nie można było kupić za pieniądze.

- Dziękuję. Omal go nie straciłem, kiedy w zeszłym roku zamknięto papiernię, ale Bóg nad nami czuwał. - Odchrząknął. - Zwróciłem się do panna, bo nie wypadało prosić panny Mitchell, żeby tu przyszła. Wiem, że prezenty kosztowały więcej, niż zapłaciłem pannie Howland. Chcę, żeby pan dał to pannie Rosalyn, gdy już stąd wyjedziecie.

Christian spojrział na zwitek banknotów podsunięty przez farmera.

- To upominki od panny Howland - powiedział.

- Mimo wszystko chciałbym za nie zapłacić. - Pan Dillon z dumą uniósł podbródek. - Nie przyjmę jałmużny.

- Wątpię, czy...

Christian urwał w pół słowa i wziął pieniądze. Powstrzymał się od uśmiechu na widok zdumionej miny farmera, schował banknoty do kieszeni i rzucił niedbałym tonem:

- Chciałbym spojrzeć na szczeniaki, jeśli nie ma

pan nic przeciwko temu. Może kupię któregoś.

- Jasne, jasne! - powiedział Dillon skwapliwie. - Tędy! Speckless to świetny stróż, przysięgam! Gdyby nie ona, nie mielibyśmy kurczaków. Młode też są udane. Głównie pieski, i bardzo dobrze. Żona nie pozwoli mi pozbyć się suki. Uwielbia ją, bo Speckless wyciągnęła Mae z ognia, kiedy mała była berbeciem.

Otworzył drzwi komórki, wykonał dłonią teatralny gest i usunął się na bok.

Christian ujrzał dziesięć maleńkich ogarów o ciemnoszarej sierści. Równie brzydkich stworzeń nie widział nigdy w życiu. Wyglądały jak szczury. Chude, bezwłose szczury. Do diabła, takie paskudne, że aż przykro na nie patrzeć!

Garret oparł się o framugę i przyglądał się szczeniakom, udając wielkie zainteresowanie.

- Ile?

- Co i-ile? - wyjąkał pan Dillon.

Christian zmarszczył brwi.

- Wiem, że są drogie, ale nie dam więcej niż dziesięć dolarów za sztukę.

- Dz-dziesięć dolarów?

- Wygląda pan na uczciwego człowieka, panie Dillon. Proszę mi złożyć swoją ofertę. Jeśli nie, po powrocie do Nowego Jorku kupię psa za osiem dolarów.

- Nie mogę tego zrobić - oświadczył nagle farmer. O co chodzi, do licha?

- Nie mogę wziąć dziesięciu dolarów. Coś panu powiem. Oddam je po dolarze za sztukę.

A niech to. Christian nawet nie udawał, że wygląda na zadowolonego. Ile pieniędzy dał mu Dillon? Trzy, cztery dolary? Jęknął w duchu, pocierając czoło, jakby zastanawiał się nad ofertą. Co, do diabła, zrobi z tyloma brzydactwami?

- Za tę cenę wezmę... - Przełknął ślinę. - Cztery śliczności.

Farmer rozpromienił się i chwycił go za rękę.

- Nie będzie pan żałował. To najlepsze ogary w całym stanie, przysięgam!

Christian wyjął z kieszeni banknoty, które dał mu Dillon.

Dwa. Dwa cholerne dolary! Powinien był kupić dwa psy. Przygryzł wargę, żeby nie zakląć na głos. Nie patrzył na mężczyznę. Gdyby podniósł wzrok i zobaczył śmiech w jego oczach... Został okpiony przez farmera z Massachusetts. On, Christian Garret, wielki przedsiębiorca z Nowego Jorku... W tym momencie przypomniało mu się, że ma do omówienia pewną sprawę z Dillonem.

- Co pan robił w piarni? - zapytał, wręczając mu dwa dolary i jeszcze dwa banknoty wyjęte z portfela.

Mężczyzna schował pieniądze i skrzyżował ramiona, nagle czujny i poważny.

- Obsługiwałem maszynę papierniczą.

Christian w milczeniu pokiwał głową.

- Myśli pan o otworzeniu fabryki?

Garret oderwał wzrok od dokazujących szcze-

niaków i z ukosa zerknął na bystrego farmera.

- Może. - Nie gniewał się na Dillona. Przecież sam próbował zamydlić mu oczy. - Proszę zanieść szczeniaki do powozu, dobrze?

Gospodarz uśmiechnął się szeroko.

- Jasne! Z przyjemnością, panie Garret.

- Nie wątpię - mruknął Christian pod nosem.

Powoli na jego ustach pojawił się niechętny uśmiech. Wkrótce obaj mężczyźni zanosili się śmiechem.

14

Rosalyn zajęła miejsce w powozie i westchnęła głęboko. Christian usiadł obok niej. Willis, w ciepłej czapce pożyczonej od farmera, zaciął konia. Ruszyli.

- Ale wspaniały gulasz ugotowała pani Dillon...

Urwała w pół zdania, gdy poczuła, że coś drapie ją w kostki. Krzyknęła i zerwała się tak gwałtownie, że uderzyła głową w sufit. Opadła na siedzenie i szybko podciągnęła nogi pod siebie. Spojrzała na podłogę.

Usłyszała śmiech Christiana i piskliwe ujadanie. Po chwili dołączyły do niego kolejne psie głosy. W końcu Rosalyn zwątpiła, czy jest przy zdrowych zmysłach.

- Co to za szczeniaki? Co tutaj robią?

W ostrym tonie pobrzmiwały gniewne nuty. Brzydkie stworzenia wcale nie wyglądały na psy. Przypominały raczej szczury, których panicznie się bała.

Christian otoczył ją ramieniem, nie przestając się śmiać.

- Ogary.

- Ogary? Ale co one robią w dorożce?

Pewna, że zaszła jakaś pomyłka, zabębniła w dach. Jeszcze nie odważyła się spuścić nóg na podłogę.

- Willis! Zawracaj!

- Nie. Jedź dalej! - krzyknął Garret.

Co? Dlaczego? To na pewno pomyłka! Jeden ze szczeniaków podskoczył i próbował wdrapać się jej na kolana. Merdał chudym ogonkiem i piszczał żałośnie, jakby pytał ją z wyrzutem, dlaczego nie chce go przytulić. Drżał z zimna. Biedactwo.

- Ale...

Christian uciszył protest, dotykając palcem jej warg.

- Kupiłem je od pana Dillona.

Rosalyn szybkim ruchem odwróciła głowę i omal nie natrafiła na usta Chrisa. Oblał ją rumieniem, słowa zamarły na wargach. Ich twarze znajdowały się bardzo blisko siebie, tak blisko... Wzięła głęboki oddech i zwalczyła pokusę.

- Ale dlaczego to zrobiłeś, na litość boską?

Czyżby nie wracał do Nowego Jorku? Nie

wspominał, że chce zostać, a poza tym zakup nie oznaczał...

Mężczyzna wzruszył ramionami. W jego geście Rosalyn dopatrzyła się zakłopotania.

- Christian? Dlaczego kupiłeś cztery brzy... psy od pana Dillona?

Garret wyjrzał przez okno. Milczał. Dziewczyna szturchnęła go palcem w ramię.

- Christian, lepiej odpowiedz. Dobrze wiesz, że potrafię być równie uparta jak ty.

- Złożył mi kuszącą ofertę - burknął w końcu mężczyzna.

Rosalyn wyczuła, że coś przed nią ukrywa. O, nie. Christian Garret nie kupił czterech szczeniaków, w dodatku najpaskudniejszych na świecie tylko dlatego, że trafiła mu się dobra okazja.

- Kupiłeś je, bo Dillonowie potrzebują pieniędzy? - spytała cicho.

Mężczyzna odwrócił się od okna. Zacisnął mocno szczęki, w jego oczach było ostrzeżenie.

- Chciałem mieć te cholerne psy.

-Aha.

Rosalyn poczuła, że nie uda się jej zachować powagi. Próbowwała ze sobą walczyć, ale w końcu nie wytrzymała. Śmiała się tak, że aż rozboleła ją brzuch. Christian przez cały czas patrzył na nią z kamienną twarzą. Dziewczyna wreszcie wytarła załzawione oczy i delikatnie wzięła jednego szczeniaka na rękę. Brązowe oczy spojrzały na nią ufnie, różowy języ-

czek polizał dłoń. Nie są takie brzydkie, jeśli człowiek się przyzwyczai, pomyślała. Tymczasem kolejne zaczęły dopominać się by zwróciła na nie uwagę. Po chwili wszystkie cztery siedziały jej na kolanach.

Chyba odgadła powód, dla którego Christian je kupił, mimo że on nie potwierdził jej domysłu. A niech tam. Trudno złościć się na kogoś, kto chciał ocalić cudzą dumę. Pytanie tylko, co teraz zrobi ze sforą psów? Z pewnością nie zatrzyma wszystkich, choć odziedziczył dom Callie. Choć podwórze jest spore... Wystarczy podwyższyć płot i sklecić budę.

- Nie.

Zaskoczona zerknęła na Christiana. Mężczyzna odpowiedział jej twardym spojrzeniem.

- Słucham?

Przecież nie zdradziła swoich myśli na głos.

- Nic z tego. Widziałem twoją minę. Nie zatrzymam ich.

- Nie pamiętam, żebym coś takiego ci proponowała - stwierdziła niewinnym tonem. - Zresztą to nie moje zmartwienie.

- Rosalyn, za trzy sekundy przełożę cię przez kolano.

Groźny ton Christiana wystraszył szczeniaki. Zaczęły skomleć i szukać schronienia w fałdach płaszcza Rosalyn. Chwilę później widać im było tylko czubki ogonków.

- Przestań warczeć! Straszysz dzieci.

- To nie są dzieci.

- Są. - Bawiła się jak nigdy w życiu.

Christian Garret najwyraźniej czuł się nieswojo w nowej roli. O, nie, ona pewno nie pozwoli mu zapomnieć o obowiązkach wobec piesków.

- Na razie nie mogą wychodzić na dwór. Potrzebują ciepłego domu i dużo ciepłego mleka. Mógłbyś wykorzystać szopę Callie...

- Nie!

Najodważniejszy piesek wygramolił się spod płaszcza i warknął na Christiana. Rosalyn poklepała obrońcę po łebku. Szczeniak zamerdał radośnie.

- dzielny chłopiec. Spokojnie, on tylko wydaje się groźny.

- Zobaczymy.

Garret objął Rosalyn za szyję i przyciągnął do siebie. Szczeniak cudem uniknął zmiążdżenia, z piskiem uciekł w bezpieczne miejsce.

Gdy Rosalyn poczuła na ustach gorące wargi, w głowie jej zawirowało, mięśnie i wola osłabły. O niebiosa, tak niewiele trzeba było, żeby...

Odepchnęła Christiana. Nie miała do niego zaufania, więc jak tu mówić o miłości? Poza tym kiedy ją całował, przestawała myśleć, a wtedy wszystko mogło się zdarzyć. Od razu oprzytomniała.

Mężczyzna puścił ją po krótkiej chwili. Jego oczy były lekko zamglone. Ciekawe, czy ona też ma szklisty wzrok. Z ogromnym wysiłkiem odwróciła głowę. Gdy tak na nią patrzył...

Szczeniaki jeden po drugim wyszły w kryjówki. Z początku czujnie łypały na mężczyznę, ale ponieważ milczał, szybko o nim zapomniały.

Rosalyn głaskała je, starając się nie wracać myślami do pocałunku. Psiaki znowu umościły się wygodnie i wkrótce ruch powozu ukołysał je do snu. Cztery chuderlawe stworzonka leżące na jej kolanach... Czy mogła być bezpieczniejsza? Zaryzkowała spojrzenie na Garreta, ale zobaczyła tylko zarys jego szczęki. Christian wyglądał przez okno.

Lodowy tunel pokonali bez przygód i w milczeniu. Może Christianowi już znudziła się gra? pomyślała Rosalyn. Nadzieja toczyła w niej walkę z rozczarowaniem.

Zanim wyjechali od Dillonów, poprosiła Williisa, żeby zawiózł ją do firmy, skąd miała wziąć gotowe walentynki. Gdy dotarli na Main Street, delikatnie przełożyła szczeniaki na kolana Garreta. Na pożegnanie poklepała je po łebkach.

- Dziękuję za towarzystwo. Do widzenia.
- Zaczekam na ciebie.

Christian skrzyżował ramiona i założył nogę na nogę, omal nie zrzucając piesków na podłogę.

- Uwważaj! Są takie małe. Co zamierzasz z nimi zrobić?

Nie spodobał się jej tajemniczy uśmiech Christiana.

- Zobaczysz. - Uniósł brew. - Nie powinnaś się

pospieszyć? U Dillonów zabawiliśmy dłużej, niż było w planie.

- Masz rację.

Wysiadła z dorożki. Wróciła po dziesięciu minutach z trzema pakunkami i woreczkiem pieniędzy zebranych na aukcji. Sto dolarów nagrody schowała do kieszeni. Wkrótce Davidsonowie będą mieli jedzenie i porządną dach nad głową.

Szczeniaki powitały ją z taką radością, jakby Zniknęła na wiele godzin. Rosalyn wzięła je na kolana, uciszając jazgot.

- Muszę zajechać do domu Callie, jeśli nie masz nic przeciwko temu - oznajmił Christian z tajemniczą miną.

Dziewczyna nie dała mu satysfakcji i nie spytała, po co. Obojętnie wzruszyła ramionami.

- Nie spiesz mi się do Ethel Poole.

Christian spojrział na nią pytająco.

Aha! Rosalyn udała zmartwioną.

- Nie mogę nic powiedzieć.

Zerknęła na niego, skubiąc wargę. Zobaczyła, że się uśmiecha.

- Ty figlarko - mruknął cicho.

Ty diable! pomyślała.

Przed domem Callie Christian wziął dwa szczeniaki na ręce i ruszył do wejścia. Zapukał i odsunął się na bok. Gdy ujrzał zaskoczenie na twarzy Rosalyn, zrobiło mu się dziwnie lekko na duszy.

Kiedy drzwi się otworzyły, dziewczynaomal nie upuściła dwóch wiercących się piesków.

- Pani Davidson! Co pani tutaj robi?

Zawstydzona gafą, oblała się rumieńcem. Popatrzyła na Christiana. Mężczyzna przybrał niewinny wyraz twarzy.

- Możemy wejść na chwilę, pani Davidson?

Kobieta uśmiechnęła się szeroko. Wyglądała teraz dużo młodziej i zdrowiej.

- Oczywiście, że możecie! Przecież to pański dom.

Christianomal nie zakrztusił się ze śmiechu na widok otwartych ust Rosalyn. Musiał pociągnąć ją za łokieć, bo stała jak wmurowana. Gdy przekroczyli próg, podał szczeniaki pani Davidson i zapytał z przeprasającym uśmiechem:

- Może pani zająć się tymi malcami, póki nie znajdę im porządnego domu? Nie lubię się narzucać...

- Nonsens! - Pani Davidson wzięła pieski na ręce i pokiwała głową. - Brzydactwa, co? Ale dobrej rasy. Niech pan się nie martwi, będziemy je karmić, dopóki ktoś ich nie przygarnie.

Na schodach zadudniły kroki. Chwilę później Holy i Julie zatrzymały się jak wryte na widok popiskujących stworzonek.

W ciągu zaledwie paru dni dziewczynki zmieniły się nie do poznania. Odzyskały kolory i przytyły. Christian zerknął na Rosalyn i stwierdził, że ona też dostrzegła różnicę.

Po kilku minutach zachwyków dzieci zabrały

szczeniaki i pobiegły poszukać dla nich pudełka do spania. Patrząc za nimi, Garret pomyślał, że już znalazł dom dla co najmniej jednego pieska.

Pani Davidson zaprowadziła ich na górę do Jamy'ego. Chłopiec siedział oparty o poduszki, jeszcze blade, ale wyraźnie zdrowszy. Ucieszył się na widok niespodziewanych gości.

Christian stanął z boku i obserwował Rosalyn, która uśmiechała się i wesoło rozmawiała z chorym. Gdy stwierdziła, że Jamy rzeczywiście czuje się lepiej, położyła na łóżku woreczek z pieniędzmi i wyjęła kopertę z kieszeni płaszcza.

Garret domyślił się, że jest w niej nagroda za walentynkę. Wielkoduszność Rosalyn wzruszyła go niemal do łez. Ostatnio zrobił się naprawdę bardzo sentymentalny. Dziwne. Kobieta, która go okłamała, teraz bez wahania oddała swoje pieniądze potrzebującej rodzinie. A tak marzyła o studiach.

Czyżby zrobiła to na pokaz? Chciała przekonać go, że nie jest złodziejką? Christian zawstydział się własnych myśli, ale nie mógł uwolnić się od podejrzeń. Ufał jej, a ona zrobiła z niego głupca. Dawno temu doszedł do wniosku, że kobiety są mistrzyniami przebiegłości. Rosalyn nie była wyjątkiem, o czym bardzo dobrze wiedział. Jej słodka, niewinna twarz już go nie zwiedzie.

- Urządziłyśmy aukcję i zebrałyśmy dla was pieniądze, Jamy. Znajdziecie sobie porządny dom,

wydobrzejesz i wrócisz do pracy. Wszystkie za tobą tęsknimy.

Pani Davidson krzyknęła z radości i uściskała syna. W oczach obojga lśniły łzy.

- Nie możemy... - zaczęła kobieta.

- Możecie i weźmiecie - przerwała jej Rosalyn. - Nie ma czego się wstydzić, pani Davidson. My też wiemy, co to są trudne czasy, prawda, Christianie?

Mężczyzna odruchowo skinął głową. To prawda. Bywały momenty, że on i jego matka przyjęliby z wdzięcznością podobny szlachetny gest. Znikąd jednak nie otrzymali pomocy. Nie mieli do kogo się zwrócić. Z wyjątkiem babki, która zażądała szczególnej zapłaty za przyjęcie ich do swego domu: całkowitej lojalności i podporządkowania, nawet za cenę uczciwości wobec siebie. Rosalyn też w pewnym momencie znalazła się na bruku, bez rodziny, przyjaciół, pieniędzy. Wzięła rubiny po to, by zapewnić sobie przetrwanie w obojętnym świecie.

Dobrze, że trafiła na pannę Howland. W przeciwnym razie sprzedawałaby biżuterię na mieszkanie i jedzenie.

- Christianie? Powinniśmy iść.

Garret otrząsnął się z zamyślenia. Na widok wilgotnych oczu Rosalyn ścisnęło mu się serce. Jak można udawać tak przekonująco? Czyżby mylił się co do niej?

- Tak, racja. - Zwrócił się do pani Davidson: -

Nie ma pani nic przeciwko zatrzymaniu szczeniaków na jakiś czas?

Kobieta machnęła ręką.

- Mówiłam panu, że to żaden kłopot. Tyle pan dla nas zrobił. Pozwolił nam pan tu zostać, póki Jamy nie wydobrzeje, karmi nas jak rodzinę królewską, psuje dziewczynki...

Zakłopotany Christian przerwał jej szybko:

- Kazałem panu Toombsowi poszukać niedrogiego i przyzwoitego mieszkania. Wkrótce na pewno znajdzie coś odpowiedniego w mieście.

- Jest pan zbyt łaskawy, panie Garret. Zawsze będę panu wdzięczna. Tutaj jest... miło, ale chciałabym mieć swój dom. - Pani Davidson wytarła zażawione oczy fartuchem i spojrzała na Rosalyn. - Mój Paddy był dobrym człowiekiem...

- Wcale nie był dobry. - Zachrypły głos Jamy'ego był prawie nie do rozpoznania. - Zostawił nas bez grosza!

Kobieta spiorunowała chłopca wzrokiem.

- Nie mów tak o swoim tacie...

Christian dał znak Rosalyn. Dyskretnie opuścili pokój. Gdy szli po schodach, goniły ich podniesione głosy matki i syna. Przed domem Garret zatrzymał Rosalyn, kładąc jej dłoń na ramieniu. Łagodnie obrócił ją do siebie i uniósł palcem brodę. Kiedy dziewczyna popatrzyła na niego spod mokrych rzęs, zaparło mu dech. Boże, ależ ona jest piękna!

- Skąd ten dziwny nastrój, Rosalyn? Powinnaś być szczęśliwa, a nie smutna.

Gdyby łzy kręcące się w jej oczach spadły na zaróżowione policzki, scałowałyby jedną po drugiej.

Dziewczyna przełknęła ślinę.

- Ty... Nie mogę uwierzyć w twoją dobroć - powiedziała zduszonym głosem. - Pozwoliłeś im mieszkać w domu Callie, żeby Jamy wyzdrowiał. Niewiele osób okazałoby taką wspaniałomyślność.

Christian zaśmiał się sucho. Wyglądało na to, że oboje są z natury nieufni.

- Ludzie w tym mieście są dla mnie mili. - Zbył jej ciepłe słowa, skrępowany jak zawsze, gdy przyłapano go na pomaganiu innym. - Ty dałaś Davidsonom niewiele mniej. - Kiedy Rosalyn opuściła wzrok, dodał: - Czy pieniądze, które wyjęłaś z płaszcza, to nagroda za walentynkę?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Potrzebują ich bardziej niż ja.

- A college? Nie mogłaś wykorzystać ich na opłacenie nauki?

Po krótkim wahaniu Rosalyn podniosła wzrok.

- Nie spodziewałam się tych pieniędzy, więc nie brałam ich pod uwagę w swoich planach. Chodźmy wreszcie.

Szybkim krokiem ruszyła do dorożki.

Idąc za nią, Christian zastanawiał się, czy już nigdy nie zdołają się porozumieć. Czy kiedykol-

wiek nauczą się ufać sobie nawzajem? Czy Rosalyn potrafi wybaczać?

Dlaczego w obecności panny Mitchell zapomina o całym świecie? Czy ją też ogarnia przy nim bezrozumne pożądanie?

Może spróbują od nowa? Wiedział, że nigdy *nie* przestanie o niej myśleć, a życie bez niej będzie puste i pozbawione sensu.

Nie umiał sobie wyobrazić, że nie widuje jej codziennie.

Czy to... Christian przełknął nerwowo ślinę. Mimo zimna na czoło wystąpił mu pot. Czy to miłość? Miłość, w którą nie wierzył i którą wyśmiewał?

Czy ona rzeczywiście istnieje?

To tylko żądza i nic więcej.

Z niewiadomego powodu dobrze znana odpowiedź raptem straciła swoją kojącą moc.

- Dokąd, panno Mitchell? - zapytał Willis, przytupując na mrozie.

Po chwili wahania Rosalyn powiedziała z rezygnacją:

- Do domu Ethel Poole. Niech mam to już za sobą.

- Znowu, panienko?

Willis uśmiechnął się ze współczuciem, budząc zdziwienie Garreta.

O co chodzi? Dlaczego Ethel Poole jest taka straszna?

Czyżby naprawdę zaczęły go pasjonować głupie zwyczaje walentynkowe? Tak, stwierdził zdumiony. To prawda!

- Radzę, żebyś zaczekał na mnie w powozie, gdy już dotrzemy na miejsce.

Zawstydzony niemęską ciekawością, zdobył się na nonszalancję.

- Trudno spisywać historię, siedząc w dorożce.

- Oboje wiemy, że twoje hobby to farsa, Christianie. - Gdy zmrużył oczy, dodała pospiesznie:

- Jak chcesz, ale pamiętaj, że cię ostrzegałam. W powietrzu mogą fruwać różne przedmioty.

Garret miał ochotę potrząsnąć nią z całej siły, ale postanowił, że nie da jej satysfakcji.

Gdy Rosalyn wsiadała do pojazdu, widok jej drżących pleców zirytował go najbardziej.

Nieznośna dziewczyna.

15

Popołudniowe słońce zaczęło topić lód okrywający gałęzie i krzaki. Od oślepiającego blasku i iskrzenia aż bolały oczy. Damy zasłaniały twarze parasolkami i omijały kałuże, drobiąc na palcach. Z drzew i dachów kapała woda, sprawiając nieostrożnym przechodniom zimny prysznic.

Rosalyn wysiadła z powozu przy Pine Street, ściskając w ręce walentynkę. Zadanie, które ją czekało, nie było proste. Ethel Poole w ciągu tygodnia dostała trzy podobne kartki i w końcu zagroziła pannie Mitchell Rosalyn, że następnym razem ją zabije. Sprawiała wrażenie, że mówi poważnie.

Tak czy inaczej, Rosalyn musiała wykonać zlecenie.

- Dobrze ci radzę, żebyś zaczekał - powiedziała, odwracając się do Garreta.

Mimo ostrego słońca było bardzo zimno. Dziewczyna zadrzała i postawiła kołnierz płaszcza. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby wrócić do stosunkowo ciepłej i bezpiecznej dorożki.

Christian bez słowa wziął ją pod ramię i spojrzął na nią życzliwie. Rosalyn oblizała wargi i wzruszyła ramionami. Uwolniła się i ruszyła ścieżką, uciekając od gorącego wzroku, który wyraźnie zdradzał myśli jej towarzysza.

- Nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Odpowiedział jej cichy śmiech. Dziewczyna przyspieszyła kroku. Jak długo będzie zachowywać chłód i rezerwę wobec Christiana Garreta, skoro spędzają razem cały dzień? Czyżby to wszystko sobie zaplanował w nadziei, że przebywając w jego towarzystwie ona w końcu zmieni decyzję?

Cóż, wkrótce Garret się przekona, jaka potrafi być uparta i silna!

Zastukała kołatką do drzwi białego domu. Sta-

rała się nie zwracać uwagi na mężczyznę, który stał tuż za nią. Bardzo blisko.

Potrzebowała sił, żeby po raz czwarty stawić czoło Ethel Poole. Kobieta była niegrzeczna i wybuchowa, dużo gorsza niż Tamera Brandewine. Rosalyn wręcz bała się o swoje życie.

Obejrzała się na Willisa. Dorożkarz uniósł kciuk w górę i uśmiechnął się szeroko.

A jeśli Ethel nie otworzy drzwi? Może akurat wyglądała przez okno i zobaczyła ją, jak wysiada z powozu?

Wtedy misja zakończyłaby się porażką.

Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że Rosalyn krzyknęła przestraszona i odruchowo zrobiła krok do tyłu. Wpadła na Christiana. Mężczyzna przytrzymał ją i uściśnął za ramiona, dodając otuchy. Przez chwilę czuła równomierne bicie jego serca.

- Jestem tutaj - szepnął jej do ucha.

Dziewczyna uśmiechnęła się ostrożnie do rozgniewanej kobiety, stojącej w progu. Ethel Poole była młoda i piękna, ale teraz szpeciły ją zaczerwienione oczy i gorzki grymas ust. Po mieście krążyły plotki, że Ethel przyłapała męża z inną kobietą. Co gorsza, rywalka była przed kilku laty ukochaną Rolanda.

Zdaniem Rosalyn, całą historię niepotrzebnie rozdmuchano, lecz pani Poole wbiła sobie do głowy, że mąż ją zdradził. Przed miesiącem wyrzuciła go z domu i oświadczyła, że nigdy mu nie wybaczy.

Przy ich burzliwym małżeństwie związek Marka Newmana i Tamery Brandewine wydawał się nudny.

Ethel nie traciła czasu na uprzejmości.

- Znowu panią przysłał? Mówiłam, żeby pani nie wracała, bo to nic nie da. Nie pogodzę się z nim. Ugania się za każdą spódnicą w mieście, a ludzie śmieją się za moimi plecami. Szepczą i współczują biednej Ethel. On pragnie innej, więc niech ją ma!

Rosalyn jęknęła w duchu, widząc, jak na szyję kobiety wypełza rumieniec gniewu. Nauczyła się już rozpoznawać oznaki jej wściekłości. Ostatnim razem pani Poole rzuciła w nią wazonem. Na szczęście nie trafiła. Ucierpiała jedynie kolumna ganku.

- Ja... Pan Poole nalegał. Jest nieszczęśliwy...

- I bardzo dobrze! Niech się wypłacze na ramieniu tej fladry. A teraz proszę sobie iść, zanim stracę cierpliwość.

Pani Poole podkreśliła swoje słowa, szturchając Rosalyn palcem w pierś, tak że spadłaby ze schodów, gdyby Christian jej nie podtrzymał. W dziewczynie też powoli narastał gniew, a obecność mężczyzny dodawała jej odwagi.

- Nie mogę odejść, póki pani tego nie weźmie. To moja praca.

Pani Poole nie wyciągnęła ręki po kartkę, którą podała jej Rosalyn.

- Nic mnie to nie obchodzi. Mam dość jego głupich walentynek! Te idiotyczne wierszyki na mnie nie działają! Może mu pani to powtórzyć.

Dziewczynie zrobiło się przykro, gdy usłyszała taką opinię o strofach, na których napisanie poświęciła sporo czasu.

- Mówi pani o człowieku, za którego wyszła pani za mąż - przypomniawszy, siląc się na spokój. - Przecież on panią kocha.

Kobieta prychnęła.

- Kocha? A co z wiernością? Przysięgał przed Bogiem, że będzie mi wierny, a co zrobił?

W oczach pani Poole pojawiły się łzy. Widać głęboko ją zraniła domniemana niewierność męża, ale ostatnią rzeczą, której oczekiwała, była liłość. Chyba wyczuła zmianę nastawienia u panny Mitchell, bo spiorunowała ją wzrokiem i bez słowa pożegnania zatrzaskała jej drzwi przed nosem.

Rosalyn usłyszała głośny szloch. Odwróciła się z ciężkim sercem. W dłoni nadal ścisnęła walentynkę. Roland oświadczył, że to będzie jego ostatnia próba pojednania.

Koniec. Rosalyn nienawidziła rozstań. Nie wątpiła, że Poole'owie się kochają, ale najwyraźniej ich miłość okazała się nie dość mocna, by przetrwać ciężką próbę.

Uniosła zażawione oczy. Zobaczyła, że Christian obserwuje ją i czeka cierpliwie. *Gdy* otworzył ramiona, przytuliła się do niego bez wahania. Pociągnęła nosem.

- Oni się kochają.

-Tak.

Rosalyn uznała, że Christian tylko ją pociesza.

- Naprawdę. Inaczej nie cierpieliby tak bardzo. Miłość czasami boli, wiesz.

Wyczuła, że mężczyzna napina mięśnie. Dlaczego to powiedziała? Teraz zacznie ją podejrzewać, że mówi z własnego doświadczenia. Nie chciała, żeby wyciągnął błędne wnioski.

- Byłaś zakochana?

A więc spytał! Kiedy wreszcie się nauczy trzymać język za zębami? Wytarła łzy i odsunęła się od Christiana. Patrzył na nich Willis. Może pani Poole zerkała przez okno. Wkrótce zaczną się plotki. Musi być ostrożniejsza.

- Powinniśmy iść.

Unikała badawczego wzroku mężczyzny, modląc się, żeby nie zażądał odpowiedzi na pytanie. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Gdy w końcu podał jej ramię, Rosalyn wypuściła powietrze z płuc. Błysk w oczach ostrzegł ją jednak, że Christian nie zapomniał, co mówiła o miłości.

- Dokąd teraz? - spytał, kiedy usiedli w powozie.

- Do hotelu Heartshore, gdzie zatrzymał się pan Poole. Obiecałam, że bezzwłocznie przyniosę mu odpowiedź.

Wcale nie paliło się jej do tej wizyty. Choć nie raz upominała samą siebie, że nie powinna tak emocjonalnie podchodzić do swojej pracy, teraz tak wyraźnie czuła ból skłóconych małżonków, jakby to ona przeżywała zawód miłosny.

Nim panna Mitchell skończyła wyjaśniać Rolandowi Poole, że jego żona odrzuciła kolejną próbę pojednania, Christian aż za dobrze poznał zielonookiego potwora zwanego zazdrością.

Patrząc, jak Rosalyn pociesza przystojnego mężczynę, miętosił kapelusz, żeby nie zacisnąć rąk na szyi Rolanda. Miał ochotę chwycić go za kołnierz, poderwać z kanapy i zdzielić pięścią w nos. Z trudem tłumiąc gniew, stanął przy oknie. Odwrócił się plecami *do* pokoju, bo nie mógł patrzeć, jak pan Poole opiera głowę na ramieniu Rosalyn.

Biedny idiota szłocha, jakby pękało mu serce, pomyślał bez cienia współczucia. Cóż, może jest nieszczęśliwy, ale czy musi opierać się na pannie Mitchell w taki sposób? Musi ścisnąć ją za ramię i wtulać twarz w jej szyję? Czy poczuł jej wyjątkowy zapach? Albo miękkość i jedwabistość skóry? Czy też go korci, żeby musnąć ją wargami?

Do diaska! Dłużej nie zniesie tej tortury. Rosalyn pocieszała Rolanda Poole'a jak małego chłopca z rozbitym kolanem. Garret uznał, że takie zachowanie jest bardzo niestosowne.

- Do diabła.

- Mówiłeś coś, Christianie?

Dziewczyna spojrzała na niego pytająco, jednocześnie klepiąc nieszczęsnego Rolanda po drżących plecach.

Garret natychmiast przybrał obojętną minę. Panna Mitchell z pewnością odczułaby wielką satysfak-

cję, gdyby dowiedziała się o jego szalonej zazdrości. Śmiałyby się z niego do następnego tygodnia! Ostentacyjnym gestem wyjął z kieszeni zegarek.

- Nie masz innych zleceń? - burknął.

Starał się nadać swej twarzy nieprzenikniony wyraz, ale czyż nie zdradził go ton? *Gdy oczy* Rosalyn rozszerzyły się lekko, zrozumiał, że popełnił błąd. Na ustach dziewczyny pojawił się domyślny uśmiezek. Christian wyobraził sobie, że przekłada ją przez kolano. Gdy znowu zaczęła gładzić po plecach nieszczęśliwego Poole'a, całkiem stracił cierpliwość.

- Chodźmy. Natychmiast.

- A pan Roland...

- Pan Poole wkrótce dojdzie do siebie, prawda?

Nieszczęśliwy mąż usiadł prosto i wytarł zapłakane oczy. Miał na tyle przyzwoitości, żeby wstydić się niemęskiego zachowania. Christian skrzywił usta. Pora, żeby ten człowiek przestał się mazgać. Bez mrugnięcia wytrzymał karcące spojrzenie Rosalyn. Powinna mu dziękować, bo inaczej siedzieliby tu cały dzień. Wolał nie wyobrazać sobie, do czego mogłoby dojść, gdyby nie jego obecność.

- Na pewno pan sobie poradzi? - spytała Rosalyn troskliwie. - Mogłabym zostać odrobinę dłużej...

- Nie. Panna Mitchell ma jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Christian nie przejmował się, że jest niegrzeczny. Wiedział, że się nie opanuje, jeśli ten człowiek

jeszcze raz dotknie Rosalyn. Wystarczy, że teraz patrzy na nią wzrokiem zbitego psa.

Garret podszedł do kanapy. Miał nadzieję, że mężczyzna zrozumie aluzję. Pan Poole spojrział na niego z zakłopotaniem.

- Przepraszam, że was zatrzymałem, panno Mitchell i panie...?

- Garret - odpowiedziała Rosalyn. - Christian Garret. To... mój przyjaciel, historyk. - W kącikach jej ust na moment pojawił się uśmiech. - Nie wiem, co panu poradzić, Rolandzie. Ethel jest uparta, ale może za kilka tygodni spróbuje pan jeszcze raz.

- Nie zdradziłem jej.

Christian z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. Nie przypuszczał, żeby Ethel bez powodu wyrzuciła męża z domu.

Rosalyn poklepała mężczyznę po ręce i uśmiechnęła się życzliwie.

- Wierzę ci, Rolandzie. Kiedyś Ethel też ci uwierzy.

Christian doszedł do wniosku, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, będą tu tkwić przez cały dzień, płacząc razem z Rolandem. Odchrząknął, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Kiedy oboje podnieśli na niego oczy, zapytał:

- Próbował pan udowodnić swoją niewinność, panie Poole?

- Udowodnić niewinność? Ethel?

Garret westchnął, ale nie stracił cierpliwości.

- Widziano pana z tą drugą kobietą?

Roland poprawił się niespokojnie na sofie.

- Shannon złożyła wizytę ciotce i wtedy przyszło jej do głowy, że chętnie zobaczyłaby się ze mną i porozmawiała. - Rzucił szybkie spojrzenie na Rosalyn i mówił dalej: - To było niewinne spotkanie. Nie sądziłem, że zrobi się z niego skandal. Zamierzałem powiedzieć Ethel...

- Ale ktoś pana uprzedził? - dokończył Christian łagodnie.

Pokiwał głową, zaskoczony, że uwierzył w słowa Rolanda. Tylko jak przekonać Ethel? Zamyślony podszedł do okna i wyjrzał na Main Street.

- Więc Shannon mogłaby wyjaśnić nieporozumienie, tak?

- Z pewnością.

- Ale czy pani Poole by jej uwierzyła? - wtrąciła Rosalyn z powątpiewaniem. - Ja sama nie wiedziałabym, co myśleć. Przecież Shannon mogłaby skłamać w pańskiej obronie.

Christiana rozbawiła kobieca logika. Dobrze, że Rosalyn nie widziała jego miny.

- Skąd więc ta pewność, panie Poole? - zapytał, odwracając się od okna z poważną już twarzą.

- Bo Shannon jest zakonnica.

Garret uznał, że się przesłyszał.

- Powiedział pan, że Shannon jest zakonnica?

Roland energicznie pokiwał głową.

- Tak.

- Dlaczego nie mówił pan od razu? - wycedził Christian przez zęby, nie ukrywając irytacji. - Czy pańska żona o tym wie? Nie powiedział jej pan? Na litość boską, człowieku!

- Christianie! - upomniała go Rosalyn. - Nie musisz krzyczeć!

Roland wstał.

- Nie miałem okazji wyjaśnić.

Garret przeniósł wzrok z nieszczęśliwej twarzy mężczyzny na Rosalyn.

- Chodźmy.

- Ethel nas nie wpuści. Może w ogóle nie otworzy drzwi - ostrzegł Roland.

- On ma rację, Christianie - poparła go Rosalyn.

- Przekonajmy się więc, dobrze?

Christianowi przyszedł do głowy pewien pomysł, ale na razie zachował go dla siebie. Ruszył do drzwi, potrząsając głową ze zdumieniem. Jak mógł do tego stopnia zaangażować się w sprawę panny Mitchell?

Ale czy mógł pozostać obojętny i trzymać się z boku?

- Zaskoczmy ją.

Rosalyn spojrzała na Christiana takim wzrokiem, jakby proponował obrabowanie banku. We trójkę przycupnęli pod zachodnią ścianą domu Poole'ow, niewidoczni z ulicy. Podwórze od sąsiedniego domu oddzielał wysoki żywopłot. Roland przypomniał sobie, że do tej pory nie napra-

wiono zamka w oknie rzadko używanego pokoju, który on i Ethel zamierzali kiedyś przeznaczyć dla dziecka.

- Jeśli się boisz, zaczekaj w powozie.

- Ale wy chcecie włamać się do czyjegoś domu - szepnęła dziewczyna z przejęciem.

- Doprawdy? Czy to nie pański dom, Rolandzie?

- Cóż...

Rosalyn dłonią zamknęła usta Poole'owi.

- Ciszej! Jeśli Ethel nas usłyszy, może się zdenewrować. - Łagodnie powiedziane. - Rolandzie, masz w domu broń?

Mężczyzna tylko skinął głową w odpowiedzi. Rosalyn jęknęła i rzuciła Christianowi posępne spojrzenie.

- Chcesz umrzeć, Garret? Bo ja nie!

Wstała i ruszyła do furtki. Plan Christiana był zbyt ryzykowny. Nie miała ochoty ponieść śmierci od kuli, nawet w imię ratowania miłości. Albo skończyć w więzieniu. Przed oczami stanęła jej twarz panny Howland.

Usłyszawszy skrzypnięcie, Rosalyn odwróciła się i zobaczyła, że mężczyźni wchodzą do domu przez okno.

Szałeńcy! A jeśli będą jej potrzebowali? Wzburzona Ethel prawdopodobnie nie zapamiętała Garreta. Gdy zobaczy obcego, zastrzeli go bez wahania.

A niech to! Nie może tak po prostu odejść, wie-

dząc, że Christian naraża się dla niej. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby coś mu się stało.

- Poczekajcie.

Roland zatrzymał się i obejrzał.

- Idzie pani?

- A jaki mam wybór? - burknęła.

Poole wśliznął się przez okno i wyciągnął do niej rękę. Dziewczynie jakoś udało się wgramolić do środka, choć przeszkadzały jej spódnice. Miała nadzieję, że jest to pierwsza i ostatnia tego rodzaju przygoda w jej życiu.

Pomieszczenie było puste, nie licząc kufra stojącego pod jedną ze ścian. Na wypolerowanej podłodze leżał nowy dywan. Ściany pomalowano na kremowy kolor. Rosalyn bez trudu wyobraziła sobie przestronny, jasny pokój dziecinny. Może wkrótce, jak dobrze pójdzie, Roland urządzi go zgodnie z przeznaczeniem.

Wygładziła ubranie, poprawiła włosy i spojrzała na mężczyznę.

- I co teraz, detektywie? - szepnęła do Christiana. - A może powinnam raczej powiedzieć „włamywaczu”?

Przebiegł ją dreszcz, gdy Christian zbliżył ku niej twarz. Zaparło jej dech w piersiach, ale nie cofnęła się, żeby nie dać mu satysfakcji.

- Oto plan.

Kiedy Garret spuścił z niej hipnotyzujący wzrok, ostrożnie zaczerpnęła oddechu i stwierdzi-

ła, że bezpieczniej będzie patrzeć na Rolanda. Drzwi były zamknięte, ale Christian na wszelki wypadek mówił ściszym głosem.

- Rosalyn, ty poszukaj Ethel. Jak ją znajdziesz, krzyknij.

- Mam krzyknąć? - Rosalyn zachichotała, choć wcale nie było jej do śmiechu. - Nic prostszego. Zwykle wrzeszczę, kiedy ktoś próbuje mnie udusić.

- Twój okrzyk będzie dla nas sygnałem. My wtedy przybiegniemy i we trójkę zmusimy Ethel, żeby wysłuchała historii męża.

- Pod warunkiem, że Roland będzie mógł mówić z nożem w gardle.

- Ściągnij wodze wyobraźni, Rosy.

Rosy. Zrobiło się jej gorąco, gdy usłyszała to zdrobienie z ust Christiana. Niech go lichy. Uśmiechnęła się szelmowsko i zsalutowała.

- Bądź ostrożna - szepnął Garret.

Rosalyn spoważniała.

- Ty też.

Nagle przypomniała sobie, że nie są sami. Zaczzerwieniła się i spojrzała na Rolanda. Mężczyzna obserwował ich z ciekawością. Ramiona skrzyżował na piersi, jakby nigdzie mu się nie spieszyło.

- I pan też, Ro... panie Poole.

Ruszyła do drzwi, ale Christian chwycił ją za ramiona, odwrócił do siebie i mocno pocałował. Gdy ją puścił, nie śmiała spojrzeć na Rolanda. Była pewna, że jej twarz mogłaby teraz oświetlić jaskinię.

- To na szczęście - szepnął Christian namiętnym głosem.

Pod Rosalyn ugięły się kolana. Poruszyła ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W końcu stwierdziła, że lepiej nic nie mówić, bo Christian od razu się zorientuje, jak na nią działa. Ha! Jakby już nie wiedział!

Wyszła z pokoju na drżących nogach. Rozejrzała się czujnie. Ani śladu Ethel. Po krótkim wahaniu postanowiła najpierw sprawdzić pomieszczenia znajdujące się po lewej stronie korytarza.

Dwie sypialnie, obie puste. Zawróciła, skradając się na palcach. Przez chwilę korciło ją, żeby po drodze zajrzeć do mężczyzn, ale zwalczyła pokusę. Bała się, że Christian ją wyśmieje.

Szła dalej, a serce biło jej tak mocno, że bała się, iż zagłuszy wszystko.

Gdzieś w głębi domu brzęknął garnek. Rosalyn zamarła i przez chwilę nasłuchiwała z przechyloną głową. Potem ruszyła w stronę, skąd dobiegł dźwięk. Więc Ethel krząta się po kuchni. Ale gdzie jest kuchnia? Rosalyn przygryzła wargę, modląc się o jakikolwiek odgłos: szuranie, kaszel, kichnięcie...

- Stój! - rozległ się za nią ostry kobiecy głos.

Rosalyn skrzywiła się i wzniosła oczy ku niebu. Prosiłam o inny znak, ale i tak ci dziękuję, Panie. Odwróciła się powoli.

I krzyknęła. Nie na widok strzelby, którą Ethel Poole trzymała z wielką wprawą. Przeraziła się,

gdy dostrzegła Christiana skradającego się za kobietą. Nie mógł widzieć broni.

Później wszystko potoczyło się tak szybko, że Rosalyn nie zdążyła zareagować. Musiał zdradzić ją wyraz twarzy, bo Ethel odwróciła się z szumem hałek. Christian Garret zamknął panią Poole w niedźwiedzim uścisku i próbował odebrać jej strzelbę. Kobieta wydała z siebie okrzyk wściekłości i gwałtownym ruchem uniosła broń. Masywna lufa trafiła napastnika w brodę.

Mężczyzna osunął się na podłogę. Rosalyn krzyknęła. Gospodyni odwróciła się w jej stronę i wymierzyła ze strzelby. Pod dziewczyną ugięły się nogi, gdy zobaczyła dzikie spojrzenie Ethel.

Zorientowała się, że Roland podchodzi z tyłu do żony, ale tym razem nie odważyła się nawet mrugnąć. Christian jęknął i znieruchomiał. Rosalyn w pierwszym odruchu chciała rzucić się ku niemu, ale wiedziała, że musi skupić na sobie uwagę pani Poole.

- Ethel, myli się pani co do męża. Kobieta, z którą się spotkał, jest zakonnicą.

Kobieta wytrzeszczyła oczy. Po chwili na jej twarzy odmalował się wyraz niedowierzania.

- Kłamiesz! Znam Shannon Cosmellow. Była zakochana w Rolandzie i chciała za niego wyjść.

- Może tak, ale teraz jest zakonnicą. Zakonnice nie mieszkają w romansów. Ona tylko chciała porozmawiać z nim jak z przyjacielem. Po powrocie do

domu Roland zamierzał opowiedzieć pani o tej niewinnej pogawędce.

Kobieta wyglądała na oszołomioną, ale opuściła broń.

- Nie dała mu pani nawet szansy, aby mógł się wytłumaczyć, prawda? - ciągnęła Rosalyn opanowanym głosem. - Czy osoba, która doniosła o spotkaniu, zna Shannon? Jak pani sądzi, dlaczego rzekoma przyjaciółka nie raczyła wspomnieć, że panna Cosmellow miała na sobie habit?

No dalej, myśl, Ethel. Rusz głową. Przestań kierować się emocjami.

- Panna Mitchell mówi prawdę - odezwał się Roland za plecami żony. - Shannon chciała mi podziękować, że z nią zerwałem, bo wkrótce potem zrozumiała, że jej przeznaczeniem jest zostać oblubienicą Chrystusa, a nie moją.

- Roland?

Gdy Ethel rzuciła broń,omal nie trafiając w głowę nieprzytomnego Christiana, Rosalyn uskokczyła pod ścianę. Dzięki Bogu, strzelba nie wypaliła.

Pani Poole przekroczyła leżącego i padła mężowi w ramiona. Oboje zaczęli mówić jedno przez drugie, nadrabiając stracony czas. Rosalyn obserwowała ich przez chwilę, a następnie podbiegła do rannego. Garret jęknął, kiedy dotknęła jego opuchniętej brody.

- Christianie? Słyszysz mnie? - Nie wiedziała, na ile poważne jest obrażenie. - Christianie? -

Tym razem w jej głosie zabrzmiała nuta paniki.

Nie namyślając się długo, Rosalyn delikatnie pocałowała Christiana w usta. Kiedy uniosła głowę, zamrugał powiekami i otworzył oczy. Wzrok miał trochę otępiały.

- Roland? - zapytał i jęknął, jakby mówienie sprawiało mu ból.

Rosalyn uświadomiła sobie, że kocha go bez pamięci, zwłaszcza w tej chwili, kiedy jest oszołomiony i bezradny.

- Roland ma się dobrze. Ethel również. Twój plan okazał się świetny. Szalony i niebezpieczny, ale genialny.

- Wcale... nie... taki... genialny. - Każde słowo wymawiał powoli, starając się za mocno nie ruszać szczęką.

- Możesz wstać?

Gdy z pomocą Rosalyn stanął w miarę pewnie na nogach, oboje spojrzeli na szczęśliwą parę. Sądząc po namiętym pocałunku, państwo Poole najwyraźniej zapomnieli, że mają towarzystwo.

Skrepowana gorącą sceną pojednania, ale zadowolona z rezultatu misji Rosalyn powiedziała do Christiana:

- Zrobiliśmy swoje. Chodźmy do hotelu. Trzeba przyłożyć łód do twojej opuchlizny.

- Uparci głupcy - wymamrotał Christian, idąc potulnie do wyjścia.

Zamykając za sobą drzwi, Rosalyn nie myślała

w ten sposób o państwie Poole. Zazdrościła im szczęścia.

Zimny wiatr porwał jej tęskne westchnienie.

16

Rosalyn nie miała ochoty rozstawać się z Christianem, ale nie mogła przebywać w pokoju hotelowym sam na sam z obcym mężczyzną. Poza tym zostało jej jeszcze sporo pracy. Dzień świętego Walentego zbliżał się wielkimi krokami. Panna Howland bardzo na nią liczyła.

Po raz trzeci przykazała Christianowi, żeby zamówił lód, i, choć niechętnie, pojechała dostarczyć dwie ostatnie walentynki. Gdy wróciła do firmy, okazało się, że czeka na nią jeszcze kilka zamówień.

Był wczesny wieczór, kiedy padła na łóżko, rozkoszując się błogą samotnością. Alice gdzieś zniknęła, a panna Howland zostawiła u gospodyni wiadomość, że zabrała ojca na posiedzenie rady miejskiej. Podobno ktoś chciał kupić papiernię. Z powodu zebrania kolacja miała zostać podana godzinę później niż zwykle.

Kochana Esther, dobra i troskliwa jak zawsze. Rosalyn westchnęła głęboko i spojrzała w sufit. Ręce założyła pod głowę i powędrowała myślami

ku chwili, kiedy Christian pocałował ją w domu przy Pine Street. Choćby nie wiadomo jak się różnili i wadzili, najwyraźniej byli sobie przeznaczeni. Bez wątpienia łączyło ich pożądanie.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Cóż za rozkosznie nieprzyzwoite słowo! Nie łądziła się, że Christian ją kocha. Wiedziała, że pragnie jej i potrzebuje, ale nie darzy głąbokim uczuciem. Czy umiałyby pogodzić się z brakiem wzajemności? Mimo wszystko nie straciła nadziei na prawdziwą miłość. Czasami dostrzegała w jego oczach dziwny wyraz, łągodność i czułość, które zwykle starannie ukrywał. Tylko dlaczego miałyby się maskować? Właśnie, dlaczego? Chyba że... chyba że się bał.

Rosalyn zachichotała. Cóż za absurdalny pomysł: Christian Garret i strach. Nie, ten mężczyzna nie lęka się niczego. Podejrzewała, że świadomie otoczył się panczerem.

Nic dziwnego. Jeśli mówił prawdę o swoim ojcu, powody ostrożności były całkiem zrozumiałe. Pewnie uważał, że lepiej nie oddawać Rosalyn serca, bo i tak któregoś dnia go porzuci.

Co za bzdury! To Christian odejdzie, wróci do Nowego Jorku, gdzie wokół niego zapewne kręca się chętne, sprytne kobiety...

Nagle opadły ją wspomnienia: Christian wręczający garść monet pani Davidson. Wyraz zakłopotania na jego twarzy, gdy śmiała się, że kupił sforeę psów. Wkrótce przed oczami stanęły jej wszystkie

dobre rzeczy, które zrobił od przybycia do miasta.

Uświadomiła sobie, że jest ich dużo. Nie były to postęпки człowieka bez serca, o, nie. Christian chętnie pomagał ludziom, a kiedy ostatnio zrobiono coś dla niego? Jak mogła go winić, że jej nie ufa, skoro z doświadczenia wiedział, że lepiej nikogo nie darzyć zaufaniem? Ona też go oszukała, powodowana gniewem i urażoną dumą.

Głęboko zamyślona, wstała z łóżka i wyjęła z pudełka walentynkę w rubinami. Gospodyni znalazła ją w saloniku i odniosła na miejsce, dzięki Bogu.

Dziewczyna usiadła i położyła kartkę na kolanach. Gryząc wargę, przez długą chwilę podziwiała drogocenną pamiątkę. Zgodnie z prawem rubiny należały do Christiana, a raczej do jego babki. Callie nie wiedziała, że nie wolno jej rozporządzać walentynką, ale ten fakt nie umniejszał winy Rosalyn, skoro znała prawdę.

Powinna zwrócić kamienie, zanim Garret przedstawi dowód własności. Wtedy będzie wiedział, że to jej własna decyzja.

Rosalyn od razu poprawił się humor. Udowodni Christianowi, że istnieją ludzie godni zaufania. Może wtedy otworzy się przed nią? Na pewno czuje, że łączy ich coś szczególnego. Nie zaprzeczy temu, choćby nie wiadomo jak się starał.

Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby nie spróbowała wszystkiego co w jej mocy, żeby Christian znowu jej uwierzył.

Ostatecznie, stawką jest jej serce.

Rosalyn włożyła walentynkę z powrotem do pudełka. Tylko ta kartka została jej jako pamiątka po przybranej matce, ale Callie na pewno pochwalałaby jej decyzję. Gdyby wiedziała, że mąż ukradł rubiny, tym bardziej nalegałaby na ich zwrot. Dzięki Bogu, że nie znała prawdy.

Rosalyn zeszła na dół i założyła płaszcz.

Na dworze już zapadł zmrok. Nie było wiatru. Zanosiło się na piękną, chłodną noc z wygwieżdżonym niebem. Dziewczyna położyła pudełko na ganku i zapięła guziki. Ruszyła ulicą. Spodziewała się, że minie trochę czasu, nim znajdzie dorożkę.

Lodowate powietrze wypędziło z niej resztki zmęczenia. Tak, to był długi, pracowity dzień, ale wkrótce zobaczy się z Christianem. Od razu zapomniała o całym świecie. Myślała tylko o jego reakcji.

Będzie zadowolony? Zmieni o niej zdanie? Nie chciała, żeby uważał ją za złodziejkę.

Za sobą usłyszała turkot kół. Kiedy powóz się zbliżył, z wielką ulgą stwierdziła, że to nie Willis. Dzięki Bogu! Znajomemu dorożkarzowi nie spodobałby się cel podróży. Może nawet odmówiłby podwiezienia jej do hotelu.

Rosalyn zatrzymała dorożkę. Rozpoznała woźnicę, który czasami zastępował Michaela, odkąd temu ostatniemu urodziło się kolejne dziecko.

- Daniel, prawda?

Mężczyzna był zaledwie kilka lat starszy od

niej. Zdziwiony uchylił kapelusza i zeskoczył z kozła. Rosalyn za późno uświadomiła sobie własny błąd. Powinna była milczeć, bo woźnica najwyraźniej jej nie pamiętał.

- Zabiła mi pan ówieka, panienko. Chyba pani nie znam.

Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu.

- Rosalyn Mitchell. Pracuję w wytwórni...

- Kupidyn! Pani jest Kupidynem! - Mężczyzna rzucił jej przyjazne spojrzenie. - Słyszałem o pani.

- Tak. Mam... - Odchrząknęła. Nigdy nie nauczy się przebiegłości i nigdy nie przyzwyczai się do tego, że ludzie nazywają ją Kupidynem. Gdyby wiedzieli, jaki zamęt panuje w jej sercu! - Mam przesyłkę do hotelu Bolten.

To nie jest kłamstwo, uspokoiła się w myślach i wsiadła do pojazdu.

Daniel wdrapał się na ławeczkę woźnicy. Koń ruszył szybkim kłusem i po paru minutach dorożka zatrzymała się przed hotelem. Mężczyzna otworzył drzwi, zanim Rosalyn zdążyła sięgnąć do klamki.

-Jesteśmy na miejscu, panno Mitchell. Chce pani, żebym zaczekał?

Dziewczyna potrząsnęła głową i zapłaciła drobnymi monetami, które zawsze trzymała w kieszeni. Kiedy Daniel odjechał w poszukiwaniu następnego pasażera, uniosła głowę i przyjrzała się rozjarzonym oknom na piętrze.

Gdzieś za jednym z tych okien Christian kuru-

je szczękę. Prawdopodobnie żałuje, że w ogóle ją spotkał tamtego nieszczęsnego dnia na dworcu.

A może postąpiła zbyt pochopnie, przyjeżdżając tutaj? Przygryzła wargę. Jeśli rubiny są jedynym powodem wizyty, co się stanie, kiedy już je odda? Czy Christian będzie zadowolony, że nie musi wymyślać pretekstów do kolejnych spotkań?

Czy jest gotowa, by wyznać prawdę?

Tak.

Rozprostowała ramiona i zdecydowanym krokiem weszła do hotelu. Recepcjonista zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, ale Rosalyn wcale nie poczuła się speszona. Niełatwo było ją speszyć. Gdy spojrzała mężczyźnie prosto w oczy, od razu zmienił wyraz twarzy.

- Mam paczkę dla pana Christiana Garreta. Może mi pan wskazać jego pokój?

Prośbę wygłosiła chłodnym, profesjonalnym tonem.

- Pokój dwieście pięć, panno...

- Dziękuję.

Rosalyn okręciła się na pięcie i ruszyła w stronę schodów. Wkrótce zadyszana stanęła przed wskazanym pokojem.

Przyszło jej do głowy, że w pudełku równie dobrze mogłoby znajdować się jej serce zamiast przeklętych rubinów.

Ciekawe, co wolałby Christian?

Zapukała, gotowa w każdej chwili zbiec po scho-

dach wyłożonych pluszowym dywanem. Czekanie się przedłużało. Co on robi? Czyżby odniósł większe obrażenia, niż sądziła, i teraz leży nieprzytomny na podłodze? Ethel wyglądała na silną kobietę, zdolną do zadania porządnego ciosu...

Nie namyślając się dłużej, chwyciła za klamkę i pchnęła drzwi. Wyobraźnia podsuwała jej obraz rannego i bezradnego Christiana.

Już w progu stwierdziła, że mężczyzna nie jest umierający. Był natomiast prawie nagi! Zdążył jedynie okręcić się ręcznikiem w pasie, dzięki Bogu. Reszta ciała lśniła od wody. Przyzwoitość nakazywała się wycofać, ale dziewczyna nie mogła odebrać wzroku od Christiana. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i szybko je zamknęła.

W dużej miedzianej balii, stojącej w rogu pokoju, falowała woda. Mężczyzna wyszedł prosto z kąpieli. Jeszcze przed chwilą siedział w niej całkiem goły. Rosalyn przełknęła ślinę.

- Pukałam, ale nie odpowiadałeś, więc pomyślałam... że coś ci się stało.

- Nic mi nie jest, ale na pewno dostanę zapalenia płuc, jeśli nie zamkniesz drzwi - powiedział Garret swobodnym tonem. Na wargach błąkał mu się kpiący uśmieszek.

W przeciwieństwie do niego Rosalyn czuła się skrępowana. Nie sądziła, że mężczyzna może wyglądać bez ubrania tak... inaczej. Prawdę mówiąc, nigdy nie wyobrażała sobie mężczyzny bez ubra-

nia. Widok podziałał na zmysły, obudził ciekawość. Co jest pod ręcznikiem?

- Chciałabyś zobaczyć?

Dziewczyna drgnęła, mocno zawstydzona pytaniem. O ile mogła sądzić po wyrazie jego oczu, czekały ją duże kłopoty.

- Nie! Nie! Przyszłam, żeby ci coś dać.

Garret uniósł brwi i w tym momencie Rosalyn uświadomiła sobie, jak musiały zabrzmieć te słowa. Twarz dziewczyny spłonęła rumieńcem.

- Sprawa jest ważna, ale widzę, że wyciągnęłam cię z kąpieli, więc przyjdę innym razem.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Nagle silne ręce otoczyły ją w talii i zatrzymały w pół kroku. Drzwi trzasnęły z hukiem, a ona znalazła się po ich niewłaściwej stronie.

Poczuła na karku ciepły, łaskoczący oddech, ale nie zrobiła żadnego ruchu.

- Zostań tu, gdzie jesteś, a ja zarzucę na siebie szlafrok, żeby nie urazić twoich delikatnych uczuć.

Ostrożnie wypuścił ją z objęć, jakby się bał, że niespodziewany gość znowu rzuci się do ucieczki.

Rosalyn nie miała takiego zamiaru. Zresztą i tak nie mogłaby się ruszyć, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Odwrócić się? Za nic! Nie mogła ufać nawet własnym oczom! Bezwstydna, oto jaka jest. Bezwstydna i rozwiązała. Chciała napatrzeć się na Christiana, zapamiętać każdy szczegół jego ciała. Na razie dostrzegła szeroki tors, wąskie bio-

dra, umięśniony brzuch i długie, mocne nogi...

A pod ręcznikiem?

Stała sztywno i czekała. Odczuwała napięcie, ale nie strach. A może jednak strach, lecz innego rodzaju? Bała się własnych reakcji, lecz przede wszystkim żal jej było, że nie dowie się, jakie to uczucie pieścić twardego brzuch, przytulić się do muskularnej piersi. Co byłoby dalej? Powinna wyjść teraz, mimo iż wie, że może już nigdy nie zobaczy mężczyzny, którego naprawdę kocha? Wspomnienia miałyby wystarczyć jej aż po koniec życia? Czy mogłaby żyć ze świadomością, że zmarnowała szansę na miłość?

- Rosalyn. Odwróć się.

Dziewczyna uznała w końcu, że piękne przeżycie warte jest chwilowego odstępstwa od zasad. Wzięła głęboki oddech, zrobiła to, o co ją poprosił Christian i... Czyżby uważał, że teraz wygląda przyzwoicie? Szlafrok miał rozchyłony niemal do pasa. Dobrze choć, że uda są zakryte, pomyślała Rosalyn oszołomiona.

- Zdejmij płaszcz.

Podszedł do niej wolno. Dziewczyna próbowała oddychać równomiernie, ale z trudem łapała powietrze. W pokoju było gorąco... Naprawdę? Jak sparaliżowana patrzyła na zbliżającego się mężczyznę. Bezwolnie pozwoliła mu rozpiąć guziki i zsunąć z ramion grube okrycie. Starła się nie myśleć.

Nic z tego. Gdy oprócz siniaka zobaczyła cień

zarostu, od razu nasunęło się jej pytanie, czy rano broda Christiana byłaby kłująca.

Garret powiesił płaszcz na haku przy drzwiach i odwrócił się do niej. Rosalyn oblizała wargi. Spozstrzegła, że wzrok mężczyzny padł na jej usta. Czyżby rozmyślnie go prowokowała? Nic podobnego. Przyszła tutaj, żeby oddać rubiny, a nie uwieść kogoś, kto nie wierzył w miłość i małżeńskie szczęście.

- Co masz dla mnie, Rosy?

Głos Christiana był lekko zachrypnięty. Czyżby jemu też udzielił się nastrój chwili? Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, zauważyła, jak bardzo jest spięty. Jego ciemnobrązowe oczy jeszcze bardziej pociemniały z pożądania.

Po plecach przebiegł jej dreszcz, w żołądku poczuła ściskanie. Podjęła ostatnią próbę odzyskania zdrowego rozsądku.

- To... walentynka z rubinami. Daję ci ją..

- Dlaczego?

Zrobił krok w jej stronę. Szlafrok rozchylił się mocniej. Rosalyn korciło, żeby spojrzeć tam, gdzie nie powinna.

- D-dlaczego? Ja...

- Wcale nie przyszłaś do mnie po to, żeby oddać rubiny, prawda?

Niski i zmysłowy głos pozbawił ją resztek silnej woli. Ha! Jakby miał czego jej pozbawiać!

Christian podszedł bliżej. Rosalyn zaparło dech. W jego obecności zawsze miała trudności z oddycha-

niem, podczas gdy on wydawał się taki spokojny. Chciałaby, żeby choć raz stracił panowanie nad sobą. Nie wiedziała jednak, jak do tego doprowadzić...

Christian wyjął pudełko z jej drżących rąk i upuścił je na podłogę. Zaprowadził Rosalyn do łóżka, posadził ją delikatnie i sam usiadł obok. Ujął ją pod brodę i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

Dziewczyna przełknęła ślinę.

- Czujesz to samo co ja, prawda, Rosy?

Ciepłe usta musnęły jej policzek, zsunęły się na szyję. Rosalyn zamknęła oczy. Gdy Christian położył ją na plecach, nie broniła się, tylko ujęła w dłonie jego twarz i śmiało przyciągnęła do siebie. Tym razem ona pocałowała go namiętnie.

- Wiesz, co robisz? - spytał zduszonym głosem.

Rosalyn poddała się bez oporu. Kochała tego mężczyznę. Bardzo jej się podobało wszystko, co z nią robił. Lubiła, kiedy tulił ją mocno do nagiego torsu, lubiła, gdy całował z pasją. Gdy poczuła na udzie rozpaloną dłoń, też nie zaprotestowała.

Zsunęła Christianowi szlafrok z ramion, pogłaskała twardą pierś, przytuliła do niej twarz, wdychając męski zapach. Pod policzkiem wyczuła bicie serca. Przesunęła dłońmi po płaskim brzuchu, sięgnęła niżej, wiedziona ciekawością.

Zaskoczony Christian w pierwszej chwili znieruchomiał, a potem zaczął rozpinać jej bluzkę z taką samą niecierpliwością, z jaką ona go pieściła. Musnął wargami nagie piersi, a następnie wolno podciągnął

spódnicę. Rosalyn aż drżała z pożądania. Objęła go mocno za szyję i instynktownie uniosła biodra.

Christian znieruchomiał.

- Nie przerywaj - wyszeptała dziewczyna, odychając ciężko.

Spojrzał jej w oczy.

- Nie wiesz, co robisz - powiedział cicho, bardziej z czułością niż z rozczarowaniem.

Rosalyn odgarnęła czarne loki z jego czoła.

- Ufam ci.

Christian przycisnął gorące wargi do wnętrza jej dłoni. Doznanie było piorunujące. Rosalyn przebiegł dreszcz. Wygięła ciało w łuk, a Chris ujął jej piersi w dłonie i wtulił twarz w falującą miękkość.

- Dlaczego? - dobiegło stłumione pytanie.

Gorący oddech aż parzył skórę. Rosalyn zanurzyła palce w jedwabistych włosach i mocniej przyciągnęła do siebie Christiana. Pragnęła go całą duszą i ciałem.

- Bo cię kocham.

Wstrzymała oddech, drżąc z oczekiwania. Christian nie odpowiedział słowami.

Pocałował ją czule i zaczął delikatnie pieścić rozpalone ciało, aż zapomniała, że wcale nie wyznał jej miłości. Ogarnięta gwałtownym pożądaniem, otoczyła ramionami jego szyję i przysunęła usta do jego ucha.

- Co dalej, Christianie? Pragnę cię...

Usłyszała krótki śmiech, a po nim westchnienie żalu. Uwolnił się z jej objęć i przetoczył na bok.

Rosalyn zmarszczyła brwi. Co go tak rozbawiło? Czy możliwe, żeby nie czuł tego samego co ona?

Kiedy jednak uniósł się na łokciu i na nią spojrział, w jego oczach dostrzegła żądzę.

Dlaczego więc zrezygnował ze spełnienia? Coś zrobiła źle? Powiedziała coś nie tak?

- Ubierz się.

Rosalyn zamruwała. Co się stało?

- Chcę...

- Nie wiesz, czego chcesz, Rosy - stwierdził Christian cicho.

Oszołomiona, ale zdeterminowana, położyła dłoń na jego udzie i wolno zaczęła przesuwać ją w górę. Zamierzała mu udowodnić, że dokładnie wie, czego chce. Mężczyzna chwycił ją za rękę.

- Nie.

Rosalyn ostygła w jednej chwili. Wcale jej nie pragnął, w każdym razie nie tak mocno jak ona jego. Odtrącił ją. Przez cały czas udawał pożądanie, słał gorące spojrzenia, uwodził. Gdy tylko dostał rubiny, od razu stracił zainteresowanie jej osobą.

Zerwała się z łóżka. Poprawiła bluzkę, przygładziła włosy i dumnym krokiem ruszyła do wyjścia, choć nogi pod nią się uginały. Gdy zobaczyła pudełko leżące na podłodze, kopnęła je z taką siłą, że z głuchym hukiem uderzyło o ścianę.

Zerwała płaszcz z wieszaka i wyszła, nie oglądając się. Nie zamknęła za sobą drzwi. Niech piekło pochłonie tego łajdaka bez serca! Gdy schodziła po

schodach, prawie nic nie widziała przez łyzy.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się taka upokorzona.

Christian upewnił się, że Rosalyn już nie wróci, i dopiero wtedy zamknął drzwi. Po raz drugi nie zdołałby się opanować.

Czy zrozumiałaby, gdyby próbował się wytłumaczyć? Marszcząc brwi, podszedł do barku i nalał sobie brandy.

Może powinien wyjaśnić, że podjął decyzję, gdy usłyszał miłosne wyznanie. Nie mógł jej uwieść po tym, jak spojrzał w piękne, ufne oczy. Wiedział, że nazajutrz żałowałaby tego, co zrobiła.

Kochał Rosalyn i tylko z tego powodu nie mógł odebrać jej dziewictwa i szacunku do samej siebie, choćby z uporem zapewniała, że wie, czego chce.

Sam musi najpierw podjąć pewne kroki, zanim uzna się za godnego miłości kogoś tak wyjątkowego jak Rosalyn. Zanim powie, że ją kocha, musi naprawić krzywdy wyrządzone przez ojca.

Spojrzał na pudełko leżące pod ścianą, pogięte i rozdarte z jednej strony. Uśmiechnął się. Zachowanie Rosalyn wyraźniej niż słowa mówiło, co dziewczyna o nim sądzi.

Naprawdę uważała, że przestał jej pragnąć, gdy odzyskał rubiny? Od dnia, kiedy się spotkali, nie ukrywał, jak bardzo jej pożąda. A teraz nagle, bez wyraźnego powodu, ochłódł...

Ale mimo całej naiwności Rosalyn musiała czuć, że nie potrafiłby aż tak dobrze udawać namiętności. Do diabła, omal nie stracił panowania nad sobą. Nigdy nie zapomni, jakiej siły woli wymagało od niego powstrzymanie się w ostatniej chwili.

Jeszcze teraz krew w nim pulsowała na wspomnienie jej zamglonych oczu, pocałunków i zapachu, kobiecego, słodkiego, przypominającego woń kapryfolium.

Raptem poczuł, że lód skuwający jego serce zaczyna się topić, a na jego miejsce pojawia się miłe ciepło. W końcu musiał przyznać się przed samym sobą, że już od dłuższego czasu lekceważył te nowe doznania.

Pewnego dnia, już niedługo, panna Mitchell zostanie jego żoną i kochanką, a później matką jego dzieci, niezależnie od tego, co zrobiła.

Wszystko to powie Rosalyn, kiedy stwierdzi, że jest jej godzien.

Już on wtedy pokaże tej nieznośnej dziewczynie!

Christian znalazł Royce'a Tibera w barze. Po krótkiej popołudniowej przerwie większość by-

walców wróciła do pracy. Zostało tylko paru, nie znał ich nawet z widzenia.

Garret z zadowoleniem skinął głową. Sytuacja bardzo mu odpowiadała. Nie chciał, żeby przedwcześnie dowiedziano się o jego planach.

Stojąc w drzwiach, przez chwilę przyglądał się mężczyźnie zgarbionemu nad szklanką piwa. Wyglądał tak samo jak poprzednim razem, tylko buty miał chyba jeszcze bardziej zniszczone. Roztaczał wokół siebie atmosferę beznadziejności i klęski.

Nie podniósł oczu, gdy Christian usiadł na sąsiednim stołku i dał znak barmanowi.

- Jeszcze jedną kolejkę dla Tibera. Dla mnie to samo.

Poczuł na sobie wzrok mężczyzny, ale nie odwrócił głowy. Chciał, żeby on odezwał się pierwszy. Nie czekał długo.

- Nie radzę, człowieku z miasta. Piję najtańsze paskudztwo.

Tiber mówił ochrypłym głosem, widać dawno nie używanym. Christian wzruszył ramionami, zerknął na sąsiada i przeniósł spojrzenie na wyraźnie zaciekawionego barmana.

- W takim razie dwa kufle czegoś porządnego. Dzisiaj świętujemy.

Kątem oka dostrzegł, że Tiber zeszywniał, a następnie wyprostował się i odwrócił ku niemu całym ciałem.

- Nie znam cię, człowieku. Widziałem pana tu-

taj z paroma gośćmi, z którymi już się nie zadaje. Kim pan jest, u licha?

Całkiem długa przemowa, pomyślał Christian i w duchu przygotował się na burzę.

- Nazywam się Christian Garret.

Przy barze zapadła całkowita cisza. W oczach Tibera Christian dostrzegł osłupienie. Wiedział, że zaraz ujrzy w nich gniew i wrogość.

Zdziwił się mocno, gdy Tiber odsonił w szerokim uśmiechu zepsute zęby, chwycił go za rękę i zaczął potrząsać nią energicznie.

- A niech mnie, syn Henry'ego! Od razu pomyślałem, że wyglądasz mi znajomo, ale nie mogłem skojarzyć twarzy!

Wciąż ściskając mu dłoń, drugą ręką klepnął go po plecach tak mocno, że Christian omal nie odgryzł sobie języka. Na Boga, mimo opłakanego wyglądu ten człowiek miał siłę wołu.

Raptem w lekko zamglonych brązowych oczach pojawił się smutek.

- Żal mi starego Henry'ego, synu. Był dobrym przyjacielem.

Dobrym przyjacielem? Co ten pijaczek wygaduje? Merl, Boots, Willis i Michael zgodnie twierdzili, że to Henry Garret doprowadził do upadku Tibera, niegdyś szanowanego obywatela Worcester. Christian uwolnił dłoń i pociągnął duży łyk piwa. Zanim tu przyszedł, spodziewał się urazy ze strony tego człowieka, pogardy, wściekłości. Sądził, że

będzie musiał przekonywać Tibera do zawarcia umowy, ale teraz już sam nie wiedział, co myśleć.

Odstawił kufel, wytarł usta i odwrócił się do Royce'a, na którego twarzy radość mieszała się ze smutkiem.

- Nie przypuszczałem, że ucieszy pana mój widok.

Mężczyzna odchylił się do tyłu na stołku i popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Miałbym nie być zadowolony z poznania syna Henry'ego? Przecież on o nikim innym nie mówił. Christian to, Christian tamto.

Garret uznał, że słuch go zawodzi. Potrząsnął głową.

- Tak, mówił o panu przez cały czas - powtórzył Tiber z przekonaniem.

Nie, to niemożliwe. Ojciec nigdy nie poświęcił im ani jednej myśli, odkąd ich zostawił. Nigdy nie uwierzy w nedorzeczną historyjkę, wymyśloną przez miejscowego pijaka i hazardzistę. Z drugiej strony, czy już raz nie pomylił się co do Rosalyn?

- Tiber...

- Royce, proszę mi mówić Royce. Tak jak Henry. Niech mnie diabli, jeśli to nie jest najdziwniejsza rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła!

Napił się piwa i uśmiechnął szeroko. Płyn pociekł mu na brodę i wyświechtany płaszcz.

- Myślałem, że to mój oj... Henry wciągnął cię do hazardu.

Teraz Tiber sobie wszystko przypomni. A mo-

że nie? Może zwariował po tym, jak stał się wyrzutkiem w swoim mieście? Kto mógłby go winić?

Mężczyzna zaśmiał się chrapliwie. Christian poczuł się nieswojo. Tak, miał rację.

- Może i tak, ale później próbował zniechęcić mnie do gry. Kilka razy groził, że przestrzeli mi rękę. - Tiber uśmiechnął się i potrząsnął głową. - I zrobiłby to, gdyby nie umarł. - Nagle sposepniał. - Był dobrym człowiekiem, synu. Powinieneś być z niego dumny.

Czy to możliwe, żeby wszyscy się mylili? Dlaczego nie? Na twarzy Christiana musiało odmalować się powątpiewanie, bo Tiber dodał:

- Niektórzy obwiniają Henry'ego za moją... głupotę, jak ja to nazywam, ale są w błędzie. Twój ojciec wiedział, że potrzebuję pieniędzy. Chciałem wymienić starą maszynę w papierni na nową, która nie będzie psuć się co tydzień. Doradził mi, jak podwoić sumę, którą już miałem. Zabrał mnie ze sobą kilka razy, a potem... cóż, wpadłem w sidła. - W jego głosie zabrzmiał żal. - Nie, Henry nie jest winny. To ja powinienem być mądrzejszy. Za późno zrozumiałem, że hazard to nic dobrego. Henry próbował mnie ratować, pilnował na każdym kroku, ale nie pomogło.

Christian w milczeniu słuchał zaskakującej opowieści. Nie dziwił się, że Merl, Boots, Michael i Willis inaczej widzą całą sprawę. Tiber był jednym z nich, a Henry Garret człowiekiem z miasta, obcym. Naturalne więc, że odnosili się do niego nieufnie.

Wszyscy brali stronę Royce'a. Przynajmniej póki nie zamknięto papierni i ludzie nie stracili pracy. Dopiero wtedy zwrócili się przeciwko niemu.

Christian postanowił podjąć kilka przedsięwzięć, nie zważając na opinię mieszkańców Worcester. Potrzebne mu było doświadczenie Tibera.

Zamówił następną kolejkę i czekał, aż wścibski barman zostawi ich w spokoju. Kiedy ten zwlekał z odejściem, Garret spiorunował go wzrokiem. Mężczyzna wymamrotał coś pod nosem i usunął się w drugi koniec baru.

Tiber spił piankę z kufła i mlasnął z aprobatą.

- Dużo lepsze niż ta lura, którą zwykle piję. Bardzo dziękuję, panie Garret.

- Christian.

Royce uśmiechnął się od ucha do ucha.

- W porządku, Christianie. Do twojego ojca mówiłem po imieniu, więc nie widzę powodu, żeby tak samo nie zwracać się do ciebie.

Uniósł kufel. Z jego twarzy zniknął bez śladu niedawny posępny wyraz.

Teraz albo nigdy, pomyślał Christian.

- Otwieram papiernię i chcę przyjąć cię do pracy.

Tiber, który akurat pociągnął duży łyk piwa, zaczął pluć, krztusić się i kaszleć. Barman łypnął na niego z niesmakiem, chwycił szmatę i wytarł blat.

Wreszcie Royce złapał oddech. Oczy miał jak spodki.

- Dajesz mi pracę?

Christian uniósł brew.

- Nie podoba ci się propozycja?

- Nie, ależ skąd. Nic podobnego. Tylko mnie zaskoczyłeś. A konkretnie co masz na myśli? - spytał z nagłą podejrziwością.

- Stanowisko kierownika.

- To dobra praca. Biorę.

Tiber wyciągnął dłoń, ale Christian oburącz chwycił kufel.

- Szukam również dobrego brygadzysty. Masz jakiś pomysł?

- Najlepszym brygadzystą był Patrick. Potrafił dopilnować ludzi. Trudno będzie znaleźć lepszego.

Christianowi cudem udało się przełknąć piwo. Patrick.... Ojciec Jamy'ego.

- Sądziłem, że wyjechał z miasta.

Tiber przysunął się bliżej i ściszył głos.

- Ludzie tak myślą, ale ja wiem na pewno, że Patrick kręci się w pobliżu. Rozmawiam z nim od czasu do czasu. Czasami w tajemnicy wożę mu jedzenie.

Więc plotki nie były całkiem wysrane z palca. Christian nie mógł jednak zapomnieć o Jamym, Holy, Julie i biednej pani Davidson. Nie potrafił wzbudzić w sobie szacunku wobec człowieka, który opuścił rodzinę, ale wiedział, że nie powinien kierować się osobistymi sympatiami. Rosalyn z pewnością też uznałyby zatrudnienie Patricka Davidsona za rozsądne posunięcie.

Garret położył kilka dolarów na barze.

- Royce, masz za zadanie skompletować załogę. Na początek weź tych, którzy pierwsi stracili pracę, z wyjątkiem Patricka. Powiedz im, że papiernia zostanie uruchomiona tydzień po dniu świętego Walentego. Odszukaj Patricka Davidsona i przekaz mu, że chciałbym z nim porozmawiać.

- Nie zatrudnisz go?

Christian zawahał się. Miał ochotę warknąć: „Nie, do diabła”, ale wiedział, że nie może tego zrobić ze względu na Jamy'ego.

- Zobaczę.

Może Patrick nie odważy się przyjść na spotkanie? Christian zawstydział się tej myśli, ale szybko stłumił w sobie poczucie winy. Nie bez powodu uważał Davidsona za tchórza.

Miał jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Gdy zobaczył, że barman nie patrzy w ich stronę, wepchnął garść banknotów do kieszeni brudnego płaszcza Tibera.

- Kup sobie jakieś ubranie i znajdź porządny hotel.

Gdy mężczyzna otworzył usta, żeby zaprotestować, Garret nie dopuścił go do słowa.

- Uznaj te pieniądze za zaliczkę na poczet pierwszej pensji.

Royce uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Jesteś taki jak twój stary.

Christian zmrużył oczy.

- Nie podoba mi się to porównanie. Nie sądzę, żebym potrafił odejść od żony i dziecka.

Wstał i ruszył do drzwi.

- Ta stara jędza nie dała mu wyboru, synu - rzu-
cił za nim Tiber.

Christian zamarł w pół kroku i powoli się obejrzał.

- Co powiedziałaś?

Mężczyzna poprawił się niespokojnie na baro-
wym stołku.

- Stara jędza, twoja babka. Nie dała mu żadne-
go wyboru. - Na twarzy Tobera pojawiło się za-
kłopotanie. - Nie powinienem był tego mówić.
Henry'emu nie spodobałoby się moje gadulstwo.

Christian spiorunował Royce'a wzrokiem i za-
wrócił *do* baru.

- Co ty bredzisz? Co moja babka miała wspólnego z tym, że ojciec nas zostawił?

- Lepiej usiądź, synu.

- Nie mogę uwierzyć! Nie mogę uwierzyć, że
będę świadkiem oświadczyn stulecia!

Z podniecenia Alice nie mogła usiedzieć w miejsca

- Nie wiadomo - ostudziła ją Rosalyn.

Przyjaciółka zlekceważyła uwagę.

- Nie gniewasz się, że panna Howland wyzna-
czyła mnie tobie do pomocy na kilka ostatnich dni?

Rosalyn milczała, zastanawiając się, kto zosta-
wił różową różę na siedzeniu powozu. Piękny
kwiat był pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, kiedy
razem z Alice wsiadły rano do dorożki.

Róża w zimie?

Kto ją zostawił?

Roztargniony pasażer? Willis?

Christian?

Alice najwyraźniej doszła do wniosku, że przyjaciółka nie zamierza odpowiedzieć.

- Panna Howland na pewno doskonale poradzi sobie w sklepie - bąknęła niepewnie.

Rosalyn odwróciła twarz, żeby ukryć uśmiech. Dziewczyna chyba zapomniała, że panna Howland prowadziła sklep na długo przed przyjęciem jej do pracy.

- Nie mam nic przeciwko twojemu towarzystwu, ale przestań wreszcie podskakiwać.

Niewiele spała, odkąd... Nie, nie będzie o tym myśleć w obecności czujnej przyjaciółki. Żeby czymś zająć ręce, zaczęła bawić się ozdobnym koszykiem, który trzymała na kolanach. Na czerwonej satynie leżało dębowe serce wielkości talerza, polakierowane i lśniące jak lustro.

Wynette pracowicie ozdobiła je czerwonymi kokardkami. Wygrawerowane na nim miłosne słowa Rosalyn znała na pamięć, bo sama je ułożyła.

Alice wkładała wiele wysiłku w to, żeby siedzieć spokojnie, ale jej oczy rzucały iskry, a dłonie w białych rękawiczkach miętosiły suknię. Wyglądała bardzo ładnie w blad różowej satynie, doskonale pasującej do jej rudych włosów.

Rosalyn miała na sobie jedną z nowych kreacji, które dla niej zamówiła panna Howland. Bolały ją

plecy, bo starała się nie opierać, żeby nie pognieść białych aksamitnych wstążek, zdobiących pasteloworóżową górę i sutą spódnicę z czerwonej satyny. Uważała, że droga i strojna suknia nadaje się raczej na bal niż do pracy. Czuła się w niej nieswojo w środku dnia.

- Walentynkowe kolory dla Kupidyna - powiedziała z dumą panna Howland.

Rosalyn nie miała serca zaprotestować. Róża, którą znalazła w powozie, doskonale pasowała do stroju, jakby ktoś specjalnie ją dobrał. Ale to przecież niemożliwe?

Dziewczyna potrząsnęła głową, karcąc się w duchu za głupie, romantyczne myśli. Ktoś zostawił kwiat przez pomyłkę i teraz pewnie robił sobie wyrzuty.

Skąd przypuszczenie, że róża jest od Christiana? Garret wyraźnie dał do zrozumienia, że wcale jej nie pragnie. Nadal nie mogła uwierzyć, że prawie rzuciła się na niego. Wspomnienie tamtego dnia wciąż ją prześladowało. Po wyjściu z hotelu złapała dorożkę i pojechała do domu. Zrezygnowała z kolacji i płaczem ukołysała się do snu. Rano czuła już tylko gniew, o wiele łatwiejszy do zniesienia niż ból z poprzedniej nocy.

Garret zachował się podle. Oddała mu rubiny, więc wszystko, co stało się potem, było okrutną i bezsensowną grą, która miała ją jedynie upokorzyć.

Żałowała, że nie potrafi nienawidzić Christiana. Czuła urazę i złość, ale nadal go kochała. Przed świętem zrozumiała, że miłość jest niezależna od woli.

- Jesteśmy na miejscu, Rosy. Spójrz. Ciekawe, jak to jest mieszkać w tak wspaniałym domu?

Podkscytowany głos Alice wyrwał ją z zamyślenia. Odpędziła przykre myśli i wyrzała przez okno. Dorożka jechała aleją obsadzoną z obu stron nienagannie wypielęgnowanym żywopłotem. Rosalyn nie pierwszy raz widziała rezydencję Kingswayów, ale nigdy z tak bliskiej odległości. W dodatku teraz miała od środka zobaczyć czterdziestopokojowy pałac.

Przez ostatnie dwa lata o względy Maxine Kingsway starali się wszyscy okoliczni kawalerowie. Żadnemu nie udało się zdobyć jej serca. Do niedawna. Szczęśliwym wybrankiem został sam Norman Avernick. Najbogatszy obywatel Worcester mieszkał na skraju miasta, w domu równie dużym i eleganckim jak siedziba Kingswayów. Niektórzy kręcili nosami na połączenie się dwóch największych miejscowych fortun. Panna Howland i jej pracownicy uważały, że cała historia jest bardzo romantyczna.

Para wydawała się dla siebie stworzona. Oboje bogaci, w młodym wieku stracili rodziców. Maxine mieszkała teraz ze starym dziadkiem, Norman z równie starą babką. Chodziły plotki, że to seniorzy zaaranżowali małżeństwo wnuków.

Rosalyn była przekonana, że Norman wcale nie szaleje za Maxine. Odkąd dostała pracę, miała okazję napatrzeć się na prawdziwie zakochanych. Państwo Dillon bardzo się kochali. Podobnie jak

Mark Newman i panna Brandewine, choć z początku Rosalyn wątpiła w miłość Tamery. Rolanda i Ethel również łączyło silne uczucie.

Przed oczami dziewczyny przewinęło się wiele innych par. Dobrze pamiętała wyraz ich twarzy. Pan Avernick sprawiał natomiast wrażenie zupełnie obojętnego.

Może w plotkach rzeczywiście było ziarno prawdy? Może chodziło tylko o pieniądze?

Rosalyn skrzywiła usta. A może ona, mając złamane serce, nie potrafiła znieść widoku cudzego szczęścia?

Ścisnęła Alice za ramię, nakazując jej milczenie, i uśmiechnęła się do pokojówki.

- Mamy przesyłkę dla Maxine Kingsway.

Służąca zaprosiła je do środka. Kiedy szły za nią przez rozległy hol, wyłożony grubym dywanem, Rosalyn musiała ciągnąć przyjaciółkę za łokieć.

- Będziesz się gapić w drodze do wyjścia - skarciła ją, gdy znalazły się w niedużym saloniku dla gości. - Zresztą tu też jest na co popatrzeć.

Alice zamruła i skinęła głową, oszołomiona przepychem wnętrza.

Kilka minut później w holu rozbrzmiały kroki i do pokoju weszła Maxine w kremowej sukni z satyny i koronki, świetnie dobranej do ciemnych, gęstych włosów i zielonych oczu. Kobieta była szczupła i drobna. Rosalyn poczuła się przy niej jak brzydkie kaczątko.

Gospodyni obdarzyła je nieśmiałym uśmiechem i gestem wskazała miejsca. Sama przycupnęła na brzegu krzesła obitego granatowym pluszem. Rosalyn i Alice usiadły na sofie.

- Mam dla pani walentynkę, panno Kingsway. Pan Avernick ma nadzieję, że upominek się spodoba.

Rosalyn podała jej koszyk, z góry przewidując rezultat. Nieczęsto się myliła. Zerknąwszy na Alice, nabrała pewności, że i tym razem jej obawy się sprawdzą. Przyjaciółka nie wyglądała na specjalnie zadowoloną.

Maxine z zakłopotaną miną wzięła do ręki lakierowane serce. Każdy jej ruch świadczył o niechęci. Gdy przeczytała wierszyk, w zielonych oczach pojawiły się łzy. Musnęła palcem złoczone litery i w końcu podniosła wzrok na Rosalyn.

- Nie mogę poślubić Normana - szepnęła.

- Możesz i wyjdiesz za niego - dobiegł od drzwi gniewny głos.

Wszystkie trzy odwróciły się zaskoczone. Przez pokój, stukając laską o marmurową posadzkę i piorunując wnuczkę wzrokiem, szedł przygarbiony dżentelmen. Nie zwracał najmniejszej uwagi na obecność postronnych osób. Rosalyn nie wiedziała, czy ma być rozbawiona czy przestraszona. Współczuła pannie Kingsway, która z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Maxine włożyła serce do koszyka i oddała go Rosalyn, zachowując spokój. Wstała z krzesła,

rozprostowała szczupłe ramiona i stanęła przed rozwścieczonym dziadkiem.

- Nie poślubię Normana ani żadnego mężczyzny, którego nie kocham - oświadczyła z determinacją i jednocześnie z nutą żalu w głosie. - Jeśli nikogo nie pokocham, nigdy nie wyjdę za mąż.

W tym momencie Rosalyn uznała, że pora wyjść. Gdy ruszyła do drzwi, Maxine chwyciła ją za łokieć.

- Niech pani powie Normanowi... że jest mi przykro.

Dziewczyna skinęła głową i pociągnęła Alice za rękę. Wyszły chyłkiem z salonu, mijając groźnego starca. W holu odetchnęły z ulgą.

- Biedactwo - chlipnęła Alice, ocierając łzę z oka. - A ja zazdrościłam jej szczęścia.

- Pieniądze to nie wszystko - mruknęła Rosalyn. - Chodźmy. Najgorsze jeszcze przed nami.

Mówiła bez przekonania, bo była pewna, że odmowa Maxine nie złamie panu Avernickowi serca.

Gdy otworzyła drzwi dorożki, od razu zobaczyła drugą różę, leżącą na siedzeniu obok pierwszej. Nie wsiadła do środka, tylko spytała woźnicę:

- Willis? Wiesz, skąd się wzięły te kwiaty?

Rozejrzała się, ale nie dostrzegła nikogo, więc skierowała wzrok z powrotem na woźnicę. Mężczyzna z niewinną miną potrząsnął głową.

- Nie. Nic nie wiem o żadnych kwiatach, panie Mitchell.

Oczywiście kłamał. Musiał coś wiedzieć albo

sam podłożył różę. W pobliżu nie było nikogo innego, a nie mogła uwierzyć, żeby ktoś przemknął się niepostrzeżenie obok Willisa.

Alice próbowała zajrzeć do powozu.

- Jaka róża? Chyba straciłaś rozum, dziewczyno. W środku zimy?

Rosalyn przez chwilę mierzyła dorożkarza wzrokiem. Mężczyzna patrzył przed siebie z nieprzeniknioną twarzą.

- Chyba rzeczywiście postradałam rozum - stwierdziła, wsiadając do środka.

Wzięła kwiaty z siedzenia, wciągnęła głęboko ich słodki zapach, po czym wręczyła je Alice.

- Masz, powąchaj wyimaginowane różę.

Co się dzieje? Czy to kolejny okrutny żart Garreta? Nie dość już została upokorzona?

A może... Rosalyn mocniej zabiło serce. A może to przeprosiny? Znak, że Christianowi na niej zależy?

Bez wahania stłumiła iskierkę nadziei. Przyszło jej do głowy jeszcze inne wyjaśnienie: ktoś robił sobie żarty. Jakiś tajemniczy wielbiciel.

A jeśli różę są przeznaczone dla Alice? Rosalyn zaśmiała się w duchu, gdy uświadomiła sobie, że nawet nie brała pod uwagę takiej możliwości. Cóż za arogancja i zarozumiałstwo z jej strony!

- Może są dla ciebie - powiedziała, wskazując na kwiaty.

Alice wybuchnęła śmiechem.

- Głupia! Przecież wiesz, że dla ciebie, i dobrze wiesz, od kogo. Siebie możesz oszukiwać, Rosy, ale mnie nie zwiedziesz. Kochasz Christiana, prawda?

Rosalyn już miała zaprzeczyć, ale nagle przed oczami stanęła jej twarz Garreta. Szybko odwróciła się do okna. Przemknęło jej przez myśl, że się pomyliła i że Christian odtrącił ją z innego powodu, niż sądziła. Nie dlatego, że odzyskał rubiny.

Niestety, żaden inny powód nie przychodził jej do głowy.

18

Nie uda się, pomyślał Christian, wychylając głowę przez okno. Sto metrów dalej dorożka Rosalyn zatrzymała się przed domem Avernicka. Panna Mitchell zaraz wysiadzie i okazja przepadnie. Za niecałą godzinę miał spotkanie z Patrikiem Davidsonem.

Trzeba jakoś ściągnąć uwagę Willisa. Garret otworzył drzwi swojego powozu i stanął na stopniu. Wsadził palce do ust i zagwizdał przeraźliwie. Willis obejrzał się w chwili, gdy z jego dorożki zaczęła wysiadać kobieta. Serce zamarło w Christianie, ale zaraz dostrzegł rude włosy wysiadającej. To nie Rosalyn, to ta młoda sprzedawczyni, stwierdził

z ulgą i jednocześnie z rozczarowaniem. Okazało się, że trzy dni bez widoku Rosalyn to dla niego za dużo. Czuł, że musi ją zobaczyć, wyznać prawdę, ale zdawał sobie sprawę, że dziewczyna nie zechce go wysłuchać po tym, jak ją potraktował.

Gdzie jest Rosalyn? Panna Howland była pewna, że dziewczyna wyjechała z Willisem. Może została w dorożce?

Christian przyłożył palec do ust, nakazując woźnicy milczenie. Mężczyzna wsadził głowę do wnętrza dorożki i zaczął z kimś rozmawiać. Pewnie odwracał uwagę Rosalyn. Dobry z niego człowiek. Garret postanowił, że później wynagrodzi go sowicie. Już dał mu porządny napiwek za podrzucanie róż.

Alice wytrzeszczyła oczy, kiedy Christian wyskoczył ze zwalnającego powozu. Nie odezwała się słowem, gdy dał jej znak, żeby odsunęła się od okna, przy którym siedziała Rosalyn. Dziewczyna posłuchała go bez wahania.

Christian nachylił ku niej głowę, żeby wiatr nie porwał słów, i przedstawił jej swój plan.

- Doceniam propozycję, Willis, ale Alice i ja damy sobie radę - zapewniła Rosalyn.

Gdy w otwartych drzwiach dorożki pojawiła się Alice, woźnica zniknął w jednej chwili. Teraz z kolei przyjaciółka zatarasowała jej wyjście. Rosalyn zmarszczyła brwi, kiedy Alice sięgnęła po

koszyk. Wyczuła spisek. Dlaczego chcą, żeby została w powozie?

- Pozwól mi spróbować samej, Rosy. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Może pewnego dnia postanowisz zrezygnować z tej pracy, wyjdiesz za mąż albo...

- Alice!

Dziewczyna oblała się rumieńcem, jakby nagle zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko.

- Sama wiesz, że wszystko może się zdarzyć! Poza tym wyglądasz blade i odpoczynek dobrze ci zrobi. Ciężko dzisiaj pracowałaś.

Rosalyn uniosła brew.

- Myślisz, że wypocznę w zimnym pojeździe?

Alice nie odpowiedziała, lecz zanurkowała do środka i otuliła jej nogi kocem. Nie wypuściła koszyka z ręki.

- Teraz będzie ci ciepło. Naprawdę uważam, Rosy, że powinnaś zostać, a ja załatwię sprawę.

Trzasnęła drzwiami. Zanim Rosalyn otrząsnęła się z osłupienia i pozbierała myśli, poczuła zimny podmuch.

- Cieszę się, że znów cię spotykam...

Słowa zamarły jej na ustach, gdy zobaczyła Christiana. Kapeluszczyk rzucał cień na jego twarz, tak że Rosalyn nie widziała jej wyrazu. Mężczyzna spokojnie usiadł obok niej i zaciągnął zasłonkę na oknie.

Dziewczyna wstrzymała oddech. Cisza się przedłużała. Czyżby chodziło mu o to, żeby puls przy-

spieszył jej jak szalony z beznadziejnej radości na jego widok? Żeby poczuła ściskanie w żołądku? Żeby skóra zaczęła ją palić, jakby przesunął po niej opuszkami palców?

W takim razie osiągnął cel. W dodatku zaschło jej w ustach, a kiedy skierował na nią oczy, musiała przypomnieć sobie surowo, że to tylko gra z jego strony. Wcale nie patrzył czule, nie pożerał jej wzrokiem, nie wyglądało na to, by za nią tęsknił przez ostatnie dni. Po prosu czerpał radość z igrania jej uczuciami, z rozkochiwania w sobie naiwnej dziewczyny, żeby potem cieszyć się jej upokorzeniem.

Nagle w Rosalyn obudził się instynkt walki. Niedoczekanie! Jeśli przyszedł napawać się zwycięstwem, odejdzie rozczarowany. Zgniotła róże ukryte pod połą płaszcz i przywołała na twarz niedbały uśmiech. Garret nigdy się nie dowie, jak bardzo ją zranił.

- Jak Davidsonowie?

Gdy dostrzegła błysk zaskoczenia w pięknych brązowych oczach, zrozumiała, że nie chodzi o towarzyską wizytę. Christian nie po to ją ścigał i wciągał do spisku inne osoby, żeby z nią pogawędzić. Ale przynajmniej na chwilę zbiła go z tropu.

Garret zdjął kapelusz i położył go na kolanie. Miał badawcze i lekko rozbawione spojrzenie, jakby ją przejrzał.

- Dobrze. Pan Toombs znalazł przyzwoity dom w południowej części miasta. Przy Barronwood

Street, o ile dobrze pamiętam. Wprowadzili się wczoraj.

Rosalyn odwróciła wzrok.

- Jesteś dla nich dobry.

Ta właśnie świadomość nie dawała jej spokoju.

Garret jest skomplikowanym człowiekiem, ale dlaczego ona ma do czynienia akurat z jego gorszą stroną? Dlaczego Christian karze ją za to, że nie może zemścić się na Callie? Oświadczył wprawdzie, że nie czuje urazy do macochy, że z czasem zaczął ją podziwiać i szanować, ale mógł kłamać.

- Wiem, że nie ukradłaś rubinów, Rosy.

Dziewczyna westchnęła. Raptem poczuła znużenie i smutek. Głównie ze względu na Christiana, zranionego małego chłopca...

- Ukradłam, bo Callie nie miała prawa mi ich podarować. Niektórzy ludzie uznaliby to za kradzież.

Mówiła z nutą goryczy, ale kiedy Christian nie zareagował od razu, złagodziła ton.

- Choć to dla ciebie bolesne, Callie i Henry kochali się. Callie dała mi rubiny, bo... wiedziała, że wierzę w miłość. Nie chciała, żeby walentynka dostała się komuś, kto jest niezdolny do głębokiego uczucia.

Dopiero teraz spojrzała wyzywająco na Christiana, ale z jego wzroku nic nie mogła wyczytać. Nie śmiała zgadywać, co się w nim kryje. Prawie zawsze myliła się co do Christiana, a kiedy miała rację, zwykle tego żałowała.

- Ojciec wcale nie ukradł babce rubinów - powiedział cicho. - Ona sama mu je dała.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

- Więc dlaczego ci powiedziała, że Henry je ukradł?

Czy to nowa gra? Dlaczego babka go okłamała? Czy teraz powinna uwierzyć Christianowi? Wyczuła, że Garret dusi w sobie złość, i to jeszcze bardziej ją zaintrygowało.

Mężczyzna westchnął z rezygnacją, jakby sobie uświadomił, że gniew jest daremny.

- Szantażem zmusiła go do odejścia i dała mu rubiny jako dodatkową zachętę. Zdaje się, że nigdy nie lubiła mojego ojca i nie pochwalała, że ożenił się z jej córką. Kazała go śledzić, żeby znaleźć coś, co mogłaby wykorzystać przeciwko niemu. - Christian opuścił wzrok. - Zajęło jej to pięć lat, ale w końcu dopięła swego.

Rosalyn zmiękła, kiedy w głosie ukochanego usłyszała szczyry ból.

- Na początku małżeństwa, wkrótce po moich narodzinach, ojciec dopuścił się zdrady, kiedy matka... z powodów zdrowotnych... nie mogła... Owocem krótkiego romansu było dziecko. Ojciec odwiedzał je od czasu do czasu. - Christian zaśmiał się głucho. - Przez cały czas uważałem go za łajdaka i do pewnego stopnia miałem rację. Bez wątpienia był słaby, lecz wobec tamtej kobiety i dziecka starał się postępować wielkodusznie, a poza tym nikogo nie okradł.

Kiedy babka przedstawiła mu dowody niewierności i zagroziła, że wyjawi wszystko swojej córce, odszedł.

- Nie chciał, żeby żona dowiedziała się prawdy - szepnęła Rosalyn. - Przykro mi, Christianie.

Ogarnięta współczuciem, uściśnęła jego dłoń. Cokolwiek między nimi zaszło, teraz naprawdę cierpiał. Łzy napłynęły jej do oczu. Gdy Christian nachylił się i delikatnie ucałował jej powieki, serce zabiło jej mocniej, a kolana zmiękły.

- Przepraszam, Rosalyn, że cię oszukiwałem. Gdybym wiedział...

- Nie. Nie musisz przeproszać.

Mówiła szczerze, ale na myśl, że zwodząc ją kierował się uległością wobec babki i zadawnioną niechęcią do ojca, ścisnęło się jej serce. Zrozumiała jednak, że go kocha i jest w stanie mu wybaczyć mimo poczucia zawodu.

Teraz, gdy zdołał stawić czoło dręczącym go demonom, może znajdzie kogoś, kogo obdarzy uczuciem. Ale dlaczego nie miałyby to być ona? Los jest okrutny!

Gdy w drzwiach powozu ukazała się Alice, Rosalyn omal nie rozpłakała się z ulgi. Jeszcze chwila, a zaczęłaby błagać Christiana, żeby dał jej szansę.

Garret natomiast nie wyglądał na zadowolonego, że im przerwano. Rzucił Rosalyn przeszywające spojrzenie.

- Potem dokończymy rozmowę. Teraz muszę już iść. Spóźnię się na spotkanie.

Wysiadł z dorożki i zamknął drzwi za Alice.

Rosalyn zamruwała szybko, walcząc ze łzami. Powtarzała sobie, że nie będzie płakać i że nie porozmawiają później, bo ona nie zniesie więcej bólu. Już samo patrzenie na Christiana było dla niej nie do zniesienia, ponieważ wiedziała, że on nie odwzajemnia jej miłości.

Zatopiona w smutnych myślach dopiero po dłuższej chwili spostrzegła, że przyjaciółka uporczywie milczy. Gdy uznała, że dostatecznie panuje nad sobą, spojrzała na Alice.

Rudowłosa dziewczyna wyglądała na oszołomioną. Ręce trzymała splecione na kolanach i patrzyła prosto przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Rosalyn machnęła jej dłonią przed twarzą, lecz Alice nawet nie mrugnęła powieką.

Zaniepokojona Rosalyn potrząsnęła ją za ramiona.

- Coś się stało? Pan Avernick nakrzyczał na ciebie?

Och, nie powinna była wysyłać jej samej!

Alice spojrzała na nią szklistym wzrokiem. Była bardzo blada.

- Zapytał, czy może mnie odwiedzić.

- Kto?

Przez jedną straszną chwilę Rosalyn myślała, że chodzi o Christiana. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Pan Avernick... Norman.

Opuściła głowę, a na jej policzkach wykwitł ru-

mieniec. Rosalyn uśmiechnęła się, zapomniawszy na chwilę o swoich rozterkach.

- Pan Avernick zapytał, czy może...

- Mnie odwiedzić - dokończyła Alice szeptem. Najwyraźniej sama nie mogła uwierzyć we własne słowa. - Wcale się nie zmartwił, że Maxine go odtrąciła. Wprost przeciwnie. Potem zaczął mówić, a ja słuchałam. Ucięliśmy sobie miłą pogawędkę, a kiedy wspomniałam, że muszę już iść, poprosił mnie o spotkanie.

- A ty skwapliwie się zgodziłaś! - Cieszyło ją szczęście przyjaciółki. - Tak, Alice?

Dziewczyna pokiwała głową. Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Oczywiście, że tak, głuptasie!

Patrick Davidson był niskim, łysiejącym Irlandczykiem o niebieskich oczach, kiedyś, dawno temu, zapewne roziskrzonych uśmiechem. Mierzył Christiana czujnym, hardym wzrokiem, jakby z góry oczekiwał ataku.

Garret zamknął drzwi do małego biura, które wkrótce miał zająć Roy ce Tiber. W brudnych, ciemnych kątach i pod starym, zniszczonym biurkiem prawdopodobnie znalazło schronienie wiele różnych stworzeń. Blask lampy naftowej z trudem rozpraszał mrok. I dobrze. Obskurny pokój i brak światła odpowiadały posepnemu nastrojowi Garreta.

Patrick nie zdążył wykonać żadnego ruchu, gdy

Christian podszedł niedbałym krokiem i zdzielił go pięścią w twarz. Cios był lekki, ale mężczyzna chwycił się za nos i zatoczył do tyłu.

Na wszelki wypadek stanął za biurkiem, zerknął na napastnika przez rozcapierzone palce i krzyknął:

- Za co?

Garret spiorunował go wzrokiem. Miał wielką ochotę sprać tchórzliwego człowieczka na kwaśne jabłko.

- Chcę, żeby pan dla mnie pracował.

Patrick wytrzeszczył oczy.

- Dziwny sposób zatrudniania!

- Uznałem, że lepiej od razu załatwić sprawę. -

Christian zrobił pauzę i dodał: - To za Jamy'ego.

Davidson spuścił wzrok i opadł na rozklekotane krzesło, stojące za biurkiem. Na szczęście nie załamało się pod jego ciężarem. Potem zakrył twarz dłońmi.

- Więc pan wszystko wie.

- Tak. I chcę usłyszeć dlaczego.

Wątpił, czy mężczyzna powie coś, co usprawiedliwiłoby porzucenie rodziny. Nie mógł zapomnieć chłopca ledwo trzymającego się na nogach z osłabienia. Pani Davidson, kruchej i przedwcześnie postarzałej. Holly i Julie, bladych i niedożywionych. Sam jeszcze nie wybaczył ojcu, ale był bliższy zrozumienia jego decyzji.

Zastanawiał się, jaką historię opowie mu Patrick.

Davidson powoli odjął ręce od twarzy. Oczy miał zaczerwienione od płaczu, nos opuchnięty. W jego spojrzeniu wstyd mieszał się z rozpaczą.

- Po tym jak straciłem pracę, ruszyłem na poszukiwanie nowej - zaczął drżącym głosem. - Pytałem wszędzie, ale nikt mnie nie chciał. Znałem się tylko na robocie w papierni. Nie mogłem wrócić do domu z niczym. Nie zniósłbym widoku głodnych i zmarzniętych dzieciaków.

Christian obserwował mężczyznę i nie znajdował w sobie ani krzty współczucia. Jak podejrzewał, nie otrzymał żadnego przekonującego wyjaśnienia. Ten człowiek po prostu był tchórzem. Może jeszcze większym niż Henry Garret.

Wiedział jednak, że zatrudni Patricka ze względu na Jamy'ego, panią Davidson i dziewczynki.

- Dam panu pracę...

- Ale czy ona mnie przyjmie z powrotem? - przerwał mu mężczyzna z bólem i nadzieją w głosie. - Minęły już trzy lata. Na pewno nie zechce mnie widzieć po takim czasie. Nie będę miał o to żalu...

- Przyjmie. - Christian dobrze pamiętał, jak pani Davidson stanęła w obronie męża. Nie zapomniał również gorzkiej odpowiedzi syna. - Ale nie wiem, jak zareaguje Jamy. Było mu naprawdę ciężko. Opiekował się matką i siostrami. Bardzo chorował.

Patrick wstał z krzesła. Cały drżał. Łzy wyżyłobiły ścieżkę na chudych, zapadniętych policzkach.

- Przysięgam, panie Garret, że nigdy więcej ich

nie opuszczę! Wszystko im wynagrodzę. - Zaciśnął palce na brudnych klapach płaszcza. - Tylko żeby ona mnie nie przepędziła.

- Zobaczymy - powiedział Christian z ledwo skrywaną pogardą.

Choć był pewien, że pani Davidson przyjmie męża, uznał, że nie zaszkodzi potrzymać go w niepewności. Jego rodzina tyle wycierpiała.

Zastanawiał się, czy postąpił właściwie. Czy Patrick dotrzyma słowa? Niech Bóg broni, żeby ten człowiek znowu miał porzucić najbliższych!

Nie. Niech Bóg broni Davidsona, poprawił się Christian.

W miarę jak zbliżał się najważniejszy w roku dzień dla firmy, dwadzieścia pięć kobiet dwoiło się i troiło, żeby sprostać wszystkim zamówieniom. Na dworze silny wiatr zapowiadał kolejną burzę śnieżną, ale w pracowni było ciepło i przytulnie. Pośród gwaru rozmów, szcękania nożyczek i szelestu papieru Rosalyn zapakowała dwie ostatnie walentynki, które miała dostarczyć jeszcze dzisiaj.

Uśmiechnęła się, patrząc na zarumienione twarze, błyszczące oczy i zręczne palce. Wiedziała, że te z dziewcząt, które jeszcze są pannami, mają nadzieję znaleźć miłość w dniu świętego Walentego, a mężatki liczą na rozniecenie płomienia na nowo.

Rosalyn westchnęła. Przez ostatnie noce rozpałmiętywała wszystkie spotkania z Christianem,

każdy uśmiech i pocałunek. W końcu zasypiała zmorzona płaczem. Bała się, że jeśli spotka go na jutro, odświeży to bolesne wspomnienia i znowu nie da jej zasnąć.

Cóż, nie zobaczy się z nim więcej. Jeśli przypadkiem wpadną na siebie na ulicy, potraktuje Garreta jak powietrze. Nie odezwie się, nie da mu okazji szepnąć słodkich słówek i obudzić nadziei, którą usiłowała pogrzebać.

Może Christian wróci do Nowego Jorku, skoro już dostał to, po co przyjechał? Może nie będzie musiała sprawdzać, na ile mocne jest jej postanowienie? Nagle w jej myśli wdarł się znajomy głos.

- Czy to pracownia Kupidyna?

Dopiero teraz Rosalyn zorientowała się, że w pokoju od dłuższej chwili panuje cisza. Koleżanki spoglądały ponad jej ramieniem ku drzwiom, trącając się łokciami i chichocząc.

Dziewczyna oblała się wstydem. Christian. Czy może o nim zapomnieć, skoro on zjawia się w najmniej oczekiwanym momencie? To podłe z jego strony, że dręczy ją w taki sposób.

Odwróciła się, zdecydowana powiedzieć mu coś do słuchu. Właśnie! Niech Garret wreszcie zrozumie, że ona nie zamierza brać udziału w jego okrutnej grze.

Ponura mina przybysza ostudziła gniew Rosalyn. Po plecach przebiegł jej dreszcz strachu.

- Co się stało? - spytała.

Christian skinął głową milczącym kobietom i spojrzął na Rosalyn z powagą.

- Jamy zniknął.

Rozległo się zbiorowe westchnienie, a po chwili zerwała się wrzawa podnieconych głosów. W końcu Rosalyn klasnęła w dłonie. Natychmiast zapadła cisza.

- Dlaczego?

- Jego ojciec wrócił do domu.

Rosalyn skierowała pytający wzrok na koleżanki. Kilka pokiwało głowami. Inne wzruszyły ramionami, równie zaskoczone jak ona.

- Myślałam, że pani Davidson jest wdową.

- Patrick Davidson pracował w papierni, dopóki jej nie zamknięto - powiedział Garret. - Był... nieobecny przez jakiś czas.

Dziewczyna usłyszała nutę pogardy w jego głosie.

- Nieobecny? Chcesz powiedzieć, że ich zostawił? - spytała ostro.

- Weź płaszcz i chodź ze mną. Musimy znaleźć Jamy'ego przed zmrokiem.

Rosalyn nawet nie przyszło do głowy, żeby odmówić Christianowi pomocy.

- Dobrze, ale najpierw muszę poprosić Alice, żeby rozwiozła ostatnie walentynki.

- Już się tym zająłem. Panna Howland dopilnuje sklepu, a Alice cię zastąpi.

Wziął ją za łokieć. Rosalyn pozwoliła mu się po-

prowadzić, ale kiedy próbował zapiąć jej płaszcz, odtrąciła jego rękę i rzuciła mu karcące spojrzenie.

- Poradzę sobie sama, dziękuję. Domyślasz się, dokąd mógł pójść? - Przygryzła wargę. - Zagładałeś do swojego domu?

Christian otworzył jej drzwi. Zimny wiatr smagnał ich po twarzach. Rosalyn schowała brodę w kołnierz i szybkim krokiem ruszyła do czekającej dorożki.

- Miałem nadzieję, że tobie przyjdzie do głowy jakiś pomysł! W domu Callie go nie ma! - Z trudem przekrzykiwał ryk wiatru. - Pogoda się zmienia. Musimy go znaleźć!

- Willis! - zawołała Rosalyn. - Pamiętasz okolicę, gdzie kiedyś mieszkał Jamy?

Mężczyzna, otulony szalem po oczy, skinał głową. Rosalyn mu współczuła, z pewnością dotkliwie marzył. Modliła się, żeby Jamy był w ciepłym i bezpiecznym miejscu. Może schował się w jakimś zakamarku domu Callie?

- Christianie, jesteś pewny...

- Tak. Szukałem wszędzie. Nie ma go tam.

Zacisnął szczęki, a Rosalyn nagle zrozumiała powód jego zdenerwowania.

- Obwiniasz się o ucieczkę Jamy'ego, bo odnalazłeś jego ojca i sprawiłeś, że wrócił do rodziny? To nie twoja wina. Znajdziemy chłopca.

Słowa pocieszenia nie odniosły skutku, Christian odwrócił twarz do okna. Obserwując jego profil, Rosalyn dumiała nad skomplikowaną natu-

ra tego człowieka i zastanawiała się, jak go przekonać, że nie powinien czynić sobie wyrzutów. Nie mógł przewidzieć reakcji Jamy'ego.

Chata Davidsonow wyglądała, jakby zaraz miała się rozpaść pod naporem wiatru. Cienkie ściany chwiały się, drzwi wisały na jednym zawiasie.

- Zostań tutaj - powiedział Christian.

Rosalyn zjeżyła się, słysząc ton jego głosu, i uniosła brodę.

- Idę. Czy nie po to wzięłaś mnie ze sobą, żebym porozmawiała z Jamym?

- To niebezpieczne!

- U Poole'ow też było niebezpiecznie, ale nie upierałaś się, żebym została na zewnątrz! - odkrzyknęła.

Trafiła w dziesiątkę. Christian zmrużył oczy, ale nic już nie powiedział.

Ruszyli ku trzeszczącej chacie. Gdy weszli do środka, Rosalyn nawet nie próbowała zamknąć drzwi. Przez dziury w dachu widziała ciemniejące niebo i groźne burzowe chmury. Jeśli wichura się nasili, dom runie, grzebiąc ich pod stosami przegniłego drewna.

Główny pokój był pusty. Zniknęły nie tylko nieliczne meble, ale wszelkie deski nadające się na opał. Rosalyn podejrzewała, że opuszczoną chatę splądrowali sąsiedzi. Choć sama nigdy w życiu nie cierpiała głodu i zimna, rozumiała ich desperację.

- Jest! - zawołał Christian.

Musiał prawie nieść wierzgającego chłopca.

Gdy Rosalyn ich zobaczyła, pobiegła do dorożki i otworzyła drzwi, walcząc z wiatrem. Garret kazał Willisowi jechać do nowego domu Davidsonów, wsadził chłopca do środka i wskoczył za nim. Jamy wcisnął się w kąt powozu i popatrzył na nich z gniewem i urazą.

- Powinniście mnie tam zostawić.

Christian westchnął.

- Gdzie? Dom się wali! Nie zauważyłeś, Jamy?

- Wolę mieszkać pod gołym niebem niż z nim! Nie musieli pytać, kogo ma na myśli.

- Dobrze, że twój ojciec wrócił.

Garret położył nacisk na słowo „twój”, co obudziło ciekawość chłopca.

- Pana też opuścił ojciec? - Jamy łypnął podejrzliwie na mężczyznę.

Rosalyn wstrzymała oddech. Żałowała, że nie ma dość odwagi, żeby wziąć Christiana za rękę. Tylko jak on przyjąłby taki gest?

- Tak. Ale nie wrócił.

Po słowach Christiana na chwilę zapadła cisza.

- Wolałbym, żeby i mój nie wrócił! - wybuchnął chłopak - Po co to zrobił? Mama, Holly i Julie przyzwyczajają się, że jest w domu, a on znowu odejdzie.

Mówił wyłącznie o matce i siostrach, ale Rosalyn podejrzewała, że sam również boi się kolejnego zawodu. Była tego pewna. Zerknęła na Garreta i stwierdziła, że ten też nie wie, co odpowiedzieć. Porozumiewawczo trąciła go łokciem.

- W takim wypadku odmówisz mu pomocy, Christianie, prawda?

Garret w lot zrozumiał jej intencje.

- Tak. Powiem mu, że nie odzyska dawnego stanowiska w papierni. - W zamyśleniu potarł brodę.
- Co prawda nie wiem, gdzie znajdę drugiego brygadzystę, który zna się na rzeczy tak jak twój tata.

Jamy usiadł prosto i popatrzył na nich z osłupieniem.

Nie tylko on był zaskoczony nowiną. Rosalyn, równie zaskoczona, miała jedynie nadzieję, że Christian nie toczy kolejnej gry. Tym razem chyba mówi szczerze. Wobec innych ludzi nie bywał okrutny.

- Dostał pracę? Wróci do papierni? Skąd pan wie, panie Garret?

Christian opuścił wzrok. Nagle bardzo go zainteresowały własne buty.

- Bo kupiłem fabrykę i zatrudniłem twojego ojca.

Rosalyn i Jamy spojrzeli po sobie oniemiaли. Pierwszą myślą dziewczyny było: Christian zostaje! Natychmiast skarciła się w duchu za egoizm i głupotę. Kupno papierni nie oznaczało, że Garret zamierza osiąść w Worcester. Czyż ona sama nie uważała, że lepiej by było, gdyby wyjechał? Oczywiście, że tak, lecz może... Nie, w takiej chwili nie powinna myśleć o sobie, tylko o chłopcu.

- Więc nie masz nic przeciwko temu, że twój tata wrócił do domu, Jamy? - zapytała, siłąc się na rzeczowy ton.

- Chyba nie. - Nagle spowaźniał. - Ale lepiej niech uważa, bo jeśli znowu skrzywdzi mamę i dziewczynki...

Christian objął wąskie ramiona Jamy'ego.

- Nie zrobi tego, synu. Obiecuję ci.

Tym razem Rosalyn mu uwierzyła.

19

W dniu świętego Walentego Rosalyn obudziła się przed świtem. Sięgnęła po szlafrok, po omacku wsunęła stopy w ranne pantofle i pospieszyła do okna. Ogień w kominku wygasł. Przy każdym wydechu wokół nosa i ust tworzyły się obłoczki pary. Mróz namalował kwiaty na szybach. Dziewczyna chuchnęła, potarła wilgotne miejsce rękawem i wyjrzała przez niewielkie kółko.

Aż westchnęła z zachwytu. Panna Howland jak zwykle zostawiła na frontowym ganku zapaloną lampę. W jej żółtawym blasku śnieg padał wolno na ziemię pokrytą grubą warstwą białego puchu. Wszędzie panowała cisza i spokój.

Magiczny nastrój sprawił, że Rosalyn tym mocniej odczuła utratę prawdziwej miłości. Bała się, że już nigdy w życiu nie będzie tak kochać. Christian był tym jedynym mężczyzną. I jednocześnie

najbardziej upartym, jakiego spotkała. Strzegł własnego serca jak skąpiec złota i nawet z nią nie chciał podzielić się skarbem.

Zadrzała, obserwując, jak brzask z trudem przebija się przez grubą warstwę szarych śniegowych chmur. Było pięknie, ale zimno. Wolałaby, żeby akurat tego dnia się ociepliło. Przez kilka ostatnich tygodni prawie mieszkała w dorożce. Wieczorem potrzebowała godziny, by rozgrzać nogi, i to tylko dzięki temu, że gospodyni przewidująco kładła termofor pod kołdrę.

W ten szczególnie dzień czekało ją wiele spacerów przez głęboki śnieg.

I rozmyślań o Christianie.

Wiedziała, że i tym razem nie uwolni się od wspomnień. Pożegnała się z nim ostatecznie po odwiezieniu Jamy'ego do domu. Christian uchylił kapelusza i obdarzył ją leniwym, zagadkowym uśmiechem, lekceważąc jej poważny ton. Tymczasem ona naprawdę postanowiła przestać go widywać. Uznała, że już dłużej nie zniesie huśtawki nastrojów. I tak Christian całkowicie zaprzętał jej myśli!

Rosałyn wyprostowała plecy. Dzisiaj skupi się na pracy i nie będzie śnić na jawie.

Tak, dzisiaj pokaże światu promienny uśmiech i zasłuży na pochwałę panny Howland. Przeboleje nieodwzajemnioną miłość, będzie pocieszać złamane serca i płakać z radości, widząc szczęście innych.

Jest przecież dzielna. Czyżby o tym zapomnia-

ła? Nie miała prawa winić Christiana za to, że jest niezdolny do głębokiego uczucia. Cóż biedak poradzi, że jej nie kocha?

Z dołu dobiegło ciche pobrzękiwanie naczyń. Rosalyn od razu pomyślała o gorącej kawie i świeżych bułkach. Zawiązała szlafrok i wyszła z pokoju. O tej porze pewnie sama zje śniadanie, ale wkrótce obudzi Alice, bo czeka je długi dzień.

Zbliżając się do kuchni, usłyszała stłumione głosy. Stała w progu i ze zdziwieniem stwierdziła, że panna Howland, całkiem ubrana, rozmawia z kucharką. Na jej widok obie szybko umilkły.

- Dzień dobry, Rosalyn! - powiedziała po chwili pracodawczyni z miłym uśmiechem, wskazując jej miejsce przy stole. - Nie spodziewałam się ciebie o tak wczesnej porze. Usiądź w ciepłe. Obawiam się, że w jadalni jest jeszcze zbyt chłodno.

- Czyta pani w moich myślach.

Zapach smażonego bekonu mieszał się z aromatem kawy i cynamonowych ciasteczek, które były specjalnością kucharki. Rosalyn wzięła od kobiety parujący kubek i usiadła naprzeciwko panny Howland.

- Jesteś gotowa na najbardziej pracowity dzień w roku? - zapytała Esther, dodając do kawy dużą łyżkę miodu.

Dziewczyna skinęła głową.

- Tak. Nie mogę się doczekać. Alice jest bardzo pomocna. Doskonale mnie zastąpi, kiedy na wiosnę pójdę do college'u.

Nie dałaby sobie rady bez tego energicznego rozdzielca. Okazało się, że Alice potrafi być naprawdę czarująca.

- Hmm, będę miała na uwadze twoją rekomendację. Zamówiłam dla was powóz. Jamy przyniesie wam ciepłe cegły, żebyście nie zamarzły. Będzie je wymieniał za każdym razem, kiedy wrócicie do firmy.

- Dziękuję! Szybko doszedł do zdrowia, prawda?

- Tak. Dzięki panu Garretowi i wspianiałomyślności moich pracowników.

Rosalyn zaczęła modlić się w duchu, żeby panna Howland zmieniła temat. Nie śmiała na nią spojrzeć.

- Wiedziałaś, że kupuje starą papiernię?

- Kto? - zapytała Rosalyn, siląc się na obojętny ton. - Aa, pan Garret. Tak, słyszałam.

Nie mogła poprosić pracodawczyni, żeby w jej obecności nie mówiła o Christianie. Przy każdej o nim wzmiance czuła, że serce przebija jej strzała.

Strzała Kupidyna. Oczywiście. Ale to niesprawiedliwe, bo to przecież ona jest Kupidynem. Dlaczego nie trafiła w cel?

- Co z historycznymi badaniami pana Garreta?

Rosalyn jęknęła w duchu. Panna Howland na pewno coś wie, bo wścibstwo zupełnie nie leży w jej charakterze. Słyszała plotki? Ktoś jej powiedział? Alice? Sam Christian? Willis?

Trzeba było staranniej dbać o zachowanie dyskre-

cji. Dobry Boże, żeby tylko Esther nie dowiedziała się o jej wizycie w hotelowym pokoju Christiana!

Ani o tym, w jakim stanie go zobaczyła!

Rosalyn podniosła kubek do ust, żeby ukryć wiele mówiący rumieniec. Czuła się jak oszustka.

- Pan Garret był ostatnio zajęty innymi sprawami. Mało go widywałam.

- Sądysz, że zostanie w Worcester, skoro kupił papiernię?

Rosalyn spojrzała uważnie na pracodawczynię, ale zobaczyła niewinną minę i... może błysk rozbawienia w pogodnych niebieskich oczach.

- Nie wiem. Nic mi o tym nie wspominał.

Jaka szkoda! dodała w duchu. Czyżby panna Howland coś podejrzewała? Dlaczego tak błyszczą jej oczy? Rosalyn oczekiwałaby raczej współczucia niż wesołości.

- Może osiadzie w Worcester, znajdzie sobie miłą kobietę i ją poślubi.

Rosalyn zakrztusiła się na myśl o Christianie, który poślubia inną. Nie zniosłaby takiej sytuacji ani przez chwilę. Uciekłaby. Wsiadła do najbliższego dyliżansu. Wyjechała z miasta...

Umarłaby.

Odsunęła krzesło i wstała od stołu. Jeśli w oczach miała łzy, winna była temu zbyt gorąca kawa. Zmusiła się do uśmiechu.

- Lepiej pójde się ubrać.

- A co ze śniadaniem?

- Jestem zbyt podniecona, żeby jeść - odparła Rosalyn zgodnie z prawdą.

- Obudź Alice, dobrze?

Dziewczyna zdołała jedynie skinać głowę.

- I załóż tę czerwoną suknię z białymi sercami. Pasuje do twoich ciemnych włosów i kremowej cery. Będziesz wyglądać olśniewająco. Musicie z Alice prezentować się jak najlepiej. Nie wiadomo, kogo dzisiaj spotkacie.

Rosalyn nie śmiała obejrzeć się od drzwi, choć ostatnia, na pozór niewinna uwaga pracodawczyni bardzo ją zaintrygowała. Co panna Howland ma na myśli? Czy przypadkiem nie próbuje bawić się w swatkę?

Tak, na pewno. Tylko takie wyjaśnienie przyszło jej do głowy. „Nie wiadomo, kogo dzisiaj spotkacie”.

Proszę, Boże, niech tym kimś nie będzie Christian.

Panna Howland nic więcej nie dodała, więc Rosalyn ruszyła w stronę schodów. Serce nadal jej łomotało. Jeśli Esther chce odegrać rolę Kupidyna, czeka ją duże rozczarowanie.

Rosalyn bardzo jej współczuła.

Przed południem Christian skończył pracę zaplanowaną na ten dzień. Teraz wybierał się do pracowni walentynek, a potem do kościoła. Przy najmniej taką miał nadzieję.

Gdy wszedł do sklepu, otrzepując śnieg z płaszcza, powitała go panna Howland.

- Piękna pogoda, prawda?

Odpowiedział uśmiechem. Dzisiaj czuł się królem życia. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek był równie szczęśliwy. Wszystko wskazywało na to, że fabryka zostanie uruchomiona w terminie, a Tiber zmienił się nie *do* poznania. Prawie *wszyscy* dawni pracownicy bardziej niż chętnie zgodzili się wrócić do pracy, łącznie z panem Dillonem.

Zdażył też omówić z panem Toombsem sprawę budowy nowych tanich domów. Później negocjowali cenę terenów w okolicy, gdzie stała chata Davidsonow. Interes zapowiadał się obiecująco.

Tak, życie jest wspaniałe, zwłaszcza w dzień świętego Walentego. Nastrój sprzyja miłości.

Panna Howland, która zastępowała Alice, obserwowała gościa z wyraźną ciekawością w oczach.

Garret szedł w jej stronę coraz wolniej. A jeśli się pomylił co do Rosalyn? Mówiła, że go kocha, ale może teraz żałuje słów wypowiedzianych w chwili uniesienia?

Dręczyły go jeszcze inne wątpliwości. A jeśli poznała kogoś w ciągu tych dni, kiedy był zajęty?

- Panie Garret?

Głos panny Howland wyrwał Christiana z zamyślenia.

- Mam coś dla Rosalyn - powiedział, wskazując na pakunek, który trzymał w ręce.

- Niestety, minęliście się. Wróci koło południa.

Czego się spodziewał? Że Rosalyn będzie na nie-

go czekała? Miał ochotę kopnąć się w kostkę. Co sobie wyobrażał? Oczywiście, że jej nie ma o tej porze.

Czekać czy zostawić paczkę?

Do diabła!

- Jeszcze wrócę - mruknął.

Gdy jednak zjawił się w południe, panna Howland poinformowała go, że Rosalyn wróciła wcześniej i zaraz znowu wyszła.

- Nie została nawet, żeby coś zjeść?

Coraz bardziej się niecierpliwił. Najważniejszy dzień w jego życiu, a Rosalyn nie może przez chwilę usiedzieć na miejscu. Mamrocząc pod nosem, niecierpliwie chodził po sklepie. Panna Howland obserwowała go rozbawiona. Nie wiedział, co robić.

Wreszcie położył pakunek na ladzie.

- Dopilnuje pani, żeby Rosalyn to dostała?

- Oczywiście. Jest zaadresowany?

Christian spojrzał na nią zaskoczony. Gdy zorientował się, o co chodzi pannie Howland, wpadł na pewien pomysł.

- Nie. Ma pani pióro?

Kobieta wręczyła mu pióro i podsunęła kałamarz. Garret szybko zapisał swoje nazwisko i domowy adres.

- To pilne.

- Zadbam, żeby Rosalyn dostarczyła przesyłkę najszybciej, jak to możliwe.

- Dziękuję.

Christian pojechał do domu Callie, gdzie za-

mieszkał wkrótce po wyprowadzce Davidsonow. Po drodze zastanawiał się, czy kiedykolwiek przywyknie do myśli, że teraz jest to jego dom. W dodatku nie uśmiechało mu się spędzenie całego dnia z trzema psotnymi szczeniakami, które miały więcej energii niż rozumu.

A może Rosalyn szybko się zjawi?

Dziewczyna opadła ciężko na krzesło w pracowni i jęknęła na widok przesyłek czekających na rozwieszenie. Alice takim samym wzrokiem popatrzyła na stos walentynek, rozcierając zmęczone stopy.

- Chciałabym, żeby wszystkie w tej chwili zniknęły! - wyszeptała.

Rosalyn zgadzała się z nią w duchu, ale uznała, że roztropniej będzie zatrzymać tę myśl dla siebie.

- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. - Napotkała wzrok przyjaciółki i zaśmiała się. - Może to już ostatnia partia.

Rozejrzała się po opustoszałej pracowni i przygryzła dolną wargę. Na pewno ostatnia. Wszystkie kobiety poszły do domów, z wyjątkiem panny Howland, która uspokoiła je obie, że nie będzie przyjmować więcej zamówień.

Minęła ósma. Pełne dziesięć godzin jeżdżenia po mieście. Dobrze chociaż, że, dzięki przezorności panny Howland i wytrwałości Jamy'ego w powozie było ciepło.

Rosalyn westchnęła.

- Ruszajmy, Alice. Nie zdążymy rozwieźć wszystkich, jeśli będziemy tu siedzieć i narzekać.

Przyjaciółka roześmiała się mimo znużenia.

- Było zabawnie, prawda? Odkąd zaczęłam ci pomagać, mam dwa zaproszenia na śluby i kandydata na wielbiciela.

- Nie wspominając o pęcherzach na stopach - dorzuciła Rosalyn i skrzywiła się, wstając. - Biedny Willis, pewnie już przyrósł do kozła. Przypomnij mi, żebym go wynagrodziła, dobrze?

- Już się tym zajęłam - oznajmiła panna Howland, wchodząc do pracowni. - Poza tym poleciłam gospodyni, żeby przygotowała dla was gorącą kąpiel i ciepłą kolację. Świetnie się dzisiaj spisałyście.

Alice wzięła część pakunków, a Rosalyn sięgnęła po resztę. Jej uwagę zwróciła przesyłka owinięta w zwykły brązowy papier.

- To nie nasze dzieło.

Pakowaniem walentynek zajmowały się inne pracownice, ale Rosalyn wiedziała, że nigdy nie użyłyby tak brzydkiego papieru.

Alice wzruszyła ramionami.

- Chodźmy już, Rosy. Wiesz, że nie mamy czasu.

- Racja.

Śnieg wciąż padał. Zmierzchało i wyraźnie się ochłodziło. Dzięki Bogu, że niedługo koniec pracy, pomyślała dziewczyna. Była wykończona i głodna.

Dobrze przynajmniej, że w nawale zajęć prawie nie myślała o Christianie.

- Sądysz, że... - urwała w pół słowa, gdy zorientowała się, że nikt za nią nie idzie.

Obejrzała się i zobaczyła, że przyjaciółka rozmawia z panną Howland. Gdy otworzyła drzwi, żeby ją ponaglić, kobiety umilkły.

Po chwili Alice wybiegła ze sklepu i razem wsiadły do dorożki. Gdy powóz ruszył, zaczęły porządkować walentynki i sprawdzać adresy. Nagle Rosalyn gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Co się stało, Rosy? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Nie ducha, tylko coś dużo, dużo gorszego! Pakunek przeznaczony dla Christiana.

- Ja... To dla...

Nie zdołała wykrztusić nic więcej. Alice wyjęła jej paczkę w ręki i odczytała na głos nazwisko i adres.

- Och, kochanie.

Rosalyn zamknęła oczy, walcząc z mdłościami. Za nic w świecie nie dostarczy tej walentynki!

- Ty to zrobisz, Alice! - wyszeptała głosem nabrzmiałym łzami.

Nie może pozwolić sobie na słabość. Czeka ją jeszcze dużo pracy.

Do kogo Garret zalecał się za jej plecami? Za jej plecami? Ba! Nigdy nie miała żadnych praw do Christiana. Nie sądziła jednak, że ma je inna kobieta. Kto wysłał paczkę?

Przez łzy patrzyła na pakunek leżący na kolanach Alice. Jest dzień świętego Walentego. Chri-

stian zaraz dostanie walentynkę od ukochanej.

Jej Christian.

Nie. Nigdy nie należał do niej.

- Musimy to dostarczyć, Rosy - powiedziała Alice łagodnie.

Rosalyn jeszcze bardziej zachciało się płakać, ale stwierdziła, że przyjaciółka ma rację. Lepiej od razu załatwić sprawę. Inaczej nie będzie mogła skupić się na pracy. Z wahaniem skinęła głową.

Alice zabębniła w dach dorożki. Gdy powóz stanął, wysiadła. Po chwili wróciła i otrzepała śnieg z włosów.

- Podałam Willisowi adres Christiana. Nie martw się, Rosy. Ja zaniosę paczkę. I przy okazji powiem mu, co myślę.

- Nie, nie rób tego.

Rosalyn zamknęła oczy. Ból był niemal nie do zniesienia. Przysięgła sobie, że nigdy więcej się nie zakocha!

Gdy dojechali na miejsce, odsunęła się od okna. Nie chciała widzieć domu ani Christiana.

Przyjaciółka poklepała ją po ramieniu i otworzyła drzwi. Chwilę później krzyknęła.

- Alice! Co się stało?

Odpowiedzią było stłumione, niekobiece przekleństwo. Alice z trudem wgramoliła się do dorożki i padła na siedzenie. Na ustach miała grymas bólu.

- Pośliznęłam się na śniegu, ale zaraz będzie dobrze. Dam sobie radę.

Mówiąc te słowa, skrzywiła się jeszcze bardziej. Rosalyn zacisnęła usta, wzięła pakunek od Alice i sięgnęła do klamki.

- Nie, Rosy! Nie możesz.

- Mogę. Nie pozwolę, żeby osobiste kłopoty wpływały na moją pracę.

Z dzielną miną wysiadła z dorożki i ruszyła przez śnieg, nie zważając na zimne podmuchy wiatru.

Minęła wieczność, nim gospodarz zareagował na pukanie, dzięki czemu Rosalyn miała dużo czasu, żeby zmusić wargi do grzecznego uśmiechu.

Czy będzie się wstydził?

Będą go dręczyć choćby najłżejsze wyrzuty sumienia, że złamał jej serce?

Drzwi skrzypnęły i rozległo się piskliwe szczekanie. Christian rzucił jedno spojrzenie na twarz gościa i dał znak dorożkarzowi.

Słyszając turkot kół, Rosalyn odwróciła się gwałtownie. Upadłaby w śnieg, gdyby mężczyzna jej nie przytrzymał. Z konsternacją popatrzyła za oddalającym się pojazdem.

- Co... Dokąd oni jadą? Dlaczego mnie zostawili...

- Chodź tutaj.

Odwrócił Rosalyn do siebie. Gniotąc pakunek, wciągnął ją do domu i zatrzasnął drzwi.

Rosalyn spojrzała na niego oszołomiona. Co się dzieje? Była bliska omdlenia, twarz jej płonęła, w żołądku czuła znajome ściskanie. Nie, nie przy-

jechała tu na schadzkę. Przywiozła walentynkę adresowaną do Christiana. Od innej kobiety...

- Kocham cię.

Dziewczyna gwałtownie zaczerpnęła tchu, przekonana, że śni. Powiedział...

- Kocham cię - powtórzył Christian, sięgając ustami do jej ust.

-Ty...

- Za dużo mówisz.

Bardzo skutecznie uciszył ją pocałunkiem. Rosalyn zapomniała o całym świecie. Christian tulił ją, całował, wyznawał miłość. Istniała tylko ta chwila.

W końcu uniósł głowę i spojrzał w jej nieprzytomne oczy.

- I co?

- Co co?

Rosalyn próbowała się skupić. Bezskutecznie. Christian całkowicie pozbawił ją zdolności logicznego myślenia.

- Nie kochasz mnie?

Nie kocha? Pragnęła go całym sercem i duszą. Cierpiała straszliwie na myśl, że...

Otóż to! Walentynka! Uwolniła się z objęć mężczyzny i podsunęła mu pakunek pod oczy.

- To dla ciebie.

Wrócił ból. Jak mogła zapomnieć? Bo pan Garret jest zręczny w uwodzeniu, Rosy. W duchu podziękowała głosowi rozsądku.

Zamiast wstydu i zakłopotania, które spodziewała się ujrzeć, na twarzy Christiana malowała się tkliwość.

- Nie dla mnie, tylko dla ciebie. Zatelegrafowałem do babki i powiedziałem jej, że znam całą prawdę. Nie mogłem cię złapać przez cały dzień, więc zaadresowałem paczkę do siebie, licząc na to, że mi ją przyniesiesz.

Rosalyn już nie słuchała, ogarnięta niepohamowaną wściekłością. Znowu ją oszukał! Cofnęła się i z furią rzuciła w niego walentynką.

Pakunek odbił się od piersi Garreta i upadł na podłogę. Szczeniaki natychmiast zaczęły go szarpać i ciągnąć, każdy w swoją stronę. Dziewczyna patrzyła przez łzy, jak rwą papier. Czuła się pomszczona. Nagle dostrzegła coś czerwonego.

Nie! To niemożliwe! Rubinowa walentynka! Szybko podniosła ją z podłogi, nie zważając na ujadanie rozczarowanych psiaków.

Mężczyzna chrząknął znacząco.

Rosalyn nie podniosła wzroku, jeszcze nie potrafiła wybaczyć mu okrutnej gry.

Christian ujął ją pod brodę. W jego oczach zobaczyła miłość i pożądanie.

- Nie chciałem cię zdenerwować, Rosalyn. - Potrząsnął głową, zirytowany własną głupotą. - Nie myślałem jasno. Byłem taki podniecony, że oddaję ci walentynkę. - Przyciągnął ją do siebie, pokonując opór. - Prawdę mówiąc, straciłem głowę już

w chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem twój uroczy... uroczą twarz.

Na szyję Rosalyn wypełzł rumieniec. Christian ją kocha. Rzeczywiście wypowiedział te słowa? Mówił poważnie? A może jej się przyśniło?

- Naprawdę mnie kochasz? - spytała bez tchu, przyglądając mu się badawczo.

Wyglądało na to, że przestał ukrywać uczucia. Z jego oczu zniknął chłód, zastąpiła go wielka czułość.

- Od jakiegoś czasu, Kupidynie. Obawiam się, że twoja strzała trafiła w cel.

- Zdawało mi się, że chybiłam - powiedziała Rosalyn ze śmiechem.

Drżącymi palcami odgarnęła czarny kosmyk z czoła Christiana. Zawsze miała ochotę to zrobić. Gdy wtuliła twarz w jego pierś, otoczył ją ramionami.

- Czekają w kościele.

Rosalyn gwałtownie uniosła głowę.

- Kto?

- Wszyscy.

Christian z trudem powstrzymywał się od uśmiechu.

- Jeszcze jakieś sekrety? Nie sądzisz, że już wystarczy?

Zaśmiał się donośnie na widok jej miny.

- Rosalyn Mitchell, wyjdiesz za mnie?

- Tak! Tak! Zawsze tego pragnęłam.

- Wiem - szepnął Christian czule.

Tym razem mówił prawdę.